

ANNA EBERHARDT

SŁODKA AMY JANE

Tytuł oryginału
Sweet Amy Jane



*Pamięci mojej przyjaciółki
Kathleen Patricii Brumitt
— Najszlachetniejszej z nich wszystkich*

Podziękowania:

Mojej agentce, *Denise Marcil*
i mojemu wydawcy, *Denise Little*
za to, że zaryzykowały i uwierzyły we mnie

Kenowi Wilsonowi, konferansjerowi St. Louis Blues

Johnowi Frederickowi i *Hankowi Frederickowi*,
prywatnym detektywom

Williamowi George'owi,
inspektorowi ds. broni palnej z St. Louis.
Stołecznemu Departamentowi Policji
Donnie Julian, doradcy ślubnemu
Bruce Broderowi, impresario

Grupie *Kathy*:

Lindzie Bickel, *Nancy Dumeyer*,
Marlenę Wilson i *Allyson Kaiser*

Moim przyjaciółom pisarzom:

Mary Lynn Baxter, *Debbie Macomber*, *Carli Neggers*,
Bonnie Jeanne Perry, *Suzanne Forster*, *Olivii Rupprecht*,
JoAnn Ross i *Wendy Haley*

Specjalne podziękowania należą się *Sandrze Brown*
za to, że wskazała mi drogę.

Amy Jane Chadwick siedziała przy biurku, podpierając dłonią podbródek, łokciem zaś przytrzymując poranną gazetę, otwartą na stronie, gdzie zamieszczano codzienny horoskop. Zważywszy na to, co znalazła w swoim, gwiazdne przepowiednie powinno się raczej nazywać horrorskopami. Przeczytała:

Ułożenie planet mówi o zmianach dotyczących ukrytej, zmysłowej strony twojej osobowości. Zapragniesz mężczyzny, którego nie powinnaś dostać.

Jednym szybkim ruchem otworzyła pierwszą tego dnia puszkę pepsi i z przyjemnością wsłuchiwała się w syczący odgłos, wydawany przez ulatujący dwutlenek węgla. Dźwięk sprawiał jej satysfakcję równą tej, jaką odczuwała otulając się ciepłym wełnianym szalem w chłodną noc. Wypiła łyk pepsi i ponownie przejrzała horoskop, by upewnić się, że przeczytała właściwy, gdyż brzmiał on raczej jak przeznaczony dla Skorpiona. Ale nie, wszystko w porządku, to był horoskop Panny, choć nie taki, na jaki miała nadzieję. W tej chwili zdecydowanie bardziej niż romans interesowały ją finanse. Pieniądze trudniej było zdobyć niż mężczyzn. A właściwie trudno było zdobyć jedynie porządnych mężczyzn. Ale tacy nigdy jej zbyt nie interesowali. Nawet jej horoskop o tym wiedział.

Wyglądziła gazetę i poskładała ją starannie tak, by móc podrzucić dziennik do biblioteki, zanim jej młodsza siostra Claire zauważy jego brak. Claire bardzo się złościła, gdy coś naruszało ustalony porządek, zaś poranna gazeta zwyczajowo należała się gościom pensjonatu Chadwick, oferującego noclegi i śniadania.

Nie dalej niż w zeszły czwartek pech sprawił, że zaplamiła gazetę. Musiała szybko się ubrać i pobiec po nową, zanim Claire zauważy jej brak. Choć bardzo kochała swą młodszą siostrę,

Claire sprawiała, że często czuła się nieodpowiedzialna, a bardzo nie lubiła tego uczucia. Odłożyła gazetę na biurko, krzywiąc się z niechęcią na widok sterty papierów, pokrywających gładką orzechową powierzchnię mebla w stylu królowej Anny, który kupiła za pierwsze zarobione pieniądze. Kupiła go nie dlatego, że nie miała gustu, lecz po prostu brakowało jej cierpliwości. Podobnie jak Carrie Fisher uważała, iż nagle potrzeby należy zaspokajać jak najszybciej.

Przez cały okres wspólnego dorastania Claire twierdziła, że wypisując świadectwo urodzenia Amy Jane najwidoczniej popełniono jakiś błąd, tak bardzo nie przypominała ona typowej Panny, porządnej i schludnej. Amy Jane skłonna była zgodzić się z nią. Jej znak znalazł się prawdopodobnie pod wpływem schizoidalnych Bliźniąt. Nigdy nie można było przewidzieć, jak się za chwilę zachowa — poza tym, że na pewno nie będzie schludna, porządna i odpowiedzialna.

Na szczęście schludność, zamiłowanie do porządku i odpowiedzialność to nie były cechy najbardziej potrzebne, by wykonywać zawód prywatnego detektywa. Miała w sobie dość z Panny, by zwracać uwagę na szczegóły, nawet jeśli ją nudziły.

Za to Claire była prawdziwą mistrzynią szczegółów. To właśnie ta umiejętność sprawiła, że założony przez nią dwa lata wcześniej pensjonat kwitł, podczas gdy agencja detektywistyczna Amy Jane niemal dogorywała.

Pewnego dnia będzie miała swoje własne biuro, lecz póki co musi zadowolić się pokojem w pensjonacie. I wtedy jej kalendarz będzie pełen umówionych spotkań z klientami. Nie tak jak dziś, gdy nikogo się nie spodziewała.

Spojrzała na datę na równo poskładanej teraz gazecie. Piątek, 14 kwietnia. Data przypomniła jej, że w przeciwieństwie do Claire, dwadzieścia lat skończyła już dość dawno. Zbliżając się do trzydziestki należało nadać swemu życiu określony, stabilny kurs. To, że niezbyt dobrze sobie radzi,

strasznie ją denerwowało. Bardziej nawet niż jej młodsza siostra.

Ale Claire radziła sobie doskonale już mając dwa lata, kiedy to próbowała przemienić swą dużą starszą siostrę w możliwego do zaakceptowania gościa na jej dzieciennych przyjęciach. Już misie bywały lepszymi gośćmi. Przynajmniej nie protestowały, gdy się je przebierało.

Wiedziała, że Claire ciągle jeszcze nie straciła co do niej nadziei. Niczym świeżo poślubiona żona, Claire wciąż wierzyła, że uda jej się ją zmienić. Amy Jane wzięła z biurka gazetę i ruszyła w kierunku schodów, potrząsając głową. Ta wiara była równie naiwna, jak czytanie horoskopów.

*

Zanosilo się na długi, nudny dzień. Ponieważ nie spodziewała się żadnych klientów, pozwoliła Claire nakłonić się do pomocy w pensjonacie. Należało jakoś zapracować na swoje utrzymanie. Wróciwszy do biurka wrzuciła zmiętą kartkę papieru do drucianego kosza, pełnego podobnych temu świadectw jej nieustających prób związania końca z końcem. Zastanawiała się, czy Philip Marlowe kiedykolwiek musiał zniżyć się do ślania łóżek i układania kwiatów, by zapłacić rachunki. Jakoś w to wątpiła.

Uśmiechnęła się na widok oprawionej w ramki fotografii jej i Claire, stojącej na biurku; nawet fizycznie nie były do siebie podobne. Claire była wysoka, szczupła i zawsze nienagannie ubrana. Ani jedno pasmo jej długich, płowych, prostych włosów nie wymykało się ze starannej fryzury. Miała rysy eleganckiej dreźnieńskiej lalki, a ubierała się klasycznie, lecz zarazem kobieco. Amy była od niej niższa o cztery cale i, choć wąska w biodrach, kształty miała pełniejsze. Jej ubrania były,

powiedzmy, oryginalne, lecz nie była to wymuszona oryginalność projektanta. To Amy Jane była oryginalna.

Włosy miała równie długie, jak Claire, lecz jasnobrązowe i naturalnie falujące. Jej rysy, choć ujmująco nieregularne, były bardziej wyraziste. Miała duże oczy i pełne usta. Można by powiedzieć, że Claire otrzymała rodzinne perły, zaś Amy Jane dostał się stary zegarek ojca ze skórzanym paskiem.

Otrząsnęła się z zadumy, odsunęła na bok zgromadzone na biurku szpargały i oparła stopy wygodnie na uzyskanej w ten sposób powierzchni. Otworzyła nową puszkę zimnej pepsi, po czym zaczęła zastanawiać się nad swoją nieco kłopotliwą sytuacją.

Większość pieniędzy, które zarabiała jako prywatny detektyw, pochodziła od firm ubezpieczeniowych, badających podejrzane przypadki domniemanych nadużyć. Było to śmiertelnie nudne zajęcie, polegające na przesiadywaniu w ukryciu, by przyłapać na chodzeniu ludzi, którzy twierdzą, że chodzić nie mogą. Zapewniało jednak pewien dochód, choć sprawy, którymi się zajmowała, nie były interesujące ani ekscytujące, ona zaś pragnęła pracować nad przypadkami, o jakich czytała w powieściach kryminalnych, gdy była młodą dziewczyną.

No cóż, nawet jej horoskop nie poradził sobie z niewłaściwym mężczyzną, którego pojawienie się zapowiadał. Po prostu nie należy wierzyć we wszystko, co się czyta.

Wstała i podeszła do zalewanego deszczem okna, by popatrzeć na ziemię majątku Chadwick. Po śmierci rodziców odziedziczyła wraz z Claire dom rodzinny. Minęły właśnie dwa lata, jak zginęli w wypadku. Wtedy okazało się, że jej kochający przyjemności rodzice żyli ponad stan. Dziewczęta odziedziczyły dom, lecz nie pieniądze na jego utrzymanie. Miały co prawda gdzie spać, ale same musiały postarać się o śniadanie.

Ani ona, ani Claire nie potrafiły wyobrazić sobie, że mogłyby sprzedać dom pełen wspomnień o rodzicach, którzy żyli w nim tak długo. Stanowił ogniwo łączące je z przeszłością.

Było tak ciemno, że ledwie rozróżniała kształty kortu, basenu i ogrodu. Łagodnie opadające zbocze zamykało horyzont. Gdy tak stała przy oknie, pogrążona w rozmyślaniach, błyskawica poprzedzająca uderzenie pioruna rozświetliła pokój niesamowitym blaskiem. Pukanie do drzwi nastąpiło tak szybko po grzmocie, iż omal go nie dosłyszała.

Siostra upierała się, by Amy zamykała drzwi do swego pokoju, skoro nie potrafi utrzymać w nim porządku i zrezygnować z wieszania na ścianach plakatów. Obecnie ścianę za biurkiem ozdobił duży poster André Agassiego. Amy miała słabość do przystojnych buntowników.

Jeszcze jedna cecha skłaniająca Claire do kiwania nad nią głową z pożałowaniem. Drogiej Claire potrzebny jest mąż, który odciągnąłby jej uwagę, pomyślała nie po raz pierwszy Amy Jane, podchodząc do drzwi. I być może parka dzieciaków, marzyła dalej złośliwie. Wtedy przekonalibyśmy się, czy każdy włos jest dalej na swoim miejscu, a każda gazeta starannie poskładana.

Otwierając drzwi sypialni, pomyślała, jak to dobrze, że z reguły nie ulega swojej słabości do przystojnych buntowników. Pensjonat najwyraźniej zyskiwał coraz lepszą klientelę. Albo Claire zatrudniła lokaja, nic jej o tym nie mówiąc. Lecz lokaj nie patrzyłby tak spode łba, nie miałby tak groźnej, nachmurzonej miny. Nie, ten tutaj wyglądał raczej na jakąś lokalną znakomitość. Stał przed nią i przyglądał się jej, jakby była jakąś zjawą... a ona po prostu nie mogła się odezwać, co jej się prawie nigdy nie zdarzało. Stała przyglądając się, jak grube krople deszczu spływają po jego kształtnej szczęce i spadają na smoking.

Oczywiście wiedziała, że buntownicy nie noszą smokingów. Tym, co naprawdę ją zaintrygowało, było przekłute ucho bez

kolczyka i lekki zez ciemnozielonych oczu. Gdyby wcześniej nie rozpoznała w nim miejscowej znakomości, powiedziałyby, że ma coś wspólnego z wojskiem, a to z powodu bardzo krótko obciętych włosów. Nigdy wcześniej nie myślała, że krótkie włosy mogą być tak niewiarygodnie seksowne. U odpowiedniego faceta oczywiście. On był odpowiednim facetem.

Prawdę mówiąc, wyglądał jak męski odpowiednik blondynki (choć jego włosy były ciemne) o czerwonych wargach, długich, obleczonych w pończochy nogach i z kupą kłopotów na głowie. Słowem — bohaterka żywcem wyjęta z powieści Chandlera. A zatem jej horoskop co prawda nieco się opóźnił, ale bez wątpienia dostarczył to, co zapowiedział. O rany!

— Proszę mi wybaczyć, najwidoczniej trafiłem do niewłaściwego pokoju.

Skierował się z powrotem ku drzwiom. Oto najwyraźniejszy przykład subiektywnej dedukcji, pomyślała Amy Jane, usiłując zapanować nad mimiką. No cóż, skoro taki facet, jak on, nie ma gdzie spać w taką noc, kimże jest ona, by go odprawiać? Minęło już trochę czasu, odkąd zrobiła ostatni dobry uczynek. Błyskawica rozświetliła pokój. No dobrze, sporo czasu.

Po raz pierwszy dostrzegła korzyści płynące z wynajmowania pokoiów obcym, choć była pewna, że Claire padłaby z wrażenia widząc, jak Amy pojmuje gościnność.

— A którego pokoju pan szuka? — zawołała wracając do przytomności, gdy biedny facet brnął już przez hol, brudząc błotem wszystko dookoła.

Zatrzymał się i odwrócił by na nią popatrzeć.

— Prawdę mówiąc, szukam pewnej osoby.

— Osoby?

Powinna była wiedzieć. Widocznie był jednym z tych świeżo poślubionych małżonków, którzy wyszedłszy na chwilę, zapominają numeru pokoju, w którym zostawili stęsknioną połowicę. Problem polegał na tym, że absolutnie nie wyglądał na

faceta, który mógłby zapomnieć, gdzie zapodział kobietę. A poza tym, gdyby mężczyzna tego pokroju ożenił się, Amy na pewno przeczytałaby o tym w jakiejś gazecie. Chyba że napisali o nim w kolumnie sportowej. Może warto ją częściej przeglądać, pomyślała Amy, skoro jest tam więcej o facetach takich jak ten. Sprawozdawcy sportowi zwykle nie prezentowali się najlepiej. A ten — wręcz przeciwnie. Lub może oświetlenie holu było zbyt słabe.

— No cóż — powiedział facet niezdecydowanie, a potem popatrzył na trzymany w ręku skrawek papieru i przeczytał: — Nazywa się A. J. Chadwick. Proszę posłuchać, pewnie dostałem zły adres. To rodzaj pensjonatu, prawda? A przynajmniej tak wywnioskowałem z tablicy, którą przeczytałem, gdy tu jechałem. Padało tak strasznie, że ledwo mogłem cokolwiek odczytać. Ale kiedy tu wszedłem, aby zadzwonić i sprawdzić, czy adres, który dostałem, jest dobry, ta miła pani ze smugą mąki na nosie powiedziała, że znajdzie A. J. na górze, w pokoju w końcu korytarza. A może jest tu jakiś inny korytarz?

Był wyraźnie zmieszany. I mokry.

— Sądzę, że będę mogła panu pomóc — powiedziała Amy Jane. — Ale najpierw proszę wejść, dam panu jakiś ręcznik.

— A więc zna pani A. J.? — spytał nie ruszając się z miejsca i przyglądając się jej taksująco.

— Mniej więcej. Czasem mniej, czasem więcej — odparła. Nawet nie drgnął. Wyciągnęła rękę.

— To ja jestem A. J. Chadwick — wyjaśniła.

Nie wydawał się ani trochę mniej zmieszany. Amy zaczęła się zastanawiać, czy w trakcie swojej hokejowej kariery, zanim jeszcze został sprawozdawcą sportowym, nie odniósł przypadkiem kontuzji głowy. Pamiętała, że to właśnie kontuzja była przyczyną jego przedwczesnego odejścia z drużyny. Jakichkolwiek by jednak urazów nie doznał, jego zęby pozostały nienaruszone, a buźka doskonała.

— Amy Jane Chadwick... — wyjaśniała dalej.

— Ach, tak. — Nadal wyglądał jak ktoś schwytyany w pułapkę. A do tego zmieszany. I okropnie mokry.

— Proszę tu poczekać — poleciła, by w chwilę później wręczyć mu puszysty ręcznik.

Wziął go, podjął pobieżną próbę osuszenia się, po czym zwrócił jej ręcznik i ponownie spróbował się wymknąć.

— Proszę posłuchać, A. J., to jest, Amy Jane — zaczęła, pocierając koniuszek ucha — jestem pewien, że to jakieś nieporozumienie. Widzi pani, ja szukam A. J. Chadwicka, który jest prywatnym detektywem.

— I dobrze, znalazł ją pan.

— Ja. Pani jest dziewczyną.

— Kobieta — poprawiła.

— Tak, ale...

— Może przejdziemy do mojego biura — powiedziała, widząc iż słowo pokój wyraźnie wprawia go w zmieszanie. Widocznie padł w przeszłości ofiarą licznych łowczyń alimentów. — Jestem prawie pewna, że będę mogła panu pomóc. A tak nawiasem mówiąc, to kto mnie panu polecił? — spytała, dorzuciwszy wilgotny ręcznik do stosu ubrań, które zdjęła z krzesła, by zrobić dla niego miejsce.

— To ten barman z knajpy dla sportowców, gdzie zwykle przesiadują hokeiści, gdy drużyna jest w mieście. Ma na imię James.

— Ach, wujek James — powiedziała, skinąwszy głową. No tak, teraz wszystko jasne. — To mu sprawia przyjemność. Myśli, że jak będzie mówił o mnie A. J., to przysporzy mi klientów. Być może ma rację. Nie uwierzy pan, ale niektórzy mężczyźni nie mają dość jaj, by zatrudnić detektywa — kobietę.

Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że najpierw z trudem przełknął ślinę. Gdy doszedł do siebie, spróbował się przedstawić.

— Nazywam się...

— Max Armstrong. Wiem.

— Ach tak.

— Bycie kimś znanym musi być czasami dokuczliwe, prawda? — powiedziała, bawiąc się spinaczem do papieru.

— Czasami — zgodził się. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się w przód.

Zachichotała.

— Ma pan na myśli chwile takie, jak ta, kiedy nie może pan po prostu splawić mnie grzecznie, zamiast powiedzieć po prostu, o co chodzi.

— A o co chodzi?

Spojrzała mu prosto w oczy, nawet nie mrugnawszy.

— A zatem jest pan jednym z tych facetów... — powiedziała, rzucając mu wyzwanie i pragnąc, by zaprzeczył.

Oparł głowę na czubkach palców. Widać było, że jest zmęczony, mokry i nie w nastroju, by stawić jej czoło. Chwilę przyglądał się jej przez ciemne, proste rzęsy.

— Jest pani bardzo ostra. Gdzie się pani tego nauczyła? Nie pamiętam, bym kiedykolwiek grał przeciwko pani w hokeja, kiedy jeszcze w ogóle grywałem.

— *Touche*, panie Armstrong.

— Max. Mów mi Max.

— Max. Nauczyłam się być twarda, bawiąc się w dobrych i złych gliniarzy.

— Byłaś gliną?

— Niezbyt długo. Nie odpowiadało mi to.

— Co ci nie odpowiadało: bycie dobrym czy złym gliniarzem? — spytał ironicznie.

— Wiesz, uważam, że życie powinno być sprawiedliwe. I nie mogę się pogodzić z myślą, że ono takie po prostu nie jest. Tak czy inaczej, szybko zorientowałam się, że naprawdę interesuje mnie rozwiązywanie zagadek.

— Więc zostałeś prywatnym detektywem — powiedział z powątpiewaniem w głosie.

— Taak, mam tu gdzieś licencję — zaczęła grzebać w stosach papierów, zalegających biurko — jeśli chcesz ją zobaczyć.

Potrząsał głową.

— Wystarczy mi wizytówka — zapewnił, sięgając do stojącego na biurku wizytownika z brązu.

Czekała, kiedy przyglądał się małej karteczce, odtwarzając sobie w pamięci jej wygląd. Swego czasu dobrą chwilę zajęło jej wymyślenie, jak ma wyglądać.

*Tajemnice Wyjaśnione * Rachunki Wyrównane*

AMY JANE CHADWICK
detektyw prywatny

P.O. Box 56

St. Louis, Mo. 63146

314 -426 -2700

— A więc nie A. J. Chadwick? — powiedział, wsuwając wizytówkę do kieszeni smokinga. Wstał.

— Nie, tylko wujek James tak mnie nazywa. To bardzo przekorny człowiek. Czy wiesz, że kilka lat temu przeszedł operację wszczepienia bypasów, a mimo to jeszcze w zeszłym miesiącu uprawiał skoki z liną?

— Na pewno z nim poszłaś... — stwierdził i nie mrugnawszy okiem skierował się ku drzwiom.

— Nawet mnie nie poprosił, gdyż zdawał sobie sprawę, że gdybym wiedziała, co zamierza, nigdy bym na to nie pozwoliła. Chwileczkę, a dokąd to?

— Ja... to jest...

Przeszkodziło im dyskretne pukanie. Oboje odwrócili głowy w stronę drzwi.

— Amy Jane? Zrobiłam herbatę. Pomyślałam, że ty i... i twój znajomy chętnie się napijecie. Czy mogę wejść?

— Moja siostra, Claire — wyjaśniła. — Zastanawiałam się, ile czasu jej to zajmie.

— Kobieta z mąką na nosie, jak przypuszczam?

— Ta sama. Bądź miły.

Max obrzucił ją spojrzeniem, gdy zachęcała Claire, by weszła.

Smuga mąki dawno zniknęła z nosa Claire, choć Amy Jane była pewna, że jej siostra nawet z nosem ubrudzonym mąką wyglądała czarująco. I bardzo kobieco. Claire zawsze wyglądała kobieco, cokolwiek by robiła. Mogło to być nawet przekopywanie różanego ogródka. Teraz ubrana była od stóp do głów w ciuchy Laury Ashley, a w rękach trzymała srebrny serwis, który przyprawiłby o bicie serca samą Marthę Stewart.

— Kiedy skończyłam robić maślane bułeczki do jutrzejszej kolacji i odłożyłam je, by wyrosły, postanowiłam zaparzyć herbatę. Sądziłam, że chętnie się napijecie. Mamy taki paskudny wieczór.

— Może postawisz tacę na moim biurku? — powiedziała Amy. — Oczywiście wypijesz z nami.

Claire postawiła tacę i powiodła oczami od Maxa do Amy, czekając, by ją przedstawiono.

— O rany, zapominam o zasadach grzeczności — powiedziała Amy Jane, podchwyciwszy spojrzenie Claire. Zwracając się do Maxa, wyjaśniła: — Claire nie interesuje się zbyt sportem, nie ma więc pojęcia, kim jesteś. Pozwólcie, że was sobie przedstawię. — To jest Max Armstrong — powiedziała, zwracając się do Claire.

— Max jest sprawozdawcą sportowym meczy drużyny hokejowej Lwów. Max, to moja siostra, Claire.

— Miło mi pana poznać, panie Armstrong. — Claire uśmiechnęła się miło i wyciągnęła do niego zadbaną dłoń.

— Max — powiedział, wstając grzecznie, by ucałować podaną sobie rękę.

— A poznał pan Amy w... Claire najwyraźniej szła w ślady wuja Jamesa.

Amy Jane przez chwilę życzyła jej, aby zapadła się pod ziemię, gdyż zobaczyła błysk rozbawienia w oczach Maxa. Zastanawiała się, która z nich tak go rozbawiła: ona, Claire czy może obie razem. Co do niej, to wcale nie czuła się rozbawiona.

— Jest tu w interesach, Claire — postanowiła szybko wyjaśnić sytuację, zanim wścibstwo siostry jeszcze ją pogorszy. — Max właściwie wcale mnie nie zna.

— Och, a zatem jest klientem.

— Właściwie jeszcze...

Ostrzegawcze spojrzenie Amy powstrzymało go.

— No cóż, nie rozmawialiśmy dotąd o mojej sprawie — powiedział siadając ponownie i popatrzył zdziwiony na Amy Jane.

Claire naląła herbatę do filigranowych porcelanowych filiżanek. Serwis, którego teraz używały, bardzo różnił się od tego, którym bawiły się w dzieciństwie. Nawet nie przyjdzie jej do głowy, że mężczyzna mógłby woleć herbatę w zwykłym, mocnym kubku, pomyślała Amy Jane, uśmiechając się do siebie.

Max uniósł brwi, lecz przyjął oferowaną sobie delikatną filiżankę wraz ze spodkiem, mężnie próbując umieścić ją na kolanie. Amy Jane obserwowała go zastanawiając się, ile też może kosztować czyszczenie smokinga.

Claire podsunęła im talerzyk z ciasteczkami, po czym podeszła do okna i stała tam, wpatrując się w deszczową noc i sącząc swoją herbatę.

Max spróbował herbaty, głośno ją pochwalił, po czym powiedział:

— A więc obie miłe panie prowadzą tu agencję detektywistyczną z noclegiem i śniadaniem? Czy obie jesteście prywatnymi detektywami?

W porządku, więc nie jest męskim odpowiednikiem głupiej blondynki, pomyślała Amy Jane.

Claire zakrztusiła się herbatą. Uspokoiwszy się, powiedziała:

— Oczywiście, że nie. Ta cała agencja to pomysł Amy Jane.

W powietrzu wisiało nie wypowiedziane słowo „niedorzeczny”.

— Amy pomaga mi także w prowadzeniu pensjonatu. A propos, Amy, nie zapomnij, że jesteś mi jutro potrzebna przy zakupach.

— Przykro mi, ale teraz nie mogę, mam sprawę — powiedziała Amy Jane, odbijając piłeczkę. Nienawidziła kupowania żywności. Nienawidziła zakupów. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Claire odnosi się do nich z takim entuzjazmem.

Uśmiech rozchylił pełne wargi Maxa. Wreszcie zrozumiał, dlaczego upierała się przy tym, że jest jej klientem, choć dotąd nie powiedział jej słowa o swoich kłopotach.

Gdzieś daleko uderzył piorun. Deszcz zelżał do lekkiej ulewy, unoszone wiatrem strugi przestały uderzać o szyby.

— Miałam zamiar zrobić saszetki z suszonymi płatkami róży, ale chyba zamiast tego pójdę na zakupy — powiedziała Claire.

Max zmarszczył brwi.

Amy Jane zaczęła pospiesznie wyjaśniać:

— Claire sama robi potpourri z płatkami róż, które zbiera w ogrodzie. Suszy je, miesza z innymi suchymi kwiatami i ziołami, a potem sprzedaje naszym gościom „zapach Chadwick”.

Claire, ze swymi manierami i delikatnością, mogła wyglądać na dziewiętnastowieczną damę, ale głowę do interesów miała całkiem współczesną.

— To jest niczym dodanie szczypty goździków do ciasta brzoskwiniowego — stwierdziła Claire z uśmiechem. — Nasi goście doceniają pracowite zajęcia, dzięki którym powstaje coś niepowtarzalnego.

— I, co ważniejsze, chętnie za to płacą — wtrąciła Amy Jane.

— Lubisz brzoskwiniowe ciasto, Max? — spytała Claire.

Upewniwszy się, że tak jest w istocie, przeprosiła i wyszła, zostawiając ich samych, by porozmawiali o sprawie, z którą przyszedł Max.

Jej wyjście sprawiło, że atmosfera stała się bardziej intymna. Nagle Amy poczuła się bardzo niepewnie. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć, ani gdzie patrzeć. Mimo wszystko zupełnie się przecież nie znali.

To Amy Jane w końcu pierwsza ośmieliła się przerwać ciszę.

— Czy zawsze ubierasz się tak formalnie, gdy masz zamiar wynająć detektywa? — spytała, wskazując na jego smoking.

Nosił go niczym profesjonalny model. Widać było, że lubi dobrze się ubrać i przywiązuje wagę do tego, co ma na sobie. Smoking nie był wypożyczony, lecz szyty na miarę. Za tą fasadą krył się jednak inteligentny człowiek, z pewnością nie dandys ani lalusz, jak zwykle określano mężczyzn nadmiernie dbających o swój wygląd.

— Wieczorem mam przyjęcie z okazji wręczenia nagrody — wyjaśnił. — Będę przemawiał. Popatrzyl na zegarek. — Muszę bieć. Jest już po siódmej.

— Ale nie rozmawialiśmy jeszcze o twojej sprawie — zaprotestowała Amy Jane, widząc, że zbiera się do wyjścia. — Nie możesz się trochę spóźnić? Czyż te przyjęcia nie ciągną się w nieskończoność?

Przez chwilę rozważał ten pomysł. Widziała, że się waha. Jednak z jakiegoś powodu nie zdecydował się zostać i ruszył do drzwi.

— Mam twoją wizytówkę — powiedział. — Pozwól, że to przemyślę, a potem do ciebie zadzwonię.

Wyszedł. Gdyby nie fakt, że Claire też go widziała, Amy Jane mogłaby pomyśleć, że była to tylko zjawą, która przyszła do niej w deszczową noc. Ktoś, o kim marzyła, podobny do tych blondynek z kłopotami, które zawsze pojawiają się na kartach kryminalistów, gdy prywatny detektyw od dwóch miesięcy zalega z czynszem. Powiedział, że zadzwoni. Wiedziała, że tego nie zrobi.

Jeśli chciała dostać tę robotę, musiała wytropić Maxa Armstronga i przekonać go, że jest jedynym prywatnym detektywem, który potrafi poradzić sobie ze sprawą — jakakolwiek by ona była. To jasne, że nie miał zamiaru wynająć detektywa kobiety. Drogi wujek James zwyczajnie go wrobił. Obiecując, że zadzwoni, Max był po prostu grzeczny. Jak przystało na mężczyznę o doskonałych manierach, wspaniałym wyglądzie i sporej dozie inteligencji, kryjącej się za tymi mrocznymi, zielonymi oczami. Lecz, co najważniejsze, był potencjalnym klientem. I nie zamierzała pozwolić mu się wycofać. Póki co, musi podziękować wujowi Jamesowi za wtrącanie się w jej sprawy.

Popatrzyła na zdjęcie, przedstawiające jej ojca i wuja Jamesa z czasów, gdy byli młodymi mężczyznami. I bliźniakami. Nadali jej wtedy zdrobniałe przezwisko: Słodka Amy Jane. Nazywali ją tak, od kiedy skończyła dwa lata. Pewnie dlatego, że wcale nie była słodka. W siedem lat później urodziła się Claire i to ona miała być tą słodką istotą w rodzinie.

Wyciągnęła się wygodnie na krzesło i zaczęła rozmyślać o tym, jakież to kłopoty może mieć Max Armstrong.

Nie wyglądał na faceta, któremu trzeba pomagać w rozwiązywaniu problemów. Pomimo doskonałego wychowania, pod maską dobrych manier krył się hokeista.

Próbując sobie wyobrazić, co też mogło skłonić Maxa do szukania profesjonalnej pomocy, pozwoliła swoim myślom swobodnie dryfować.

Może był hazardzistą i ktoś naciskał go, by spłacił długi? Lecz nic nie wskazywało, by potrzebował osobistej ochrony. Być może chodziło o szantaż. Lecz nie, wtedy obawiałby się wyjawić jego przyczynę komuś obcemu. Właśnie na tym strachu żerowali szantażyści. Chyba że nie miało się pieniędzy, lecz Max podpisał nie tak dawno niezwykle intratny kontrakt. Odszkodowanie dla byłej narzeczonej. Przecież już wcześniej o tym myślała. Może to było właśnie to. Nie, coś by przecież do niej dotarło. W takiej sytuacji niełatwo było uniknąć rozgłosu, zwłaszcza jeśli było się kimś znanym. Zbyt smaczny był to bowiem kąsek dla prasy. Do diabła, skąd mam wiedzieć? To mogło być wszystko. Absolutnie wszystko. Cokolwiek jednak to było, instynkt podpowiadał jej, że było krępujące. Wydawało jej się, że jego odmowa zwierzania się detektywowi kobiecie ma mniej wspólnego z uprzedzeniami wobec płci, a więcej z zakłopotaniem.

Zaintrygowana, jeszcze przez jakiś czas zastanawiała się nad tym, co też by to być mogło, po czym zeszła na dół, by pogadać z Claire. Claire całkiem dobrze znała się na ludziach. To właśnie po części dlatego odnosiła takie sukcesy w zarządzaniu pensjonatem.

Znalazła ją leżącą na krytej perkalem sofie w bibliotece, czytającą romans. Gdy Amy Jane opadła na sofę obok niej, Claire podniosła wzrok znad książki.

— I co o nim sądzisz? — spytała Amy.

— To łakomy kąsek. Masz zamiar się z nim umówić? — spytała, odkładając książkę.

— Nie mogę się z nim umawiać, Claire. On jest klientem, a umawianie się z klientami jest nieetyczne.

2

— Co ty tu robisz, Claire? — spytał James Chadwick, zdziwiony widokiem swej młodszej bratanicy, wkraczającej do baru dla sportowców. Wydawała się dziwnie nie na miejscu w tej hałaśliwej, zadymionej speluncie z wielkim telewizorem, gdzie prowadził bar. Na całym swoim eleganckim blond ciele miała wypisaną raczej wytworną herbatkę u Ritza.

— Wuju Jamesie, musisz coś zrobić z Amy Jane! — krzyknęła, podchodząc do baru, gdzie stanęła, nie próbując nawet wdrapać się na stółek w wąskiej niczym ołówki spódniczce.

— Dlaczego? Cóż twoja starsza siostra znowu zrobiła? — spytał pobłażliwie, podczas gdy drużyna hokejowa Lwów z St. Louis tłumnie ruszyła do baru.

— Znowu wydaje jej się, że jest Nancy Drew. Już wystarczająco żenujące było to, że zajęła się dochodzeniem dla towarzystw ubezpieczeniowych, a teraz kazała sobie jeszcze wydrukować wizytówki prywatnego detektywa.

— Dwa kufle piwa i szklaneczkę białego St. James — zawołała drobna blond kelnerka, stojąca przy najbliższym stoliku, zajmowanym przez hokeistów.

Claire położyła na barze skórzaną torebkę i zaczęła w niej grzebać, podczas gdy wuj James realizował zamówienie.

— Claire, to jest Miranda Sherman — przedstawił kelnerkę, stawiając przed nią zamówione piwa.

— Skąd ją wytrzasnąłeś, James, z przedszkola? — powiedziała Miranda, wyciągając dłoń.

— Ona jest moją bratanicą — wyjaśnił.

— O, przepraszam. Wszystko przez ten mój długi język. — Miranda wzruszyła ramionami i puściła dłoń Claire. — Nie zapomnij o winie dla Maxa, James.

— Maxa? — zainteresowała się Claire.

— Taak, sprawozdawcy Lwów — odparła Miranda, wskazując go Claire. — Czyż nie jest wart, by dla niego umrzeć? Uroda, kultura i pieniądze — czy dziewczyna może pragnąć więcej?

— Masz swoje wino, a teraz spływaj. Muszę pomóc Claire rozwiązać pewien problem.

— Stale ci to powtarzam, James: jesteś tu po to, by słuchać o problemach, a nie rozwiązywać je — powiedziała Miranda, wzięła trunki i skierowała się ku zgrzanym, spoconym i spragnionym hokeistom.

— Spójrz tylko na to — Claire podała wujowi plik wizytówek. — Znalazłam je w recepcji. — Amy Jane wyłożyła je tam dla klientów pensjonatu. To wcale nie jest śmieszne — oburzyła się ze łzami w oczach, kiedy wuj James wybuchnął śmiechem, przeczytawszy wizytówkę.

— Musisz przyznać, że ta wizytówka bardzo ją przypomina. Cała Amy Jane!

— I na tym właśnie polega problem. Poświęciłam mnóstwo czasu, by stworzyć określony wizerunek pensjonatu Chadwick. Co sobie pomyślą nasi klienci? Musisz ją powstrzymać.

Wuj James śmiał się już teraz z całego serca.

— Powiedz mi, Claire, czy komukolwiek udało się kiedyś powstrzymać Słodką Amy Jane?

— Nie, ale...

W końcu, widząc że Claire jest rzeczywiście zdenerwowana, ustąpił.

— No, dobrze, porozmawiam z nią, ale niczego nie obiecuję.

*

Amy Jane wylegiwała się w łóżku, z zadowoleniem przyglądając się ciepłym słonecznym promieniom, igrającym na dziurkowanej narzucie. Jak miło było znowu zobaczyć słońce po kilku szarych, deszczowych dniach! Leżała wsparta o stos białych poduszek, wyściełających mosiężne, białe emaliowane łóżko. Na poduszkach znajdował się wyszyty jedwabiem monogram C — efekt pracy Claire. Wszystko, co tylko nosiło jakiegokolwiek znamiona elegancji, należało przypisać wyrafinowanemu smakowi jej młodszej siostry. Dla Amy Jane poduszka powinna po prostu zapewniać wygodę. Przeciągłe ziewnięcie świadczyło o źle przespanej nocy.

Gdy rozglądała się po swoim zabałaganionym pokoju, z jego niczym nie przykrytą drewnianą podłogą, białym drewnianym krzesłem Adirondack i bielonym obramowaniem kominka, widziała uroczy, pełen prostoty styl domku-nad-morzem. Wygląd pokoju w pełni ją satysfakcjonował.

Jednak Claire wchodząc tu miała przed oczyma całkiem inny obraz. Dostrzegła przede wszystkim beztrosko porzucone na podłodze stosy ubrań, porozrzucone czasopisma i gazety, a także zapchane papierami biurko. Jednym słowem — widziała bałagan.

Z początku Claire próbowała przynosić Amy koszyki i wyłożone jasnym papierem pudła na kapelusze, które miały pomóc w utrzymaniu porządku, lecz Amy Jane tak długo upychała je w szafie, aż wreszcie Claire się poddała.

Amy Jane uśmiechnęła się, myśląc o swoim pokoju. Niewątpliwie przyczyniła się do powstania skazy na pewnej artystycznej formie. Rzecz nie w tym, że pokój nie był czysty.

Był. W tym względzie Amy była równie skrupulatna, jak wtedy, gdy chodziło o nią samą. Po prostu składanie rzeczy sprawiało jej pewien problem. Stanowczo nie była w tym mistrzem..

Westchnęła, wracając myślami do przyczyny bezsennej spędzonej nocy. Jej ciało zdawało się ciepłe i nadmiernie wrażliwe pod chłodnym, miękkim prześcieradłem.

Przez chwilę zastanawiała się, czy wizyta Maxa Armstronga tylko się jej przyśniła. Poza wzięciem z jej biurka wizytówki nie zostawił ani jednego materialnego śladu, który wskazywałby, iż rzeczywiście przebywał w jej pokoju. Mógł to być równie dobrze dziwaczny sen, spowodowany na przykład niestrawnością.

Jeden Bóg wie, jak bardzo już była znudzona. Śledztwa przeprowadzane na zlecenie towarzystw ubezpieczeniowych były niczym więcej, jak nudną harówką, pozostawiającą zbyt wiele czasu na tworzenie bardziej ekscytujących scenariuszy. Ale Max Armstrong? Na pewno nie. A potem ją zobaczyła.

Promień słońca padł prosto na czarną spinkę do mankietu, leżącą na podłodze tuż obok krzesła, na którym siedział wczoraj Max, odmawiając jej opowiedzenia o problemie, który skłonił go do szukania pomocy prywatnego detektywa. Spinka leżała tam, niczym szklany pantofelek Kopciuszka. Chwilę przyglądała się jej krytycznie, po czym wstała z łóżka i pobiegła boso do krzesła, nie zważając na swoją nagość. Podniosła spinkę, by lepiej jej się przyjrzeć. Może uda się dowiedzieć w ten sposób czegoś więcej o Maxie. Z nadzieją obracała spinkę w dłoniach. Był to prosty i elegancki drobiazg. Z pewnością spodobałby się Claire. Rozmyślając podrzucała spinkę, by potem łapać ją jedną ręką. Spinka do mankietu. Spinka Maxa? Może uda się jakoś wykorzystać to, że ją znalazła. Czy o to właśnie chodziło Maxowi, choćby podświadomie? Trudno było zapanować nad przeczuciami i logicznie przemyśleć sprawę. Zwłaszcza, jeśli przeczucia zwykle usłużnie podpowiadały jej to, co pragnęła usłyszeć.

Czy powinna zatem zignorować przeczucia i po prostu dorzucić spinkę do kolekcji spinek ojca, które trzymała w stojącej na biurku misie z niebieskiego szkła? Nosiła je od czasu do czasu, odkąd znów stały się modne jako część stylu dandysa. A może po prostu chwyciła się słomki, ponieważ straciła w zeszłym tygodniu sprawę, na której bardzo jej zależało. Wydawało jej się, że zasłużyła, by dostać sprawę skradzionej biżuterii, a tymczasem towarzystwo ubezpieczeniowe powierzyło ją znanej agencji detektywistycznej.

Uśmiech Kota z Cheshire przemknął po twarzy Amy Jane. Niemal czuła, jak sięga jej uszu. I co z tego, nawet jeśli taki był powód. Przeczucie mówiło jej, że jest to sprawa, jakiej potrzebuje, więc zrobi wszystko, by ją dostać. Tym bardziej, iż nie widziała żadnego logicznego powodu, żeby tak się nie stało. Rozwiązanie takiej sprawy — w końcu Max był przecież miejscową znakomitością — mogłoby przynieść wyłącznie korzyści.

Zgubiona spinka stanowiła świetny pretekst, by go podpytać. Wiedziała już, od czego zacznie. Wuj James.

Pójdzie do baru, by się z nim zobaczyć i przy okazji przekaze mu spinkę, by oddał ją Maxowi — oczywiście zapakowawszy ją przedtem starannie, by nie dać wujowi powodu do domyślnego unoszenia brwi. A kiedy już tam będzie, z pewnością uda jej się wycisnąć z niego trochę informacji. Być może wiedział o tym, o czym Max nie chciał rozmawiać.

Sprawdziła swój terminarz. Nie miała dziś zbyt wiele do roboty. Właściwie należało tylko pójść do agencji ubezpieczeniowej, zainkasować czek i dowiedzieć się, czy mają dla niej jakieś nowe zlecenia.

Wzięła szlafrok i szczoteczkę do zębów i upewniwszy się, że płatni goście już się wynieśli, pozwoliła sobie na długi, gorący prysznic. Po powrocie do pokoju skropiła się perfumami o

zapachu świeżo zroszonych deszczem lilii, po czym wskoczyła w dżinsy, białą koszulkę i wiekową kamizelkę.

Sięgnęła do miski z błękitnego szkła, stojącej na biurku i wyjęła z niej parę srebrnych spinek, którymi spięła francuskie mankiety bluzki.

Podsuszone ręcznikiem włosy zaczynały już układać się na kształt chmury wokół jej twarzy, wyjęła więc opaskę z szuflady nocnego stolika i mocno związała je z tyłu głowy. Wsunęła na nogi sandały i nie umalowana wyruszyła na poszukiwanie Claire, a także ciepłych maślanych bułeczek, jeśli będzie miała szczęście. W połowie drogi na dół przypomniała sobie, że zostawiła otwarte drzwi do swojego nie uprzątniętego pokoju, wróciła więc i zamknęła je.

Na dole przystanęła. W powietrzu unosił się jeszcze kuszący zapach świeżych bułeczek, lecz ją bardziej przyciągał widok uchylonych drzwi biblioteki. Zbierając całą siłę woli postanowiła zlekceważyć ów syreni śpiew. Przyrzekła sobie, że nie przeczyta horoskopu. Pokonawszy na obie łopatki pokusę dowiedzenia się, co gwiazdy dziś dla niej przygotowały, ruszyła do kuchni. Czasami lepiej nie wiedzieć. Patrzcie tylko, co się stało, gdy przeczytała wczorajszy horoskop. „Mężczyzna nie dla niej” rzeczywiście się pojawił. Co prawda dość późno, lecz czyż mężczyźni zwykle się nie spóźniają? A co gorsza, mruzczała do siebie bezgłośnie, jej libido ziewało i przeciągało się. I żądało. Na domiar złego musiała zdecydować, czy jej zainteresowanie Maxem było aby na pewno wyłącznie profesjonalnej natury, czy też po prostu podobał jej się jako mężczyzna. Mogło być tak lub tak. Albo też i tak, i tak. Miał być jej klientem. Zawsze przecież może zignorować jeden rodzaj zainteresowania, a skupić się na drugim. Zracjonalizowawszy w ten sposób swoje pragnienie, by zobaczyć go ponownie, udała się na poszukiwanie Claire.

Szukając jej ustalała w myślach plan omotania Maxa. Skłoni Claire, by zaprosiła go na kolację, na swoje słynne

brzoskwińskie ciasto. Na pewno przyjmie zaproszenie. Nikt nigdy nie odmówił czarującej Claire. Nie pozwoliłaby na to. Żelazny motyl — oto jakże trafne określenie jej młodszej siostry. W iluż przyjęciach dla misiów ona sama uczestniczyła, choć niechętnie, gdy dorastały? Claire była jej coś winna.

Zastała siostrę w zalanej słońcem kuchni. Podłoga z czarno-białych kafelków lśniła, a miedziane rondle, ustawione na półce nad kuchnią, błyszczwały. Claire kończyła właśnie układać różę w dzbanie, który miał być ustawiony na długim drewnianym stole na krzyżakach, gdzie goście pensjonatu zwykle jadali śniadania.

— Zostały jakieś bułeczki? — spytała Amy, podnosząc płócienną serwetkę przykrywającą koszyk stojący na ladzie pokrytej białymi kafelkami.

Claire potaknęła.

— Możesz je podgrzać w kuchence, jeśli wystygły. W lodówce jest masło, dżem truskawkowy i świeży sok.

Amy Jane wsunęła bułeczkę do piekarnika kuchenki.

— Czy mam kupić też coś dla ciebie? — spytała Claire, podnosząc wzrok znad listy zakupów, którą właśnie przeglądała, podczas gdy Amy Jane buszowała w lodówce w poszukiwaniu soku. Znalazszy go, odwróciła się i popatrzyła na siostrę.

Claire miała na sobie długą jedwabną sukienkę w drobny wzorek i charakterystyczny dla siebie słomkowy kapelusz.

— Taak, prawdę powiedziawszy, jest coś takiego — odparła Amy, nalewając sobie soku.

— Cóż to takiego? — spytała Claire, trzymając w górze przygotowane do pisania pióro.

— Mogłabyś zdobyć dla mnie Maxa Armstronga — powiedziała Amy Jane, jak gdyby nigdy nic.

— Kogo?

— Maxa Armstronga. Chcę, żebyś go oczarowała i namówiła, by przyszedł dziś do nas na brzoskwińskie ciasto.

Claire oderwała listę zakupów od reszty bloku i przyjrzała się Amy Jane uważnie. — Dlaczego chcesz, żebym go zaprosiła?

— Jeśli już musisz wiedzieć, on nie jest jeszcze moim klientem.

— A ty chciałabyś, abym pomogła ci go przekonać, żeby cię wynajął?

— Nie, chcę tylko, żebyś była sobą i sprawiła, by dobrze się u nas poczuł. Resztę biore na siebie.

— Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

— Nie, ale zaproś go tak czy inaczej.

Claire podniosła torebkę, włożywszy do niej uprzednio listę. Czytałaś dziś rano swój horoskop?

— Nie, skończyłam z tym.

— To chyba dobry pomysł.

3

Znalazłszy się wewnątrz baru wuja Jamesa, Amy zamrugła, usiłując przyzwyczać wzrok do panującego tam półmroku, co nie było łatwe, zważywszy na słoneczną pogodę na zewnątrz. Stopniowo zaczęła rozróżniać szczegóły wystroju i wykładziny w kolorze głębokiej zieleni i burgunda. Dobrze wypolerowane drewno i mosiądz błyszczały w ciepłym oświetleniu. Ściany, pomalowane na kolor ciemnej leśnej zieleni, zdobiły rysunki, autografy i inne sportowe pamiątki. Olbrzymi telewizor umieszczono wysoko pod dogodnym do oglądania kątem. Ze zdziwieniem spostrzegła, że nastawiony był na jakąś mydlaną operę.

— Tu cię mam, stary grzeszniku! — zawołała, dostrzegłszy za barem wuja Jamesa.

Ten jednak nawet na nią nie spojrzał, gdy sadowiła się za masywnym, przeładowanym ozdobami barem. Zamiast tego

dalej gawędził z młodą kelnerką, przygotowując dla niej zamówione napoje.

Dziewczyna była drobną blondynką o błyszczących oczach i impertynenckim usposobieniu. Widać było, że ona i wuj James doskonale się rozumieją.

Amy Jane była po opuszczeniu policji przez jakiś czas kelnerką, wiedziała więc dobrze, iż silny charakter i zdolność do ciężkiej pracy to zalety, które pozwalają uzyskać więcej napiwków. Ponieważ nie posiadała żadnej z nich, dni kelnerowania szybko się dla niej skończyły.

Odeszła, zanim zwolniono ją za wygłoszenie jednej złośliwej uwagi za dużo. Nauczyła się tam jednak, że klient prawie nigdy nie miał racji. Wuj James powiedział, że jest zepsutym dzieciakiem.

— Sprawdźmy, herbata Long Island i trzy piwa — powiedziała kelnerka, po czym skierowała się w stronę stolika, przy którym siedzieli klienci.

Amy Jane czekała cierpliwie, aż wuj skończy polerować białą ściereczką i tak do czysta wypolerowany bar. Wreszcie, nie mogąc już dłużej grać na zwłokę, podszedł do miejsca, w którym siedziała.

— Cześć, Słodka — przywitał się. — Co tu robisz tak wcześnie rano? Pracujesz nad jakąś sprawą?

— Można by tak powiedzieć — odparła.

Wuj James wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

— Wypijesz coś, żeby to uczcić? — zapytał.

— Dobrze, daj mi colę.

Wuj James nigdy się nie ożenił, choć kobiety uwielbiały go. Teraz, kiedy miał już pięćdziesiąt lat, żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyszłaby za niego. Był niereformowalny. Nigdy nie zetknął się z żadnym złym nawykiem, który by mu się nie spodobał. Ale był taki kochany. I zawsze miał dla niej czas, choć z pewnością nie była najmilszym z dzieci. To Claire

zapraszała ukochane wuja na herbatki, gdy przyjeżdżał do nich na wakacje. Amy wkładała im do czepków żaby.

Najpierw wypróbowała swój pomysł na Claire, a ponieważ miło było posłuchać, jak wrzeszczy z obrzydzenia, zaczęła prześladować w ten sposób narzeczone wuja Jamesa. Przerażeni rodzice nie raz odsyłali ją do pokoju bez kolacji, lecz wuj zwykle wkradał się tam później i przynosił jej deser. Nic więc dziwnego, że rodzice w końcu uznali, iż ją zachęca.

I dalej to właśnie robił — nazywając ją znanym detektywem A. J. Chadwick i dyskretnie pomijając słowo żeński — dodawał jej odwagi i zachęcał, by wytrwała.

— Masz swoją colę — powiedział stawiając przed nią napój na papierowej serwetce. Sam rozsiadł się wygodnie naprzeciw filaru. Wyciągnął długie nogi, czekał by zaczęła mu dziękować za zdobycie nowego klienta.

— Wuju, wiem, że chciałeś dobrze — zaczęła upiwszy łyk — ale nie sądzę, żeby klient, którego mi przysłałeś, był aż tak przerażony, by nie zorientować się, że jestem dziewczyną.

— Ale jakoś to przeżył, prawda? — zachichotał.

— Nie jestem pewna.

— Co masz na myśli? Przecież jest twoim klientem, czyż nie?

— Taak, on tylko po prostu jeszcze o tym nie wie.

— Co?

— No dobrze, ciągle nad nim pracuję. I właśnie dlatego tu przyszłam. Miałam nadzieję, że pomożesz mi wpaść na jakiś trop. Pomyślałam sobie, że skoro jesteś barmanem, Max mógł ci się z czegoś zwierzyć.

— Nie Max Armstrong.

— Więc dlaczego go do mnie przysłałeś? Chyba nie bawiłeś się w swatkę, przysyłając do mnie przystojnego ekshokeistę z romantycznych powodów, prawda?

— Oczywiście, że nie. Traktuję twoją pracę poważnie. Czy zauważyłaś, bym kiedykolwiek traktował cię protekcjonalnie?

— Nie.

— Zauważyłem po prostu, że kiedy tu przyszedł po meczu, był czymś wyraźnie zaabsorbowany. Zatem gdy spytał mnie, czy nie znam jakiegoś prywatnego detektywa, pomyślałem, że odeślę go do ciebie. Czy chcesz mi powiedzieć, że cię wynajął, lecz nie powiedział ci, o co chodzi?

— No cóż...

— Słodziutka...

— Ścisłe rzecz biorąc, niezupełnie mnie wynajął — wypila łyk coli.

— A dlaczegoż to — oczy wuja zwięzły się. — Co takiego zrobiłaś?

— Nic, przysięgam — odparła podnosząc dłoń na widok jego pełnej zważpienia miny. — Był już spóźniony na bankiet, więc wziął moją wizytówkę i powiedział, że zadzwoni, jak sobie to przemyśli.

— Kto ma do ciebie zadzwonić? — spytała drobna kelnerka, wracając do baru z nowym zamówieniem.

— Max Armstrong — powiedział wuj James.

— Aha, to już wiem, dlaczego nie dzwoni do mnie. Byłam pewna, że mnie gdzieś zaprosi, skoro już wykopał tę cholerną królową, z którą się umawiał. Od dawna na niego poluję.

Amy przypomniała sobie teraz, że widziała zdjęcie Maxa i Kerry. To było zanim pozbył się jej w naprawdę paskudny sposób. Amy przez chwilę zastanawiała się, czy dziewczyna była rzeczywiście cholerną królową, czy też określenie to stanowiło tylko wyraz zazdrości kelnerki.

Jeśli problem Maxa polegał na niemożności pozbycia się natrętnej eksprzyjaciółki, powierzenie takiej sprawy kobiecie mogło rzeczywiście wydać mu się żenujące.

Choć prawdę mówiąc, Kerry Ashton nie wydała jej się typem osoby, której trudno się pozbyć. Wyglądała jak typowa dziewczyna z Chesterfield; krótko, elegancko ostrzyżone włosy i sportowy samochód, którego utrzymanie musiało kosztować majątek. Gdyby miała zgadywać, powiedziałaaby, że dziewczyna jest dekoratorką wnętrz lub nawet modelką.

— Więc wychodzisz z Maxem, tak? Czy przejmiesz się tym, że cię znienawidzę? — spytała kelnerka, przerywając tok myśli Amy.

— Słodziutka, to jest Miranda Sherman. Miranda, to moja bratanica, Amy Jane.

— Miło mi panią poznać — powiedziała Amy Jane. — Nie umawiam się z Maxem Armstrongiem.

Ostatnią rzeczą, której by sobie życzyła, byłyby pogłoski tego rodzaju. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby do niego dotarły. Nigdy by jej nie wynajął. Nie chcąc w żaden sposób zaspokajać przyjacielskiej ciekawości Mirandy, skłamała, mówiąc:

— On nie jest w moim typie. Nie zabrzmiało to przekonująco.

— Miło mi to słyszeć — odparła Miranda — choć gdybym była tobą, kazałabym sobie przebadać wzrok... albo poziom hormonów.

Miranda przekazała wujowi Jamesowi zamówienie i pożegłowała z powrotem w kierunku stolików.

— Opowiedz mi o Maxie — poprosiła Amy, przyglądając się, jak wuj przygotowuje zamówione drinki.

— Jest w eterze od około trzech lat. Fani i gracze go lubią. A przynajmniej większość graczy, gdyż niektórzy mają do niego pretensje o to, że wytyka im grę poniżej możliwości i gwiazdorskie kaprysy.

Miranda wróciła, by zabrać zamówione napoje, a uwagę wuja przyciągnął na moment telewizor. Amy Jane wątpiła, by

rzeczywiście był aż takim zwolennikiem oper mydlanych, by przerywać dla nich rozmowę. Ale tym zajmie się później. Teraz musiała pomyśleć o interesach, a zwłaszcza o tym, jak złapać klienta.

— Wuju, to dla Maxa — powiedziała, kładąc na kontuarze małe pudełeczko, w które zapakowała spinkę.

Odprawił ją machnięciem ręki, sugerując, by postarała się nie denerwować Claire.

Wróciła do dżipa i zaczęła zastanawiać się nad skąpymi informacjami, których udzielił jej wuj. O dwadzieścia minut jazdy od miejsca, gdzie parkowała, znajdowała się siedziba towarzystwa ubezpieczeniowego, skąd miała odebrać czek i zapytać, czy nie mają dla niej nowych zleceń. Zwykle sama odbierała cheki, gdyż wcześniej nauczyła się, że słowa „pieniądze zostały wysłane pocztą” to jedno z najczęściej powtarzanych kłamstw świata.

Czekając, by włączyć się do ruchu, rozmyślała o tym, czego dowiedziała się od wuja Jamesa. A zatem Max był czymś zaabsorbowany. Ale co to właściwie znaczy? Czy był zmartwiony? Zmarszczyła brwi. Czy mężczyźni w ogóle bywają zmartwieni? Czymkolwiek się przejmują? Na pewno nie wuj James. I nie jej ojciec, jeśli już o tym mówimy. Obaj wydawali pieniądze, jakby mieli w domu drukarnię. Nie na darmo byli jednojajowymi bliźniakami. Choć jej ojciec w końcu pozostał przy monogamii. W przeciwieństwie do wuja Jamesa. Problem polegał na tym, że ona odziedziczyła raczej skłonności wuja. Jak mogłaby nawet pomyśleć o stałym związku, ona, która tak szybko się nudziła, a z mężczyznami spotykała się dopóki nie poznała ich na tyle, żeby przestać ich lubić.

Ale dość tych dygresji. Wracajmy do Maxa Armstronga. O co tu chodzi? Może o coś związanego z pracą. Nad tym aspektem jeszcze się nie zastanawiała. Mrużąc oczy w blasku słońca — po raz kolejny zniszczyła bowiem okulary słoneczne,

siadając na nich — próbowała przypomnieć sobie, co jeszcze o nim słyszała.

Sprawozdawcą został po tym, jak poważna kontuzja kolana zmusiła go do zakończenia kariery sportowej.

Było jakieś gadanie na temat tego, w jaki sposób dostał tę posadę, lecz Amy Jane w żaden sposób nie mogła sobie teraz przypomnieć, o co wówczas chodziło.

Prawdę mówiąc niezbyt ją to wtedy interesowało. Na temat sportowców zawsze krążyły jakieś plotki. W końcu nie byli to zwykli mężczyźni, lecz testosteron w nieszczęlnym opakowaniu. Nie to, żeby nie podobało jej się opakowanie Maxa. Było bardzo ładne. Naprawdę bardzo ładne. Zbyt ładne. I kuszące. Niezmiernie kuszące. A ona nie była zbyt dobra w opieraniu się pokusom. Lecz tym razem musiała. Był jej klientem. Albo wkrótce nim zostanie.

Minawszy Taco Bell usłuchała głosu swego głodnego żołądka, który domagał się pożywienia, i porzucając jałowe rozważania zawróciła ostro, narażając się na głośnie trąbienie klaksonu jadącego za nią czerwonego sportowego samochodu. Złożyła do trzeszczącego głośnika zamówienie na sałatkę firmową i szklankę wody z lodem, po czym ruszyła za innymi samochodami, by odebrać w okienku zamówienie. Włączyła radio. Odbiornik nastawiony był na stację nadającą najnowsze przeboje i Amy Jane usłyszała Whitney Houston, wyśpiewującą głośno piosenkę z filmu Bodyguard. Kiedy piosenka się skończyła, Amy była już przy okienku. Zdecydowała się zjeść w samochodzie. Kiedy usiłowała zetrzeć chusteczką kroplę sosu, która zaplamiała tapicerkę siedzenia, program muzyczny skończył się i zaczęto nadawać wiadomości sportowe.

Przez chwilę mówiono o znakomitym hokeiście Lwów z St. Louis, Bobbym McQuaidzie, który musiał zapłacić wysoką grzywnę i został wykluczony z gry za celowy faul na innym zawodniku, któremu złamał nos.

Amy Jane nigdy jakoś nie mogła zorientować się, czy NHL popierała rozlew krwi, czy też wręcz przeciwnie, choć ostatnio starano się chyba ograniczyć przemoc w sporcie. Wystarczająco dużo było jej poza boiskiem.

Spikerka odczytała jeszcze kilka innych wiadomości, po czym nadano sygnał zakończenia programu. Amy Jane uśmiechnęła się, kiedy usłyszała nazwisko spikerki. Chantal Perry. Wreszcie przypomniała sobie, dlaczego wybór Maxa na współsprawozdawcę Lwów wywołał tyle kontrowersji. Otóż Chantal była wówczas wschodzącą gwiazdą wśród sprawozdawców sportowych St. Louis i jedyną pośród nich kobietą. Obsługiwała mecze Lwów wspólnie z weteranem tej dziedziny, Coreym Cohenem. Ważne osoby, popierające Maxa, załatwiły mu tę posadę, oczywiście kosztem Chantal, która z gwiazdy została kimś w rodzaju zapchajdziury. Rodzina Coreya Cohena należała do miejscowych prominentów, ruszenie go nie było więc możliwe. Czy to zatem Chantal stanowiła problem? Kto wie? A może ona już w ogóle nie zajmowała się hokejem? Być może Max potrzebował prywatnego detektywa dla kogoś innego. Może wcale nie chodziło o niego.

Zmieniła pasmo i przez chwilę przysłuchiwała się jęklivemu zawodzeniu Michaela Boltona, śpiewającego utwór z albumu Timeless, wyjadała przy tym sałatkę i naleśnik do ostatniej okruszyny.

Pozbyła się tacy i włączyła się z powrotem do ruchu. Zatrzymała się już tylko raz, by kupić w kiosku egzemplarz Post-Dispatch.

Na pierwszych światłach otworzyła gazetę na stronie, gdzie drukowane były horoskopy. Uwaga Claire cały czas pobrzmiwała w głębi jej umysłu. Żałowała teraz, iż obiecała nie czytać więcej horoskopów.

Przeczytała:

Wszyscy próbują wciągnąć cię w swoje problemy. Pomagaj, lecz bądź rozważna i trzymaj buzię na kłódkę.

No dobrze, ale jak tu trzymać buzię na kłódkę, skoro tyle było do powiedzenia? Po co człowiek miałby mieć własne zdanie, jeśli nie można go wypowiedzieć? A poza tym, czy ktokolwiek jej słuchał? Na pewno nie wuj James. Żeby nie wiem jak go błagała, i tak zajmował się głównie swoimi zakazanymi przyjemnościami. Claire też jej nie słuchała. Choć Amy Jane z całych sił próbowała przekonać ją, że powinna bardziej polubić przygodę, Claire nadal umawiała się z tymi nudnymi facetami z Ivy League. Do diabła, kimże ona w końcu jest, by jej słuchano? Skoro nie słuchała nawet samej siebie, rozmyślając zamiast tego o Maxie Armstrongu w sposób zdecydowanie nieprofesjonalny.

*

— James, staruszkule, naraziłeś mi się — powiedział Max, zasiadając na stołku przy barze.

Przed chwilą skończyła się transmisja wieczornego meczu Lwów. Drużyna nie grała dobrze i mecz został przegrany w ostatniej tercji cztery do trzech. Drużyna nie była więc specjalnie szczęśliwa, tym bardziej że Max głośno krytykował słabą grę zespołu. Nic więc dziwnego, że hokeiści, którzy ścignęli razem z nim do baru, byli w raczej cierpkim nastroju i tylko czekali, kiedy będą mogli utopić swoje smutki w piwie. Zwykle przyjacielskie przepychanki, które często zdarzały się po wygranym meczu, zastąpił niepokój wywołany pasmem niepowodzeń, które ostatnio dotknęły zespół.

— Jeśli chcesz na mnie naskoczyć, będziesz musiał ustawić się w kolejce — powiedział wuj James, posuwając w kierunku Maxa kufel piwa. — Dopiero co oberwałem za to samo od bratanicy.

— Jakiej znów bratanicy? O czym ty mówisz? — spytał Max, łyknawszy zimnego piwa.

— A. J. Chadwick to moja bratanica, Amy Jane. Przyszła tu przed tobą i niemal rozerwała mnie na strzępy za to, że cię wrobiłem.

— Naprawdę?

— A jakże.

James przyjął kolejne zamówienie i zajął się jego realizacją, podczas gdy Max oswajał się z informacją, że Amy Jane była jego bratanicą. A więc James nosił nazwisko Chadwick. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej je słyszał. Choć gdyby je słyszał, to chyba by zapamiętał, gdyż umiejętność zapamiętywania nazwisk stanowiła część jego profesji. Na myśl o Amy Jane stawiającej czoła wujowi uśmiech przemknął mu po twarzy. Z przyjemnością kupiłby bilet, aby to zobaczyć.

— A więc jak to się stało, że nie zatrudniłeś mojej bratanicy? — spytał James, gdy Miranda odeszła z pełną tacą.

— Myślałem o tym. Prawdę mówiąc niemal już ją zatrudniłem.

— Ale tylko niemal.

James napełnił wazę precelkami i czekał.

— To dlatego, że tak naprawdę nie jestem pewny, czy w ogóle jest to sprawa dla detektywa. Być może zareagowałem przesadnie.

— Zareagowałeś na co?

Dlaczego miałby rozmawiać o swoich kłopotach z barmanem? Co prawda oczekiwano po nich, że będą trzymali buzię na kłódkę niczym księża przy spowiedzi, ale kto wie? A ten James Chadwick miał charakter!

— Lepiej nie będę nic mówił, dopóki nie zdecyduję, co z tym zrobić. Być może w ogóle nie będę nic robił.

Prawdę mówiąc, miał ochotę umówić się z Amy Jane na randkę, a nie zatrudnić ją.

— Widziałeś mecz? — spytał, by zmienić temat i uniknąć dalszych dociekliwych pytań Jamesa.

— Należałoby raczej powiedzieć, że jakoś to przeżyłem — odparł James i poszedł wybić rachunek na kasie. Gdy wrócił, powiedział: — Nie wiem, co jest z tymi Jastrzębiami, ale wydaje się, że w tym roku idą jak burza. Za to Lwy grają jak kupa... Przerwał, widząc że do baru zbliża się jeden z zawodników, znany ze swego gwałtownego usposobienia.

— Żałuję, że mnie tam dziś nie było. Nie pozwoliłbym im tak nas załatwić — powiedział Bobby McQuaid, podchodząc do kontuaru, by zamówić dzban piwa dla swoich kolegów.

— To wyłącznie twoja wina, że cię tam dziś nie było — rzucił Max.

— Moja wina!

— Jasne, że twoja.

— Zaczekaj, Armstrong, jesteś równie ślepy jak sędziowie — mruknął przystojniak. — Przypuszczam, że zgadzasz się z tym, że musiałem zapłacić grzywnę i nie pozwolono mi za karę grać.

— Wiedziałeś, że to się tak skończy, McQuaid. Obaj wiemy, że nie grałeś czysto. Jesteś dobry, więc czemu faulujesz?

— A co ty wiesz? — powiedział Bobby, nawiązując do tego, że Max nie występował już na boisku, a prawdę mówiąc grał w NHL zaledwie przez rok, zanim kontuzja wyeliminowała go na dobre. — Być może gdybyś skopał na lodzie więcej tyłków, nie przewróciłbyś się tak niefortunnie, żeby od razu kończyć karierę.

— Max wie wystarczająco dużo — wtrącił się James. — W ciągu tego pierwszego roku w Lidze strzelił więcej goli, niż ty przez ostatnie dwa lata.

Max, zakłopotany, że stał się tematem rozmowy, wysączył szybko swoje piwo i odstawił kufel z głośnym stuknięciem.

— Nie wiem, jak wy, chłopcy, ale ja chyba na tym zakończę. Pójdę do domu i zapakuję się do łóżka z dobrą książką.

— Co ja słyszę, Armstrong? Masz zamiar powlec się do domu i wskoczyć do łóżka z dobrą kobietą? A cóż to się stało? Czy Kerry Ashton zniechęciła cię do złych kobiet na zawsze? — Ritchie Allen, wielki bramkarz Lwów, drażnił się z Maxem na temat jego byłej dziewczyny. — Chłopcy wysłali mnie, żebym zorientował się, co z naszym piwem — dodał, wskazując kciukiem gromadę spragnionych hokeistów.

— Masz tu dzbanek i spadaj — powiedziała Miranda, wręczając mu piwo. — Może ja poczytam ci książkę — zwróciła się do Maxa, flirtując otwarcie.

— Hej, ślicznotko, czy mogłabyś przynieść nam parę hamburgerów? — zawołał Ritchie i James kiwnięciem głowy odesłał ją do stolika, wybawiając Maxa z kłopotliwej sytuacji.

— Obawiam się, że mojej bratanicy nie uda ci się tak łatwo pozbyć — powiedział do Maxa.

— To ty masz bratanicę? — spytał Bobby, wtrącając się do rozmowy. — Dlaczego nigdy nie przedstawiłeś mnie swojej bratanicy, James?

— Bratanicom. Mam dwie.

— Naprawdę? James skinął głową.

— A którą poznałeś, Max?

— A. J.

— A. J.?

— Amy Jane.

— Jak ta druga ma na imię?

— Claire.

— Myślisz, że mogłaby się ze mną umówić?

— Nie — odparli chórem Max i James.

— Założyłbym się, że tak — upierał się Bobby.

— O ile zakład? — spytał James.

— Stawiam pięćdziesiąt dolców.

— W porządku — zgodził się James.

— Dlaczego myślicie, że nie będzie chciała się ze mną umówić? — spytał Bobby, a oczy zwięzły mu się podejrzliwie, zupełnie jakby czuł zapach malin, w które ktoś chce go wpuścić.

— Ponieważ ona nigdy nie umawia się z facetami, którzy nie nazywają się Terrance, Clayton czy jakoś podobnie. Ciężko jej będzie przeżyć ten diamentowy kolczyk w twoim uchu, McQuaid — zgadywał Max.

— Ale ty umawiasz się z Amy Jane!

Max pokręcił głową, a widząc zaintrygowaną minę Bobby'ego, dodał:

— Powiedziałem tylko, że ją poznałem. Nie umawiam się z każdą kobietą, którą poznaję. Nie jestem zawodnikiem.

— A więc — upewniał się Bobby — mam wybór. Mogę umówić się z jedną lub drugą i wygrywam pięćdziesiąt dolców.

— Jasne — odparł James podejrzanie zgodnie. Max roześmiał się głośno i szczerze.

— Co cię tak bawi? — dopytywał się Bobby.

— Ujmijmy to tak: nie masz szans umówić się z Claire, ponieważ nie jesteś dostatecznie wytworny. Ale jeszcze mniejsze szanse masz u Amy Jane.

— Dlaczego? Co jest z Amy Jane?

Max popatrzył na Jamesa, bojąc się, że powie coś niestosownego o jego bratanicy.

James wybawił go, odpowiadając na pytanie Bobby'ego:

— Ponieważ, mój drogi Bobby, Amy jest jeszcze trudniejsza do pozbycia się niż ty.

— Oo — stęknął Bobby. — A zatem to musi być Claire — zdecydował.

James tylko się roześmiał.

Max wracając do swego mieszkania w zachodnim St. Louis, rozmyślał o Amy Jane. Zdecydował, że jej nie wynajmie. Zareagował przesadnie. Nie było żadnego poważnego powodu, by się niepokoić. Ale skoro nie zamierza jej zatrudnić, mógłby ją gdzieś zaprosić. Czy jeszcze zostało mu trochę pary, czy też Kerry Ashton zupełnie go wykastrowała za pomocą swoich oszukańczych sztuczek? Zastanawiał się, jak Amy Jane zareagowałaby na propozycję randki. Na pewno niczego by nie udawała, pomyślał. Szkoda, że Bobby miał zamiar umówić się z Claire. Z przyjemnością popatrzyłby, jak Amy Jane daje mu kosza. Ktoś powinien pokazać młodemu napaleńcowi, gdzie jest jego miejsce, gdyż do tej pory wszystko przychodziło mu zbyt łatwo. McQuaid nie musiał udowadniać, ile jest wart. W przeciwieństwie do Maxa.

Praca sprawozdawcy wcale nie okazała się taka łatwa. Nie miał doświadczenia, a mnóstwo ludzi tylko czekało, żeby go wykopać. Na przykład taka Chantal Perry. I nawet nie miał jej tego za złe. W końcu to przecież on ją wygrzył.

Powrócił myślami do swoich problemów, gdy tylko otworzył drzwi mieszkania, umeblowanego starymi sosnowymi sprzętami, które zakupił w Kanadzie, otrzymując w rezultacie ciepłe, przestronne wnętrze.

Lubił przestrzeń. I spokój. Nie znosił bałaganu. A uczucia powodowały niepokój. A przynajmniej tak mu wmawiały kobiety. Kobiety, z którymi nie mógł lub nie chciał się wiązać. Czy na tym polegał jego problem? Czy rzeczywiście był takim nieczułym łajdakiem? Chyba nie. Starał się postępować przyzwoicie. Być może dojrzał już do stałego związku. Czasy się zmieniały. W kraju, gdzie prezydent może mieć na imię Elvis, wszystko jest możliwe. To miało sens.

Wszedł do sypialni, rzucił klucze na łóżko i skierował się w stronę łazienki, gdy nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Przystanął w drzwiach i obejrzał się za siebie. Szuflada komody była wysunięta. Przywiązywał wielką wagę do porządku. A gosposia przychodziła w inne dni.

Ktoś był w jego mieszkaniu. Podeszedł do szuflady i zajrzał do środka. To, co tam zobaczył, sprawiło, że aż się wzdrygnął. Był to krótki liścik, napisany na maszynie — jak wszystkie poprzednie. Przeczytał:

Najdroższy Maxie.

Wzięłam parę twoich jedwabnych spodenek, żeby w nich spać. Chcę być blisko ciebie. Obiecuj, że pomyślisz o mojej nagiej skórze, dotykającej twego jedwabiu, gdy będziesz zapowiadał mecz.

Kocham Cię

Max z hukiem zatrzasnął szufladę. Po chwili wyciągnął górną szufladę komody, w której trzymał pozostałe listy. Było ich teraz razem trzynaście. Złowieszcza cyfra.

Okazało się, że był w błędzie. I wcale nie przesadzał. Sprawa wymykała mu się z rąk. I mogła okazać się niebezpieczna. Dorzucił list do innych. Wszystkie przyszły mniej więcej w ciągu ostatniego miesiąca.

Zamknął szufladę i wszedł do garderoby. Wyjął z kieszeni smokinga wizytówkę Amy Jane i chwilę się w nią wpatrywał. Czy to uczciwie z jego strony zatrudniać kobietę, która tak bardzo mu się podoba? Czy nie dopraszał się w ten sposób o dalsze kłopoty?

Ostry dźwięk telefonu sprawił, że aż podskoczył. Podniósł słuchawkę. Kiedy ją w chwilę potem odkładał, uśmiechał się do siebie. Został zaproszony na ciasto. Do Claire i Amy Jane.

Chantal Perry wciągnęła džinsy od Gapa. Zmęczona, pochyliła się, pozwalając by ramiona opadły swobodnie wzdłuż ciała. Dzisiejsza lekcja aerobiku okazała się szczególnie wyczerpująca. Nowa instruktorka, dynamiczna brunetka, ćwiczyła je niczym zespół tancerek rewiowych z Broadwayu. Ta kobieta chyba wyobraża sobie, że jest Debbie Allen i właśnie przygotowuje choreografię uroczystości rozdania Oscarów, pomyślała Chantal, zapinając spodnie. Ileż to czasu minęło, odkąd ona hołubiła równie nierealne marzenia? Co najmniej parę lat. Nie zdarzyło jej się to od czasu, gdy straciła pracę sprawozdawcy na rzecz Maxa Armstronga.

Życie zawsze znajdzie sposób, by cię zdołować, zwłaszcza jeśli ominą cię spodziewane nagrody za wysiłek, który włożyłaś. Zerknęła w lustro, przyklejone do wewnętrznej ścianki szafki. Wszyscy musimy kiedyś dorosnąć i przystosować się do życia w realnym świecie — mruknęła do swego odbicia, wsuwając za ucho kosmyk prostych, ciemnych włosów.

W jej czystych, niebieskich oczach błyszczała determinacja zdeklarowanej feministki. Nie wyszała tych przekonań z mlekiem matki, ani nie została tak wychowana — jej feministyczne poglądy ukształtowało doświadczenie życiowe dwudziestosześcioletniej kobiety.

Jakiś ruch przy którejś z dalszych szafek przyciągnął jej uwagę. Poznała Kerry Ashton, wcierając różowy tonik w swoje gibkie ciało.

Poprawka — nie wszyscy musieli żyć w realnym świecie. Doczesne prawa życia nie stosowały się do Kerry Ashton tego świata — a także do Maxów Armstrongów, jeśli już o tym mowa.

Chantal pamiętała ich głośne rozstanie. Hokeista Max przyłapał ją na zdradzie, co zostało wkrótce potem wykorzystane.

Sięgając po swoją romantyczną bluzkę z żabotem, przyglądała się perfekcyjnie opalonej na jasny brąz Kerry. Nie była to z pewnością naturalna opalenizna, lecz efekt wielu godzin spędzonych na elektrycznej plaży. Ładny biały półgórsecik i majteczki bikini idealnie harmonizowały z kolorem skóry.

Chantal zastanawiała się, jak to jest być naprawdę Kerry Ashton... mieć idealnie dopasowaną bieliznę, włosy naturalnej blondynki, sterczący biust i, co najważniejsze, sypiać z Maxem Armstrongiem.

Max Armstrong, pomyślała, przyglądając się, jak Kerry wkłada białą-granatową sukienkę w grochy. Chantal bardzo interesowała się Maxem Armstrongiem. Miała swoją filozofię życia i pracy. Głosiła ona: jeśli ktoś zmienia grę, ty przestań stosować się do zasad.

Była dobrym członkiem zespołu, przynajmniej teoretycznie. Nie przyniosło to spodziewanych rezultatów. Nawet, kiedy przewyższyła innych. Obietnice nie były warte powietrza, którego należało zaczerpnąć, by je wypowiedzieć.

Chciało jej się płakać, gdy pomyślała o pracy, cholernie ciężkiej pracy, którą włożyła w wykonywanie swoich obowiązków; o mozolnym wspinaniu się wzwyż, byle jakiej robocie, której nikt inny nie chciał wykonać, wyczerpujących godzinach za miastem i znoszonym z zaciśniętymi zębami lekceważeniu wobec sprawozdawcy kobiety, powszechnym w zdominowanym przez mężczyzn świecie sportu.

A w końcu i tak okazało się, że wystarczy po prostu mieć jaja. Dość jaj, by przyjść i zabrać pracę, do której nie miało się żadnych kwalifikacji komuś, kto je posiadał, tylko dlatego, że było się mężczyzną i znaną osobą. Koniec, kropka.

Max Armstrong załatwił ją przez zaskoczenie, lecz ona wyciągnęła wniosek z tej lekcji. Nigdy już nie będzie biernie czekała, aż coś zostanie jej przyznane. Dostanie, co jej się należy, nawet gdyby miała po prostu przyjść i wziąć to sobie.

Zerknąwszy ponownie w lusterko, przeciągnęła grzebieniem po włosach i nałożyła na wargi trochę fiołkowo-różowego błyszczyku. Ponieważ miała w planie tylko krótki występ w radiu za godzinę na temat szans Lwów w dogrywkach, nie musiała specjalnie się upiększać.

Zarzuciła na ramię szykowny plecaczek, drgnąwszy, gdy Kerry z głośnym stukiem zamknęła swoją szafkę. Panna Kerry Ashton nie wydaje się być w najlepszym nastroju, pomyślała, podążając za nią na parking, gdzie obok jaguara Kerry stał jej zardzewiały grat.

Zły humor Kerry uwidocznił się jeszcze bardziej w sposobie, w jaki przemierzała parking, podchodząc do samochodu. Zachowanie godne rozpuszczonego dziecka było zapewne spowodowane katastrofą w rodzaju złamanego paznokcia, wymagającą natychmiastowej wizyty u manikiurzystki. Chantal chętnie zajęłaby się podobnymi problemami, zamiast zastanawiać się, skąd wziąć pieniądze na pokrycie debetu w banku, który wielkością i absolutnym brakiem możliwości spłacenia przypominał dług państwowy.

Przyglądając się, jak Kerry wślizguje się za kierownicę swego jaguara i odjeżdża, Chantal bez specjalnego zdziwienia zauważyła, że samochód wyposażony został w nietypowe tablice rejestracyjne. Jeszcze jedna rzecz, świadcząca o próżności Kerry. Zirytowana pomyślała, że ktoś szukający w encyklopedii słowa „próżny” powinien znaleźć pod odpowiednim hasłem wymuskaną fotografię Kerry.

Specjalne tablice na błyszczących białych sportowych samochodach pasowały do chesterfieldzkich księżniczek w rodzaju Kerry Ashton. Na tej akurat było napisane: MIŁY 2.

Chantal nie zdziwiłaby się zbytnio, gdyby zamiast tego zobaczyła OCH, KOCHANIE.

„Och, kochanie” stanowiło firmowe zawołanie Maxa Armstronga, jego własny odpowiednik „Kurczę blade” Harry'ego Coreya. Tak jak Harry szalał na Wrigley Field, wykrzykując: — Kurczę blade, ludzie, ona jest poza boiskiem — tak Max Armstrong jęczał w ekstazie „och, kochanie, och, kochanie, och, kochanie!” za każdym razem, gdy gracz umieścił krążek w siatce. Kobiety to uwielbiały. Wprowadzało do gry element erotyzmu. Jak do diabła ona mogła się z tym równać?

*

Kiedy Max przyjechał do pensjonatu Chadwick, zastał tam już wuja Jamesa. Ciasto było jeszcze ciepłe, gdy Claire podała je na deserowych talerzykach z chińskiej porcelany, uzupełnionych srebrnymi sztuczkami dobrej marki.

Odpowiadając na liczne pytania wuja Jamesa, dotyczące drużyny, Max czuł na sobie wyczekujące spojrzenie Claire. Obserwowała pilnie każdy kęs, który wkładał do ust. Domyślił się, że czeka, by pochwalił ciasto.

— Robisz znakomite ciasto, Claire — rzekł w końcu, przerywając rozmowę z wujem. Czasami wydawało mu się, że sport jest jedynym tematem do rozmowy, jaki jeszcze ludziom pozostał, gdyż nikt nie rozmawiał z nim o niczym innym.

Podniósł do ust ostatni kęs i aż zadrżał z przyjemności, gdy poczuł ciepłą, chrupiącą słodycz rozlewającą się po języku. Korzenny aromat przyprawionych cynamonem i goździkami brzoskwiń jeszcze zwiększał zmysłową przyjemność.

— Dziękuję, Max — odparła. Delikatny rumieniec zabarwił jej policzki.

— Mam nadzieję, że nie weźmiecie nam za złe, że zaprosiliśmy was o tak późnej porze, lecz Claire obawiała się, że

jeśli przyjdziecie wcześniej, goście będą nagabywali Maxa o autograf — powiedziała Amy Jane.

— Nie miałbym nic przeciwko temu — zapewnił je. — Nie wiem dlaczego, ale gdy przejechałem żelazną bramę, poczułem się zupełnie odprężony. Nie czuję się jak gość, lecz jak domownik.

Szczera prawda, pomyślał, rozglądając się po prostokątnej jadalni obitej tapetą w pastelowy kwiatowy wzór.

Pogodna kolorystyka ścian i pomalowana na biało stolarka uwydatniały urodę starego, ciemnego kredensu i innych, pasujących do niego fragmentów umeblowania. Koronkowe firanki wykuszowego okna stanowiły wymarzone obramowanie księżycowej nocy.

— To, że pensjonat prosperuje tak doskonale, to wyłączna zasługa Claire — zauważyła szybko Amy Jane. — To ona stworzyła atmosferę tego miejsca. Ja jestem tylko pomywaczką — oczywiście kiedy nie pracuję nad jakąś sprawą.

— No wiesz, Amy — powiedziała Claire potrząsając głową, co spowodowało, że kilka niesfornych jasnych pasemek wymknęło się z ciasno upiętego koka.

— No cóż, przecież to prawda. Niech cię nie zwiedzie to przesadnie skromne zachowanie. Ona rządzi tym miejscem niczym sierżant służbista. Kierowanie takim pensjonatem, by wszystko szło gładko, wymaga żelaznej woli. I wierz mi, Claire ją posiada. Prawda, wuju Jamesie?

Max poczuł rozbawienie. Bawiły go te siostry, z których młodsza wyglądała na słabą i bezradną, choć wcale taka nie była, zaś starsza, Amy Jane, to najrozkoszniejszy przykład czarującego roztrzępańca — i w dodatku zupełnie nieświadoma swego uroku.

Max przyłapał się na tym, że od dłuższego czasu wprost wisi wzrokiem na wargach Amy Jane, przyglądając się, jak podnosi do ust kawałki ciasta, a jego zainteresowanie nie ma

nic wspólnego z chęcią dowiedzenia się, czy Amy lubi brzoskwińowe ciasto.

— Daj spokój, słodziutka — powiedział wuj James ze śmiechem — mówisz tak, jakby twoja młodsza siostra trzymała w spiżarni dyscyplinę.

— Ależ, wuju! — Claire głęboko wciągnęła powietrze.

— Posłuchaj, Max, skoro skończyliśmy już deser, może oprowadziłabym cię po włościach? — wtrąciła szybko Amy.

— Dobrze — wyraził zgodę, zastanawiając się jednocześnie, co też Amy Jane mogła mieć na myśli. Na ogół mało kto potrafił wytrącić go z równowagi, ale siostrą Chadwick ta sztuka udawała się bez większego trudu. Widać było, że wychowano je w poczuciu dużej swobody. Ich upór w przeprowadzaniu swojej woli pociągał go, a zarazem niepokoił.

— A co ze mną? — widać było, że wuj niechętnie rezygnuje z dalszej pogawędki na tematy sportowe.

Amy Jane wręczyła mu ściereczkę.

— Twoja kolej zabawić się w pomywaczkę.

— Zawsze byłaś nieznośna, Słodziutka — zamruczał wuj James, wyciągając rękę po ściereczkę.

Claire popatrzyła na niego z ukosa.

— A kto ją zachęcał?

— Claire, przynajmniej ty mnie już nie denerwuj.

— To pozbieraj naczynia i pomóż mi w kuchni.

Zapach ziemi nadpłynął wraz z wieczorną bryzą, gdy Max i Amy wyszli na wyłożone kamiennymi płytami patio. Światło księżyca połyskiwało na atramentowo-czarnej powierzchni wody położonego poniżej basenu, spoczywającego niczym drogocenny klejnot pomiędzy zadbanymi trawnikami, otoczonymi kamiennym ogrodzeniem. Max zagwizdał z aprobatą:

— Robi wrażenie!

— Taak, myślę, że tak. Wyrosłam, bawiąc się tu w chowanego, więc dla mnie to po prostu dom.

Max zaśmiał się.

— Co takiego? — spytała, gdy schodzili obok siebie w kierunku basenu.

— Po prostu wyobraziłem sobie, jak bawisz się w chowanego. Oszukiwałaś, prawda?

Odrzuciła włosy i popatrzyła mu prosto w oczy.

— Zawsze gram po to, by wygrać.

Max nie zareagował. Uklęknął na trawie i zanurzył dłoń w basenie, by przekonać się, czy woda jest podgrzewana.

— Prawdopodobna, a zarazem wykretna — powiedział wstając. Prysnał na nią wodą ze swoich mokrych dłoni. Amy Jane pisnęła, zaskoczona. — Jesteś słodką, małą spryściułą, prawda, A. J. Chadwick?

— Słodką spryściułą? Czy ty przypadkiem nie oglądasz zbyt wielu starych filmów?

— Nie, po prostu potrafię rozpoznać słodką spryściułę, kiedy ją spotykam.

Na pewno domyśliła się, iż pomysł wykąpania się nago przebiegł mu przez głowę, gdy tylko zorientował się, że basen jest podgrzewany. Na szczęście szybko wrócił mu zdrowy rozsądek. Przecież nie jestem romantyczny, upomniał sam siebie. Jestem cyniczny ponieważ przyłapałem Kerry Ashton w łóżku z... mniejsza z tym, w każdym razie stracił chęć na romantyczne przeżycia.

Amy Jane prowadziła go w kierunku stawu z liliami, położonego za dawną stajnią, przerobioną obecnie na składzik przyborów do kąpieli. — Czy chcesz mi wmówić, że kiedy należałeś do drużyny, nie grałeś tak, by wygrać?

— Pewnie, że tak. Ale drużyny muszą przestrzegać pewnych reguł, by wygrywać.

— Ale ja pracuję sama.

— Założę się, że dlatego, iż niezbyt wychodzi ci współpraca z innymi.

Max popatrzył w dół na kolorową rybę, płynącą w jego stronę.

— Z niektórymi wychodzi mi lepiej, niż z innymi — zapewniła go, śmiejąc się niskim, gardłowym, seksownym śmiechem.

Czy rzeczywiście jej głos brzmiał prowokująco, czy też po prostu doszukiwał się potwierdzenia tego pociągu, który do niej odczuwał? Jednego był pewny: Amy Jane Chadwick była łakomym, lecz jakże kłopotliwym kąskiem.

— Wracając do twojej sprawy... — powiedziała.

— A zatem nie chodziło wyłącznie o brzoskwiński placek i gościnność, prawda?

— Nigdy tak nie myślałeś. Musiałeś zdawać sobie sprawę, jak bardzo zależy mi, żebyś mnie zatrudnił. Byłbyś bardzo cennym klientem.

— Amy, nawet nie wiesz, o co tu chodzi.

— I nie będę wiedziała, dopóki mi nie powiesz.

Plusk wyskakującej z wody ryby zakłócił spokój księżycowej nocy.

— Masz zamiar mi powiedzieć, prawda, Max?

— Dalej nie jestem pewien, czy w ogóle jest jakaś sprawa...

Skierowali się teraz w stronę kortów.

— Mam pomysł. Opowiedz mi po prostu o wszystkim, a ja udzielenie ci profesjonalnej porady, czy sprawa jest na tyle poważna, by angażować detektywa.

Gdy doszli do położonego obok basenu kortu, Max wyjął puszystą żółtą piłeczkę z drucianego koszyka i przez chwilę odbijał ją z nieobecna miną o powierzchnię kortu.

— Dziwię się, że nie zaproponowałaś, żebyśmy zegrali o tę sprawę w tenisa.

— A czy to by coś dało?

Wzruszył ramionami.

Przez chwilę rozważała ten pomysł.

— Chyba nie miałabym szans — przyznała.

— Nigdy nie wiadomo... być może straciłem kondycję, od kiedy nie występuję już na boisku.

Popatrzyła na niego.

— Jeśli ty straciłeś kondycję, to ja jestem księżna Diana.

Schylił głowę w parodii ukłonu.

— Wasza Wysokość, czy pani może dzwoniła?

— Przestań.

Odrzucił piłeczkę, którą przez chwilę się bawił.

— Domyślam się, że nie zamierzasz pozwolić mi się wymknąć, przegrywając mecz, prawda?

— Racja.

— Czy ktoś ci już kiedyś mówił, że jesteś uparta, Amy Jane?

Skinęła głową. — Podobno to moja największa zaleta, a zarazem najgorsza wada.

— Wiesz co, zdecydowałem się przyjąć twoją propozycję. Powiem ci, na czym polega problem, a ty udzielisz mi porady. Ale niczego nie obiecuję, rozumiesz?

— Lecz nie mówisz zdecydowanie „nie”, prawda?

— Ale i do niczego się nie zobowiązuję — odparł, opierając się plecami o płot z drucianej siatki okalający kort.

Amy Jane skinęła głową na znak, że rozumie. Przegarniał dłońmi swe krótkie włosy, zastanawiając się, jak zacząć.

— Strasznie głupio się przez to czuję — powiedział w końcu.

— Dlaczego?

— Ponieważ chodzi o kobietę.

— Alimenty dla byłej narzeczonej?

— Nie, nic w tym rodzaju. Ktoś usiłuje mnie w coś zrobić.

O to chodzi.

Do cholery, czuł się naprawdę głupio. Jak mógł kiedykolwiek pomyśleć — no tak, kłopot polegał na tym, że w ogóle tego nie przemyślał. Osuwał się po płocie, aż wreszcie przykucnął, obejmując kolana ramionami.

Amy Jane ulokowała się wygodnie obok niego.

— Jeśli chodzi tu o Kerry Ashton i o to, że przestałeś ją kochać, to powiem ci, że potrzebujesz raczej adwokata niż detektywa. A w ogóle to chyba pomyliłeś stulecia, jeśli się tym tak zajmujesz.

— Wiesz co, jeśli będę chciał, by ktoś mi podokuczał, to pójdę się zobaczyć z Coreym Cohenem — powiedział Max, mając na myśli swego współsprawozdawcę, kompletnie nieświadomego faktu, że swoją pozycję w sportowym świecie zawdzięcza głównie rodzinie. Corey sądził, że posadę zawdzięcza wyłącznie talentowi, nie zdając sobie sprawy, że w tym *menage a trois*, składającym się z małżeństwa talentu i ciężkiej pracy oraz kochanka, szczęścia, to właśnie ten ostatni triumfował w świecie sportu, sztuki i rozrywki.

Młodzieńcze ego Coreya sprawowało nad nim niepodzielna władzę. Kiedy tylko udało mu się dostać skądś dodatkowe pieniądze, natychmiast świecił nimi w oczy Maxowi. Temu ostatniemu zaś coraz trudniej było utrzymać język na wodzy. Ale robił to, tłumacząc sobie, że Corey stanowi zbyt łatwy cel. Jako człowiek dojrzały zdawał sobie też sprawę, że cywilizacja opiera się na kompromisie.

— Dobrze, już będę cicho — obiecała Amy Jane. — Jedź dalej.

Spojrzał na nią i zobaczył, że nie patrzy na niego, lecz bawi się źdźbłami trawy, rosnącej obok jej sandałów. Głowę miała opuszczoną, a twarz zasłoniętą włosami. To dobrze. Łatwiej mu będzie mówić wiedząc, że go nie obserwuje. I tak czuł się już wystarczająco głupio.

— W mojej szufladzie z bielizną jest jakaś dziwna kobieta — wykrztusił wreszcie.

Podniosła gwałtownie głowę i popatrzyła na niego.

— To znaczy... — zaczął ponownie — to nie znaczy, że ona jest... ale była!

Amy Jane wybuchnęła śmiechem, lecz umilkła widząc zakłopotany, lecz poważny wyraz jego twarzy.

— Chyba powinienem opowiedzieć ci wszystko od początku — powiedział, postanawiając, że skoro zaszedł już tak daleko, może posunąć się dalej. A poza tym musiał komuś o tym powiedzieć. — Z początku w ogóle się nad tym nie zastanawiałem, to znaczy nad pierwszym listem. Wydawał się zupełnie nieszkodliwy. Kiedy jest się znanym, dostaje się mnóstwo dziwacznych listów.

Amy Jane pochyliła głowę.

— Dużo ich zwykle dostajesz?

Czy naprawdę o to spytała, czy też tak mu się tylko wydawało?

— Listów od fanów? Czy dużo ich dostajesz? — powtórzyła, jakby mówiła do kogoś niedorozwiniętego.

— Nie, właściwie nie — wzruszył ramionami. Przychodzą na adres stacji, a oni przekazują mi je, kiedy sobie o nich przypomną.

Zdrętwiał, wstał więc, by rozprostować długie nogi. Zrobiła to samo.

— Ziemia zaczyna już być zimna — powiedziała, otrzepując siedzenie dżinsów.

Aby to zrobić, musiała wysunąć do przodu pierś, nieświadomie ustawiając się w pozycji, w której Max nie mógł nie zauważyć wspaniałych wymiarów jej biustu. Miseczka C lub D, pomyślał. Niby nie przyglądał się jej, a jednak zaczynały go świerzbieć dłonie. I po cóż, u diabła, opowiada jakies niestworzone historie, zamiast po prostu umówić się z tą

pociągająca, tajemniczą kobietą, na co naprawdę miał ochotę? Zastanawiał się, co by mu odpowiedziała, gdyby zaproponował randkę. Czy byłaby zdziwiona? Zaniepokojona? Zadowolona? Boże mój, można by pomyśleć, że ma piętnaście lat, a nie prawie trzydzieści!

— Taak, wiosna potrafi być zwodnicza — powiedział nieprzekonywująco.

Dzień był rzeczywiście niezwykle ciepły, jak na początek marca, a zmierzch wcale nie przyniósł ochłodzenia. Nadal panowała przyjemna temperatura. Skierowali się z powrotem w kierunku kamiennego patio. Idąc obserwował, jak delikatna wieczorna bryza porusza jej lokami. Mimo woli przysunął się bliżej. Pachniała jak lilie — choć nie było w niej nic z wiotkiej kruchości tego kwiatu.

Ciekawe, co by zrobiła, zastanawiał się, gdyby nagle przyciągnął ją do siebie i skradł jej pocałunek w świetle księżyca. Według wszelkich romantycznych reguł. Czy byłaby zdziwiona? Zaniepokojona? Zadowolona?

— Czy w jakikolwiek sposób zachęcałeś tę kobietę?

Amy Jane brutalnie rozprawiła się z jego marzeniami, podejmując rozmowę w miejscu, w którym ją przerwali.

— Co? — zapytał, czując się urażony ukrytym znaczeniem tego pytania. Czy ona naprawdę sądziła, że jest tak podły, by podsycać podobne zachowania?

— A więc... czy odpowiedziałeś na ten list?

— Nie, z zasady nie odpowiadam na listy od wielbicieli.

— Naprawdę? — spytała Amy, szczerze zdziwiona.

— Choć jestem człowiekiem dość znanym, to jednak przestałem już być hokeistą. A to oznacza, że nie muszę rozdawać autografów, chyba że zostanę do tego zmuszony. Teraz po prostu wykonuję swoją pracę.

— A może tej właśnie wielbicielce szczególnie zależy na twoim autografie. Można chyba przypuścić, że rozgniewałeś ją, nie odpowiadając na jej list.

Max zacierał przez chwilę dłonie, zastanawiając się nad tym, co powiedziała.

— Nie przyszło mi to do głowy, lecz chyba istnieje taka możliwość. Nigdy nie wiadomo, jakie motywy kierują ludźmi.

— A co z Coreyem Cohenem?

— Corey! Chyba nie sądzisz, że to on przysłał mi te listy? Stanowczo odrzucił podobny pomysł.

— Corey Cohen nie miałby dość wyobraźni, by wymyślić coś takiego. I nawet nie chcę go sobie wyobrażać buszującego w mojej szufladzie z bielizną...

— Nie to miałam na myśli. Pytałam, czy Corey także dostaje listy od wielbicieli.

— Wszystko jest możliwe, nawet to — odparł błaznując.

Amy Jane uśmiechnęła się.

— No dobrze, założmy, że tak. Jak sądzisz, czy na nie odpowiada?

— Pewnie tak. Jasne, na pewno. A dlaczego pytasz?

— No cóż, nie chciałabym pomniejszać twego samozadowolenia, ale być może Corey też dostał list od tej samej wielbicielki. To znaczy, że możesz nie być jedyny.

Max przez chwilę oswajał się z tym pomysłem. Teraz dopiero poczuł się naprawdę głupio. Wpada w obsesję z powodu wielbicielki, podczas gdy Corey spokojnie gromadzi listy, niczym jego babcia wycinki z gazety, by potem napawać się nimi w samotności. To dziwne, ale przez chwilę poczuł się tak, jakby ta wspólna wielbicielka go zdradziła. Czyżby był aż tak perwersyjny? Chyba powinien zwracać odtąd większą uwagę na to, co Corey mówi na antenie, a także poza nią.

— Nie przypuszczam, żebyś przyniósł ze sobą te listy? — spytała z nadzieją.

Max zaśmiał się.

— Oczywiście, że nie. Nie jestem Coreym Cohenem.

— Wiesz — powiedziała, przesuwając palcem po szklanym blacie stołu — gdybym je zobaczyła, to chyba mogłabym udzielić ci bardziej kompetentnej porady. Wtedy zdecydowalibyśmy, czy jest się czym przejmować, czy też to tylko jeszcze jedna gorąca wielbicielka.

— Chciałabyś je zobaczyć teraz? W nocy?

— A czy są jakieś przeszkody, by tego nie zrobić?

— Żadnych. Może wobec tego pożegnamy się z twoją siostrą i wujem i pojedziemy do mnie.

— Czy musisz już iść? — spytała Claire wychodząc na patio z wujem Jamsem u boku.

— Tak — odparł Max — dobry gość nie zostaje dłużej, niż jest mile widziany, prawda, James?

— Ja tylko czekam na resztki dla mojego psa — napomknął wuj James.

— Ale ty nie masz psa — powiedziała Amy Jane.

— Ale ja mam — wtrącił się Max — a on bardzo lubi brzoskwińowe ciasto.

Claire pokiwała głową z pozornym politowaniem, lecz widać było, że jest zadowolona.

— Obaj jesteście beznadziejni, lecz mimo to zapakuję wam po kawałku — powiedziała, wchodząc z powrotem do domu.

— A ja tylko wezmę klucze. — Amy Jane podążyła za nią.

Złapała torebkę, pobiegła z nią do kuchni i wyrzuciła zawartość na kuchenny stół. Claire wzniosła oczy do nieba, przyglądając się, jak buszuje wśród drobnych monet, błyszcząca do ust, pogiętych kwitów oraz licznych piór i ołówków.

— Aa, tu was mam. — Amy podniosła dłoń z kluczami w geście triumfu.

— I co, dowiedziałaś się, o co chodzi, prawda? — Claire spojrzała na nią znad białych plastikowych torebek, do których pakowała owinięte w celofan ciasto.

— No pewnie. — Amy schowała do torebki jej bogatą zawartość.

— I...

— Co?

— I o co tu chodzi? — spytała Claire, podążając za Amy w kierunku francuskiego okna, wychodzącego na patio.

Amy obejrzała się na nią przez ramię.

— Claire, wiesz dobrze, że nie mogę ci tego powiedzieć. To sprawa pomiędzy mną a klientem.

Claire wzruszyła z rezygnacją ramionami.

— Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

5

Corey Cohen szedł korytarzem, przeglądając po drodze pocztę i starając się nie wpadać na spieszących w przeciwną stronę ludzi. Właśnie skończył się mecz pomiędzy Lwami a miejscowymi notablami, z którego dochód przeznaczony był na cele dobroczynne. Hokeiści rozdali już autografy, wymoczyli się pod prysznicem, a teraz przystępowali do zwykłych w takich okolicznościach koleżeńskich przekomarzań.

W poczcie nie było nic ciekawego: rachunek za prąd i wodę, zaproszenie na barmicwę, notka reklamowa European Autos i jeszcze jedno zaproszenie, tym razem na uroczystość wyborów Miss Ameryki Nastolatek, gdzie miałby być jednym z jurorów.

Zapamiętał, by zapłacić rachunek i polecić sekretarce zredagowanie właściwej odpowiedzi na zaproszenie. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma chęć popatrzeć na piękne kobiety i luksusowe samochody. Idąc tak z pochyloną głową, nie

zauważył Chantal Perry, która zatrzymała się, by poszukać czegoś w plecaku, i wpadł prosto na nią. Nie mogąc wyhamować ani utrzymać równowagi, pociągnął ją za sobą. Listy rozsypały się po całym korytarzu, podobnie jak zawartość jej plecaka.

Ponieważ był zwinny i szczupły, bez trudu udało mu się ulokować na ciele Chantal, nie czyniąc jej wielkiej szkody. Zawisł nad nią, opierając się na rękach — prawdziwie dżentelmeńska pozycja. Nie było jednak nic dżentelmeńskiego w sposobie, w jaki ich biodra stykały się ze sobą, choć powodem tego był czysty przypadek. Wpatrując się w błyszczące błękitne oczy Chantal uświadomił sobie, że jest to pozycja, którą najchętniej przybierałby wciąż od nowa. I że nie byłoby nic dżentelmeńskiego w myślach, na które by sobie wówczas pozwolił. Lecz stanowiło to jego słodką tajemnicę. Nikt nie wiedział, że ma taką ochotę na Chantal Perry. Gdyby tylko nie pojawił się ten superman Max Armstrong i nie zepsuł wszystkiego! Kiedy objął stanowisko współsprawozdawcy, upadły wszelkie szanse, by coś mogło się pomiędzy nimi wydarzyć. Teraz jeśli chciał spędzić trochę czasu z Chantal, musiał ją o to poprosić. Rzykując, że odmówi. Powiedział więc sobie, że nic się nie stało, tym bardziej, iż dobrze wiedział, że nawet gdyby tak piękna kobieta, jak Chantal Perry, zwróciła na niego uwagę, jego matka dostałaby zawału, gdyby przyprowadził ją na kolację.

— Bardzo mi przykro... nic ci się nie stało? — spytał, odzyskawszy wreszcie zdolność mówienia. Pomógł jej się pozbierać.

— Wszystko w porządku, dziękuję. A co właściwie się stało? — spytała, przyjmując zaoferowaną jej dłoń.

— Sam dobrze nie wiem. Przeglądałem pocztę — spojrział na porozrzucane na podłodze listy. — Chyba nie patrzyłem, jak idę. Jeszcze raz przepraszam.

— Nie przepraszaaj — podniosła rękę, by go powstrzymać.
— Nic mi się nie stało, naprawdę. To chyba też trochę i moja wina. Nie powinnam zatrzymywać się i grzebać w torbie na środku korytarza.

Na wzmiankę o torebce spojrzeli oboje na podłogę, na której spokojnie leżały sobie tam, gdzie upadły, jakieś papiery, szminka i czarny koronkowy biustonosz.

— Pozwól przynajmniej, że pomogę ci pozbierać rzeczy.

— Nie, nie, poradzę sobie. Szybko zgarnęła wszystko jedną ręką.

— O, to chyba moje — zaprotestował, widząc, że upycha do plecaka wszystko, co zgarnęła.

— To? — Chantal zaczerwieniła się gwałtownie, spoglądając na czarny biustonosz, który trzymała w ręce.

— Zaproszenie. — Corey sięgnął i wyciągnął kartonik z za bielizny. — Na barmicwę mojego bratanka.

— Ach, tak. — Chantal błyskawicznie wepchnęła resztę swoich rzeczy do plecaka.

— Posłuchaj, czy mógłbym postawić ci wodę sodową lub coś innego? — zapytał. — Czuję się winny, że tak cię staranowałem...

O, Boże, czyżby naprawdę w końcu to powiedział? Gdzież podziewał się jego obrotny język, kiedy naprawdę go potrzebował?

Spojrzała na zegarek.

— Przykro mi, lecz jestem gdzieś umówiona, a już się spóźniłam. Ale dzięki.

Corey obserwował, jak pospiesznie odchodzi. Zastanawiał się, czy rzeczywiście mogła być z kimś umówiona. Miłość własna podpowiadała mu pozytywną odpowiedź, pochylił się więc ponownie nad pocztą, lecz, niestety, zupełnie nie potrafił skupić się nad sprawami, które postanowił załatwić. Przeszkadzało mu w tym wspomnienie skrawka czarnej koronki,

który wypadł z upuszczonego plecaka Chantal. Czy miało to znaczyć, że czasami nie nosiła stanika? Że często go nie nosiła? Przekląty Max Armstrong. Dlaczego nie mógł grać sobie dalej w hokeja, zamiast wkraczać na jego terytorium?

— Cześć, Corey...

Odwrócił się i zobaczył Lance'a Thomure, obrońcę Lwów i Ritchie Allena, bramkarza, którzy wychodzili właśnie ze składziku. O, nie, żeby tylko ci dwaj nie widzieli, co tu się przed chwilą zdarzyło! Do końca życia nie daliby mu spokoju!

— Chcieliśmy tylko zapytać cię, co sądzisz o moim morderczym karnym w ostatniej tercji? — spytał Thomure, gdy się zbliżyli.

Corey odprężył się, rozluźnił napięte w oczekiwaniu słownej utarczki mięśnie. Nic nie widzieli.

— Muszę przyznać, że bardzo ładnie odwróciłeś losy gry. Zupełnie, jakbyś znalazł jakiś przycisk włączający i nacisnął go

— A co z tobą, chłopie? — spytał Allen, wymierzając Thomure kuksańca łokciem. — Czy tobie udało się znaleźć taki przycisk?

— O czym mówisz? — zapytał zdziwiony Corey.

— Jak to o czym, o twoich zapasach na podłodze z Chantal Perry oczywiście. Nie wiedzieliśmy, że uprawiasz tę dyscyplinę...

Obaj sportowcy wybuchnęli śmiechem i nie spiesząc się odeszli, nadal z niego żartując.

Corey pokiwał głową nad ich wesołym, choć nieco dziecinnym zachowaniem i odetchnął głęboko, by się uspokoić. Nie powinien był pozwolić im się przyłapać. Czasami sądził, że jego matka mogła mieć rację — powinien był jej posłuchać, pójść na medycynę i zostać lekarzem, jak wszyscy mężczyźni w jego rodzinie.

No tak, lecz taki ostry sport, jak hokej, potrafił dostarczyć równie mocnych wrażeń. Stale zdarzało się, że ktoś uderzał głową o bandę lub rozbijał sobie kolano.

Sam nigdy nie był hokeistą tak jak Max. Nigdy też nie planował, że zostanie sprawozdawcą. Po prostu tak potoczyły się jego losy. Dla niego każdy sport był równie ekscytujący, gdyż tylko relacjonując sportowe zmagania wspinał się na szczyt elokwencji i dowcipu.

Spodziewał się przelewu krwi za kilka tygodni, gdy Lwy będą grały z Czarnymi Jastrzębiami. Intensywna rywalizacja tych drużyn przypominała raczej wojnę niż sport, a mecze, jakie pomiędzy sobą rozgrywały, nigdy nie były ładne.

Poza Jastrzębiami, niepokój Coreya budziły także dogrywki. Mecze w grupach zawsze były ostre i na ogół przeradzały się w dramatyczne i nader widowiskowe bitwy na lodzie. Zbliżał się niezwykle ekscytujący okres.

Miał nadzieję, że dotrważą w dobrym zdrowiu do rozgrywek. Jeśli Lwom uda się zdobyć Puchar Stanleya, skorzystają na tym wszyscy, zarówno zawodnicy, jak sprawozdawcy. Ostatni raz udało im się ta sztuka w latach siedemdziesiątych, kiedy miasto miało rzeczywiście silną drużynę.

A poza tym, im więcej transmisji, tym większa szansa, że wpadną na siebie z Chantal Perry. Bardzo podobał mu się ten pomysł. Wpadanie na siebie... Obraz leżącej pod nim dziewczyny, zarumienionej i bez tchu, stanął mu przed oczami.

Zastanawiał się, czy taki sam obraz pojawił się też przed jej oczami. Czy będzie pamiętała, jak nad nią dzisiaj leżał? I czy ten obraz będzie ją nawiedzał... drażnił... tak jak jego? A jeśli tak, czy będzie o nim myślała w równie prowokujący sposób, jak on myślał o niej?

Potrząsnął głową, pozbywając się erotycznych marzeń. Najpierw interesy. Ruszył na poszukiwanie Toma Quinna, trenera Lwów. Musiał sprawdzić pewną plotkę. Posłuży się

każdym sposobem, by zdobyć przewagę nad Maxem Armstrongiem i wykopać go. Tak, Max to prawdziwy cień w jego boku.

*

Amy Jane podjechała swoim dżipem do krawężnika i zaparkowała za luksusowym samochodem Maxa. Wysiedli ze swoich wehikułów i udali się razem do mieszkania Maxa.

— Nie musiałaś zabierać swojego samochodu. Odwiozłbym cię do domu — powtórzył swoją wcześniejszą ofertę.

— Nie, to za daleko, prawie czterdzieści minut jazdy. Nie rozumiem, jak ktokolwiek może dobrowolnie zamieszkać w Chesterfield. Wszędzie stąd daleko.

Otworzył drzwi, nie komentując tego przejawu lokalnego patriotyzmu.

— Tego właśnie się spodziewałam — powiedziała rozejrzawszy się po mieszkaniu.

— Czego? — zapytał zdziwiony.

— Jesteś pedantem.

— Nie ma nic złego w utrzymywaniu porządku. Umożliwia mi szybkie odnajdywanie rzeczy. To, że lubię porządek, wcale nie znaczy, że jestem pedantem.

— Naprawdę? Założę się, że trzymasz wszystkie listy w jednym miejscu, może nawet przewiązane wstążką?

— Chodźmy do sypialni, to sama się przekonasz — powiedział, chwytając ją za rękę.

Poszła za nim, czując się jak mucha w gościnie u pajaka. Wyciągnął górną szufladę komody, wyjął z niej listy i wręczył je Amy.

— Są tu, wszystkie razem, tak jak podejrzewałaś, choć nie związane. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem.

Amy wzięła listy i zaczęła przyglądać się badawczo temu, który był na wierzchu.

— Wygląda na dość nieszkodliwy.

Pozwoliła mu ześliznąć się na łóżko, a sama zajęła się następnym.

— W każdym następnym pojawiają się coraz to nowe żądania — zapewnił ją.

— Mam dla ciebie nowinę, Max. To tak jak z większością kobiet. — Patrzyła na niego przez chwilę.

Uniósł brew, ale nic nie powiedział. Wróciła do studiowania listów, które były właściwie raczej krótkimi notatkami. Wszystkie miały ten sam nagłówek: „Najdroższy Maxie”. Potem następował komplement lub żądanie i wreszcie końcowe „kocham cię”. I wszystkie napisane były na maszynie. Ktoś tu jeszcze był słodką spryciulą.

Skończywszy przeglądać listy, pozwoliła im wszystkim upaść na łóżko.

— Czy mówiłeś o nich komukolwiek? Może się chwaliłeś?

— Znowu mylisz mnie z Coreym Cohenem...

Pochylił się, by pozbierać listy, po czym ułożył je w zgrabny stosik.

— Nikomu o nich nawet nie wspomniałem. Uważałem je za przejaw niegroźnej fantazji...

— Dopóki nie zaczęła grzebać w twojej szufladzie z bielizną...

— Właśnie.

Umieścił listy w górnej szufladzie komody i spytał z pozornym niepokojem:

— Czy ty też chciałabyś zobaczyć moją szufladę z bielizną?

— A która to? — zapytała.

Twarz Maxa wyrażała zdziwienie.

— Trzecia od dołu.

Odsunął się od komody.

Amy Jane podeszła, wyciągnęła trzecią szufladę i zajrzała do środka, a później starannie ją przeszukała, zostawiając za sobą kompletny bałagan. Wzrok potwierdził tylko to, o czym już wcześniej przekonał ją dotyk: w szufladzie nie było niczego poza kilkoma opakowanymi w folię paczuszkami i jedwabnymi spodenkami.

— Czy słyszałeś kiedykolwiek o bawełnianej bieliznie? — popatrzyła na niego, czując jeszcze zmysłowy dotyk jedwabiu na czubkach palców.

— A czy ty kiedykolwiek słyszałaś słowo „porządek”? — Max wyminął ją, by poskładać porozrzucane rzeczy.

— Tak, wiem nawet, że ma osiem liter... — odpowiedziała, szybko usuwając się z odurzającego zasięgu jego płynu po goleniu o niebezpiecznie wręcz uwodzicielskim zapachu.

— Wiesz co, wydaje mi się, że ty jeszcze podsycasz te fantazje... — odezwała się zza jego pleców.

— O czym ty mówisz? Przecież nigdy nie odpowiedziałem na żaden list.

— Ale trzymasz je wszystkie razem, ułożone w schludny stosik. Być może ona wyobraża sobie, że co jakiś czas je przeglądasz. Ona na pewno je przejrzała, kiedy przyszła poszukać jakiejś pamiątki.

— O, Boże.

— A jak przypuszczasz, w jaki sposób udało jej się tu dostać? — spytała, rozpoczynając dokładny przegląd pomieszczeń.

Max deptał jej po piętach. Sprawdziła kolejno wszystkie okna i drzwi, wspięła się nawet na kuchenny stół, by obejrzeć świetlik.

Max uśmiechnął się.

— Nie sędzę, żebyśmy szukali włamywacza, wspinającego się po murach.

Zaniepokojona, że nie potraktował poważnie ani sprawy, ani jej, odcięła się:

— Wygląda na to, że udało jej się niebezpiecznie zbliżyć do klejnotów rodzinnych.

— Ale mądrała...

— Tak? Więc powiedz mi, Sherlocku, jak twoja droga wielbicielka dostała się tutaj, skoro wszystkie drzwi i okna są w porządku? Chyba że była to stara przyjaciółka, która bardzo dogodnie dla siebie zapomniała oddać ci klucze. — Jęknęła. — Nie chcę nawet myśleć o tej przerażająco długiej liście, którą będę musiała sprawdzić...

— Nie musiałyby się włamywać — powiedział Max spokojnie.

— Dlaczego nie? Chyba nie chcesz mi powiedzieć — przerwała, widząc zakłopotany wyraz jego twarzy.

Skinął głową.

— Obawiam się, że tak. Nie dbam zbyt wiele o zamykanie drzwi. — Wzruszył ramionami. — Pochodzę z małego miasteczka i chyba nie nabrałem jeszcze tego nawyku.

— Ale dziś wieczór drzwi były zamknięte.

Zaśmiał się ponuro.

— Być może nie uczę się zbyt szybko, lecz jednak się uczę.

— Na twoim miejscu bardziej bym o to dbała — poradziła mu — choćby dlatego, że masz tu kilka cennych sosnowych mebli. Twoje towarzystwo ubezpieczeniowe nie byłoby zbyt zadowolone, gdyby wiedziano tam, że praktycznie każdy może tu wejść i obrabować cię.

— Nie myślisz chyba...

— Nie, nie myślę. Sądzę, że ta akurat wielbicielka jest bardziej zainteresowana tobą, niż twoim majątkiem. Ale nie zmienia to faktu, że naprawdę jesteś znakomitym celem dla każdego, kto chciałby cię okraść. Kiedy relacjonujesz mecz w telewizji, jesteś niczym żałobnik na pogrzebie — podatny na

ciosy. Włamywacz musiałby tylko dowiedzieć się, kiedy będziesz na dyżurze, a potem włączyć telewizor, żeby się upewnić, że droga wolna. I po kłopotcie!

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. — Max sprawdzał teraz zawartość lodówki.

— To dlatego, że nie jesteś żoną lektora, czytającego wiadomości, choć twoje położenie jest jeszcze gorsze. Na takie właśnie okazje czyhają gwałciciele. Zapytaj kogoś z policji. A jeśli już o tym mowa, zgłosiłeś włamanie?

— Taak, już wyobrażam sobie te nagłówki — budzę się i co widzę?

WIELBICIELKA W SZUFLADZIE ARMSTRONGA!

Amy Jane potrzęsnęła głową, nie przyjmując proponowanego jej napoju chłodzącego z winem.

— Myślę, że powinieneś dowiedzieć się o tej kobiecie, jak najwięcej się da.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jest to zadanie dla detektywa? — Max pociągnął solidny łyk wina.

— Sądzę, że sprawa wymaga zbadania. Ta kobieta może być niebezpieczna. W końcu przecież łamie prawo, czyż nie? Skoro włamuje się do twego mieszkania, by wziąć sobie na pamiątkę parę slipów, to chyba nie jest to normalne zachowanie?

Max przez chwilę rozważał jej punkt widzenia, po czym wzruszył ramionami. — Sam nie wiem — może ona ma po prostu kłopoty z właściwą oceną swego postępowania. Czy nigdy nie zdarzyło ci się, że miałaś na kogoś szaloną ochotę i zachowywałaś się trochę głupio?

Amy Jane przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego kpiąco.

— Co jest? — spytał, odstawiając wino.

— Podoba ci się to, prawda?

— Podoba mi się co? — zapytał z niedowierzaniem.

— To, że kobiety dosłownie dostają bzika na twoim punkcie. Sam sobie jesteś winien.

— Zwariowałaś!

— Naprawdę?

— Sądzę, że powinnaś już iść — powiedział, kierując się w stronę drzwi. — Jak już wspomniałem, jeśli będę chciał, by mnie ktoś poobrażał, zadzwonię do Coreya Cohena. Idź już, proszę.

— To znaczy, że mnie nie wynajmiesz?

— A jak myślisz?

Amy Jane uśmiechnęła się, słysząc, jak starannie zamyka za nią drzwi. A jednak to mu się podoba. A komu by się nie podobało?, pomyślała, podchodząc do swego dzipa.

Niestety, nie należała do kobiet, dla których mężczyźni tracili głowy i portfele. Miało to coś wspólnego z jej postawą wobec nich. Tak jak wuj James nigdy nie zetknął się z nałogiem, którego by nie polubił, tak ona nigdy nie zetknęła się z mocno ugruntowanym konwenansem, którego nie chciałaby natychmiast obalić. Zwłaszcza trudno jej było się oprzeć chęci przeciwstawienia się temu, który głosił, iż kobieta powinna odczuwać słuszny lęk przed męskim gniewem. Choć oczywiście do tej pory zdażyła się już nauczyć, że nie jest zbyt roztropnie śmiać się z mężczyzny, kiedy jest wściekły. No cóż, Max pojawi się pewnie, kiedy nieco ochłonie.

Amy Jane zaparkowała samochód o kilka bloków od domu Maxa. Wróciła, powodowana przecuciem. Kobiety zwykle miały bardziej trafne przecucia, niż mężczyźni. Była absolutnie przekonana, że ten pogląd nie ma nic wspólnego z obiegowymi sądami na temat płci, lecz stanowi bezsporny fakt. W końcu jej przecucia zwykle się sprawdzały.

Co z tego, że Max nie wynajął jej tego wieczoru. Była pewna, że w końcu i tak to zrobi, więc po prostu przystąpi wcześniej do koniecznych czynności. Z przyjemnością zabrała się zatem do

dziela, okrążając najpierw mieszkanie, by przekonać się, co można zobaczyć z zewnątrz, gdy w środku pali się światło. Przez kuchenne okno niewiele dawało się dojrzeć, zaś okna jadalni i salonu zaopatrzone były w miniżaluzje — teraz spuszczone — które skutecznie uniemożliwiały podglądanie.

Skierowała się w stronę sypialni Maxa. Tu sprawy miały się zupełnie inaczej i Amy dokonała cennego odkrycia. W sypialni paliło się światło, co pozwoliło jej dostrzec mały balkonik i prowadzące nań szklane, przesuwane drzwi. Nie było tu żaluzji, lecz zwykłe zasłony z materiału, do tego niezbyt szczelnie przylegające do framugi. Przez wąską szczelinę dawało się dostrzec spory fragment pomieszczenia.

Aż podskoczyła, słysząc wysoki, jęklivy dźwięk. Chwilę zabrało jej uświadomienie sobie, że taki właśnie odgłos wydają czasem rury kanalizacyjne. Widocznie Max brał prysznic. Widziała światło przebijające spoza drzwi łazienki.

Dawało jej to kilka minut swobody bez ryzyka przyłapania. Z miejsca, gdzie stała, widać było miękkie sosnowe łóżko, a obok niego wiklinowy kufer, na którym stał telefon i radio z zegarem. Uśmiechnęła się, widząc stojącą na komodzie szklaneczkę z niedopitym alkoholem. To ona sprawiła, że Max musiał się napić, pomyślała z satysfakcją.

Powróciła myślami do wykonywanej pracy. Czy wielbicielka Maxa też tu wystawała, obserwując go? Czy starczyłoby jej na to odwagi? Możliwe, skoro okazała się dość odważna, by włamać się do mieszkania i szperać w rzeczach. Najwyraźniej pragnęła bliższego związku z Maxem. Czy dlatego, że raz go już zdobyła i utraciła? Czy to Kerry Ashton kryła się za sprawą tych listów? Jakoś nie mogła sobie wyobrazić tej eleganckiej kobiety z klasą, stojącej na balkonie i podglądającej, choć Kerry także mieszkała w Chesterfield. Może nawet w odległości paru minut pieszego spaceru. Choć w Chesterfield nikt nie chodził piechotą. A poza tym Amy Jane łatwo mogła wyobrazić sobie Kerry w jedwabiach.

No i była jeszcze oczywiście Chantal Perry, dziewczyna, którą Max. pozbawił obiecanego stanowiska współsprawozdawcy Lwów. Ciekawe, gdzie też ona mogła mieszkać? Postanowiła to sprawdzić, choć nie przypuszczała, by Chantal mogła chcieć od Maxa czegoś innego, niż jego pracy. Lecz nigdy nie wiadomo.

Światło w łazience zgasło i w polu jej widzenia pojawił się Max. Nagi. Taak, niewątpliwie była to hojna nagroda za nude sprawy ubezpieczeniowych, którymi się do tej pory zajmowała. Już samo pilnowanie stawało się coraz bardziej interesujące. W chwilę później światło w sypialni zgasło. Kiedy odwróciła się, by odejść, poczuła pod stopą jakiś przedmiot. Pochyliła się i podniosła go. Był to mały złoty kolczyk w kształcie kółka. A ucho jego właścicielki musiało być przeklute.

6

Następnego popołudnia Amy Jane zajęła się sprawą kolejnego wyłudzenia odszkodowania od towarzystwa ubezpieczeniowego. Obowiązki przywiodły ją na boisko, gdzie rozgrywany był amatorski mecz baseballu. Siedziała wygodnie ulokowana na tanich miejscach pod gołym niebem. Tłum zainteresowanych przyjaciół oraz rodziny skutecznie krył ją przed wzrokiem śledzonego delikwenta.

Transmitowany przez telewizję pierwszy wiosenny trening Kardynałów wypędził z domów weekendowych sportowców, zachęconych ciepłą, słoneczną pogodą.

Amy Jane trzymała w ręce kamerę wideo. Facet, którym się zajmowała, był następny w kolejce do uderzenia. Właśnie wypróbowywał kolejne kije o różnym ciężarze. Wydawał się daleki od niesprawności, którą deklarował. Do spółki ze swoim sprytnym adwokatem wyciągnęli niezłą forszę od towarzystwa

ubezpieczeniowego, które zatrudniło Amy Jane, domyślając się, pomimo werdyktu sądu, że facet tylko udaje trwale kalectwo.

Był widocznie dość sprytny, by wynająć niezbyt uczciwego adwokata, lecz nie dość cwany, by zrezygnować z ulubionej rozrywki.

Miała go już na taśmie. Kilka dni wcześniej zastąpił kolegę, który pośliznął się przy drugiej bazie i rozbił sobie kolano tak skutecznie, że musiał opuścić boisko. Facet zagrał tylko jedną kadencję, lecz Amy Jane miała to pięknie nagrane, gotowe do podania niczym danie na talerzu.

Przyszła tu dziś powodowana przecuciem, że jeśli facet znowu spróbował gry, nie będzie mógł się oprzeć urokowi następnych występów.

Ona swego czasu również uległa urokom tej gry i jako podłotek zawzięcie kibicowała drużynom baseballu, a nawet grywała w letniej lidze. Zdarzało jej się przemycić do szkoły radio, by wysłuchiwać transmisji z mistrzostw świata. Prawdę mówiąc, do dziś pamiętała ten dzień, gdy z bólem uświadomiła sobie, że nigdy nie zostanie zawodowym graczem w baseball. To, że jest kobietą czasami porządnie ją wkurzało.

Pomyślała o Maxie Armstrongu. Ona też naprawdę go wkurzyła. I przyglądała mu się, kiedy był nagi.

No dobrze, ale nie to, że jest kobietą tak jej przeszkadzało. W gruncie rzeczy nawet to lubiła. To ograniczenia, jakim podlegały osoby tej płci, przyprawiały ją o frustrację. Ktokolwiek wynalazł te kretyńskie przywileje związane z płcią, powinien choć przez jakiś czas pobyć kobietą, ponosić pas do pończoch i sześciocentymetrowe obcasy, doświadczając permanentnego uczucia niemożności, gdy pragnął ułożyć sobie życie tak, jak mu odpowiadało. I wtedy w ciągu tygodnia — skąd, w ciągu dnia — zasady zostałyby na zawsze zmienione.

Wróciła myślami do pracy, którą właśnie wykonywała, odsuwając to, co na świecie złe, i to, co dobre... na przykład

nagi Mr. Armstrong... w głębokie zakamarki pamięci. Trzeba jakoś zarabiać na życie.

Tak jak oczekiwała, przecucie jej nie myliło: kto raz złapał bakcyła sportu, nigdy się go nie pozbędzie — jeśli tylko zdrowie pozwoli mu się poruszać. A ten facet poruszał się tu bardzo sprawnie ani śladu trwałych obrażeń pleców. Jednym słowem — silny, zdrowy byczek, nie mający pojęcia o tym, jak to jest żyć z zasilku.

Lekko różowy odcień wieczornego nieba zapowiadał następny piękny poranek. Amy Jane nacisnęła przycisk włączający nagrywanie. Zapaliło się małe, czerwone światełko. Nikt nie zwracał na nią uwagi, ludzie myśleli zapewne, że filmuje sportowe wyczyny swego chłopaka. Jeszcze przez chwilę przyglądała się grze przez obiektyw kamery, starając się uchwycić wyraźnie twarz mężczyzny, by nie było najmniejszych wątpliwości, kim jest i co robi. Użyła do tego celu zoomu, po czym wyłączyła kamerę. Miała już wystarczającą ilość materiału, by zdemaskować naciągacza.

Żałowała, że nie da się równie łatwo wyłączyć myślenia, zwłaszcza myślenia na temat Maxa Armstronga.

Musiała ubić z nim interes. Ale on może przeciągać sprawę nawet do jutra. Będzie musiała jakoś wynagrodzić mu swoje postępowanie. Ale jak? Wtem przypomniała sobie stare porzekadło, iż droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Być może śniadanie w łóżku załatwiłoby sprawę, pomyślała, uśmiechając się do siebie. No i zdobyła przecież ślad — złoty kolczyk.

Idąc w kierunku dżipa, postanowiła poprosić Claire, by zatroszczyła się o śniadanie w łóżku.

*

Max wyciągnął ramię, starając się dosięgnąć uporczywie dzwoniącego telefonu.

— Halo — wymamrotał, próbując się wyrwać z okowów głębokiego snu.

Żadnej odpowiedzi, tylko dalszy uporczywy dźwięk dzwonka.

— Halo... — powtórzył, tym razem z pewnym zniecierpliwieniem.

Dobłą chwilę zajęło mu stwierdzenie, iż przenikliwy, przykry dźwięk nie pochodzi z telefonu. Ktoś dzwonił do drzwi. Lecz on nikogo się nie spodziewał. A poza tym która, do diabła, jest właściwie godzina?

Odrzucił koldrę, przeklinając cicho. To na pewno kolejny dowcip chłopców z drużyny. Powłókł się do drzwi, na wpół śpiący i ubrany tylko w jedwabne spodenki.

— No dobra, czego chcecie? — burknął, otwierając drzwi.

To nie był żaden zawodnik. Ani też chłopak z pizzerii z tuzinem placków z sardelą, zamówionych przez kolegów w ramach kawału. Stał tam mały Czerwony Kapturek z koszykiem pod pachą.

— Amy Jane przeprasza i życzy smacznego.

— O, cześć.

Stojąc tak przed nią w swoich jedwabnych spodenkach, czuł się rzeczywiście jak Duży Zły Wilk. I pewnie tak samo wyglądał.

— Wejdiesz?

Claire Chadwick wyglądała na cokolwiek zakłopotaną.

— No, chodź, obiecuję, że cię nie zjem — powiedział z uśmiechem z pewnością bardziej baraním niż wilczym.

Odsunął się na bok, by ją przepuścić.

— Wybacz mi na chwilę, doprowadzę się tylko do porządku i zaraz wracam.

Skinęła głową, a on pospieszył do sypialni, by się przebrać. Wciągając dżinsy spojrzął na zegarek. Dziewiąta trzydzieści. Znaczyło to, że za drzwiami z pewnością nie mógł znajdować się żaden z zawodników. Grali dziś u siebie, a to oznaczało zbiórkę na lodzie o wpół do jedenastej. Na pewno zdałby sobie z tego sprawę wcześniej, gdyby nie był tak zaspany. Chwycił podkoszulek i pospieszył do gościa.

Dźwięki dobiegające z kuchni sprawiły, że skierował się najpierw tam. To Claire wkładała do kuchenki mikrofalowej coś pachnącego tak kusząco, że aż zaburczało mu w brzuchu.

— Tu jesteś — powiedział wchodząc. Szybko wciągnął podkoszulek, unosząc ręce nad głowę.

— Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu — odparła Claire, zsuwając na talerz plastry chrupiącego bekonu. — Amy Jane nalegała, abym przygotowała śniadanie i przyniosła je wraz z przeprosinami.

Wytarła ręce w ściereczkę, która wcześniej przykrywała koszyk, i podała mu napisany odręcznie liścik.

Max rzucił okiem na przeprosiny. Kuchenka wyłączyła się i Claire wyjęła z niej talerz jajecznicy z kremowym serem.

— Czy jej wybaczysz? — spytała, gdy skończył czytać.

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że zjesz ze mną śniadanie.

— Naprawdę?

— Nalegam.

— No cóż, zgoda, jeśli tego właśnie chcesz.

Przez chwilę obserwował krzątanie Claire, nadającej ostatni szlif śniadaniu, zaaranżowanemu dla niego przez Amy Jane. Była słodkim blond stworzeniem, całym w różach, począwszy od pastelowych szortów i pasującego do nich lnianego żakietu, po zadbane paznokcie i błyszczące usta. Nie przypominała zupełnie starszej siostry. Jakkolwiek by się

starał, nie potrafiłby, nawet za cenę życia, wyobrazić sobie Amy Jane dokładającej tyłu starań, by przygotować dla niego śniadanie. Jeśli zaś rzeczywiście musiałaby to zrobić, byłby szczęśliwy, gdyby przygotowała mu filiżankę kawy zaparzonej jak należy.

— Wiesz, będziesz znakomitą żoną dla jakiegoś faceta — rozmarzył się głośno.

Claire zaczerwieniła się. Szybko rozpakowała pozostałe składniki porannej uczy: rogaliki, dżem, pokrojone owoce i termos aromatycznej, gorącej kawy po irlandzku.

— Powiedz mi, Max — spytała, nalewając mu filiżankę parującego napoju — czy lubisz swoją pracę?

Amy Jane rzeczywiście postanowiła jąć się wszelkich sposobów, by dostać tę robotę, pomyślał. Nakłoniła nawet Claire, by schlebiała mu tym swoim bojaźliwym głosikiem małej dziewczynki. Zastanawiał się, czy ta ostatnia orientuje się, jak niewinnie, a zarazem uwodzicielsko brzmi jej głos. Pewnie nie. To z pewnością praca sprawiła, że stał się taki wrażliwy na brzmienie głosu.

— Uwielbiam ją — odparł, rozkoszując się kobiecym czarem, roztaczanym nieświadomie przez Claire. Cóż za miła odmiana po tym, jak Amy Jane zraniła przedwczoraj jego miłość własną. To prawdziwy cud, że ta kobieta miewa w ogóle jakichś klientów.

*

Ból szyi stawał się nie do zniesienia. Amy Jane siedziała w swoim dżipie od świtu. Choć zaparkowana tuż przed nią furgonetka zasłaniała ją skutecznie przed wzrokiem niepowołanych osób, Amy była dość ostrożna, by zejść ludziom z widoku. Delikatnie wyprostowała zdrętwiałe nogi i ramiona. Od podpierania opadającej głowy bolał ją nadgarstek. Jak

przypuszczała, wczorajszy mecz baseballu wywabił z domów całą drużynę Próźniaków, a teraz piwo, wypite wczoraj z kumplami, wywabiło na świeże powietrze obiekt jej zainteresowań. Mężczyzna podszedł do samochodu i zobaczył, że jedna z opon jest przebita.

Nie zdumiało go to specjalnie. Amy Jane patrzyła, jak kopie ze złością oponę, jakby pragnąc ukarać ją za to, że ośmieliła się zepsuć. To dziecinne zachowanie zemściło się na nim, gdyż zamiast ukarać oponę, pokarał się sam. Przez chwilę obserwowała, jak skacze na jednej nodze, klnąc ile sił. Powinna to zarejestrować. I tak by niechybnie zrobiła, gdyby jej myśli nie były zaprzątnięte bez reszty Maxem Armstrongiem. Zastanawiała się, jak Claire radzi sobie ze śniadaniem, które miała zanieść Maxowi. Nie żeby się martwiła. Claire i jej umiejętności kulinarne stanowiły pewniak.

Sięgnęła po kamerę, wyrzucając z głowy wszelkie myśli o Claire i Maxie. Zajęła się obserwacją faceta, który właśnie otwierał ciężarówkę, by poszukać lewarka i nowej opony. Teraz! Ostrożnie! Trzeba zapanować nad entuzjazmem. Nie wolno dać się przyłapać, gdy sukces jest już tak blisko.

Facet na pewno nie byłby zbyt zadowolony, wiedząc, że został przyłapany na wyteżonym wysiłku fizycznym, jakiego wymagało podniesienie samochodu, odkręcenie śrub i zmiana opony. Nie wtedy, gdy, jak twierdził, pozostawał niesprawny w wyniku poważnego uszkodzenia kręgosłupa.

Uruchamiając kamerę, pomyślała, że byłby jeszcze mniej zadowolony, gdyby wiedział, że to jej zawdzięcza przebitą oponę. Wymagało to tylko małej zmiany kursu, gdy wracała do domu wczoraj wieczorem...

Biedny Max Armstrong nie miał cienia szans, zważywszy na jej determinację. Uśmiechnęła się.

— Czy naprawdę musimy tam iść, mamó? To takie nudne... ąsała się nastolatka, podczas gdy Claire objaśniała jej ojcu, jak dojść do Łuku. — Nie moglibyśmy pójść zamiast tego na zakupy?

— Nie przyjechaliśmy tu aż z Vermont, by robić zakupy — zbeształa ją matka.

Amy Jane uśmiechnęła się, widząc, jaką minę zrobił mały braciszek dziewczyny.

— Zakupy! Też coś! Chcę wjechać na samą górę Łuku!

— I tak właśnie zrobimy — powiedział ojciec, uśmiechając się do synka. Zebrał instrukcje, które zapisał, i ruszyli.

Claire pomachała całej czwórce na pożegnanie.

— I jak ci poszło dziś rano? — spytała Amy, gdy siostra ponownie zwróciła na nią uwagę.

Amy Jane właśnie wróciła do domu, podrzuciwszy po drodze taśmę, którą nagrała dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

— Mam nadzieję, że równie dobrze, jak mnie — dodała, mając na myśli rachunek, jaki wręczyła towarzystwu wraz z taśmą, która pozwoli im odmówić wypłacenia przyznanego przez sąd odszkodowania.

Kwota wypisana na rachunku z pewnością wywoła mały szok, lecz towarzystwo zapłaci, gdyż dowody, które zebrała, pozwolą mu zaoszczędzić o wiele większą sumę.

— Obudziłam go — powiedziała Claire, bawiąc się małym kolczykiem z opalem, zdobiącym jej zgrabne ucho.

Amy Jane zaśmiała się z uciechą.

— Więc powiedz mi, kiedy on wstaje — o której tam poszłaś?

— Niezbyt wcześnie. Zaczekałam do dziewiątej, zanim wyszłam, więc musiałam tam być około wpół do dziesiątej.

— A on jeszcze spał? Co za życie! A ja musiałam wstać o świcie i wziąć się do roboty. I powiedz mi, czy świat nie został stworzony dla mężczyzn?

Otworzyła lodówkę, kołysząc się przed jej otwartym wnętrzem niczym nastolatka.

— Pewnie był wściekły? — spytała, przeszukując lodówkę w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby jej dotrzeć do lunchu, gdyż rano, podekscytowana czekającym ją zadaniem, nie pomyślała o zabraniu czegoś do jedzenia. I tak dobrze, że nie zapomniała wcisnąć przycisku, włączającego kamerę! To by dopiero była klęska... Na szczęście, odkąd zaczęła tę pracę, nic równie głupiego nigdy jej się nie przydarzyło.

Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie rubaszny chichot wuja Jamesa, gdy usiłowała puścić mu kasetę z nagraniem, które zrobiła, by go zabawić, a na taśmie nie było nic poza jedną nieruchomą i niewyraźną klatką. Wtedy nie rozbawiło jej to ani w połowie tak jak dziś, lecz zapamiętała tę lekcję. I zemściła się na wuju za to, że się z niej śmiał. Teraz nie potrafiła już przypomnieć sobie szczegółów owej zemsty, pamiętała tylko, że miała coś wspólnego z użyciem wosku do usztywniania wąsów.

— Wściekły? — zastanawiała się Claire, przechyliwszy głowę na bok. — Może w pierwszej chwili, kiedy myślał, że to któryś z zawodników usiłuje zrobić mu kawał. Gdy zobaczył, że to ja, chyba mu ulżyło.

— Sądzę, że koszyk, który przygotowałaś, też na pewno nie zaszkodził. I co, smakowało mu? — Amy Jane klepnęła się w czoło. — Co ja plotę? Oczywiście, że mu smakowało. Jesteś diabelnie dobrą kucharką. To jeden z powodów, dla których pensjonat tak dobrze idzie.

— Powiedział, że mu smakowało. — Claire wyjęła z szafki pojemnik z solą. — I zjadł wszystko, do ostatniego okruszka.

— A jak się zachował — pozwolił, żebyś podała mu śniadanie do łóżka? Założę się, że wyciągnął z sytuacji, ile się dało.

— Ależ nie, skąd. Ubrał się i zjedliśmy w kuchni.

Stała na palcach, próbując dosięgnąć pojemnika na pieprz.

— Nalegał, żebym z nim zjadła.

Znalazła pojemnik i wyjęła go.

— To wspaniale. Mam tylko nadzieję, że jego maniery przy stole nie przeraziły cię. Z tymi byłymi hokeistami nigdy nic nie wiadomo — drażniła się z nią.

Claire zmieszała się.

— Jego manierom nie można niczego zarzucić. Naprawdę, Amy, sądząc z tego, co mówisz, można by pomyśleć, że dopiero co wyczołgał się z jaskini.

— Wszyscy mężczyźni niedawno wyczołgali się z jaskini, siostrzyczko — odparła Amy Jane, sięgając po pomarańczę. Zamknęła lodówkę. Zaczęła obierać owoc, przyglądając się, jak Claire uzupełnia zawartość soli i pieprzu w kryształowych pojemniczkach, przeznaczonych na stoły. Kolejny z jej małych sposobów na przyciągnięcie gości.

— No dobrze, wystartowaliście wspaniale, Max ubrał się do śniadania i nie opierał łokci na stole. A co potem? Dał się złapać?

— Słucham?

— Czy przyjął moje przeprosiny, kiedy już przekupiłaś go swoimi przysmakami? — wytłumaczyła Amy Jane, jakby miała do czynienia z kimś nierozgarniętym.

— Ach, no cóż. Powiedział, że zastanowi się nad tym, jeśli... — Claire nałożyła solidną nakrętkę na miniaturową solniczkę, którą właśnie napełniła.

— Jeśli... — Amy wgrzyła się w pomarańczę, po czym wytarła ściekający jej po brodzie sok. — Jeśli... jeśli co?

- Powiedział, że porozmawia z tobą o tym dziś wieczorem.
- Wieczorem?
- Tak, po meczu.
- Ale ja nie wybieram się dziś na mecz — zaraz, poczekaj, a może — może jednak się wybieram... wybieramy.
- O nie, na pewno się nie wybieramy.

Claire zebrała pojemniczki i odwróciła się plecami do Amy Jane i jej propozycji.

— Och, daj spokój, Claire. Amy podażyła za siostrą do jadalni, gdzie Claire właśnie ustawiała przygotowane pojemniki.

— Nie idę. Nie lubię sportu, zapomniałaś? — Claire ruszyła z powrotem o kuchni.

— Claire, nie bądź taka, chodź ze mną. Zobaczysz, jak dobrze będziesz się bawiła — prosiła Amy Jane następując siostrze niemal na pięty, niczym spragniony pieszczoł piesek, domagający się pogłaskania. — Nigdy nie wychodzimy razem, tylko my dwie.

— Ale mecz hokejowy? Nie mogłybyśmy na przykład pójść do kina lub coś w tym rodzaju? W Multiplexie grają ten fantastyczny film z Robertem Redfordem, w którym on płaci jakiejś kobiecie milion dolarów, by się z nim przespała.

— Ten scenariusz musiał napisać mężczyzna — powiedziała Amy Jane, kiwając głową.

Claire podała jej ściereczkę, by wytarła umazane sokiem ręce i usta.

— Doprawdy, Amy, jesz, jak małe dziecko.

— Wiem — potwierdziła bez śladu skruchy. — Tak lepiej smakuje. Zwilżyła opatrzoną monogramem ściereczkę i wytarła resztki z palców i warg.

— Ależ, Amy Jane...

— Daj spokój, Claire. Zbyt ciężko pracujesz. Powinnaś się trochę rozerwać. Wyluzuj się i odstaw na trochę tych bubków z minor-league.

— Ivy League — poprawiła odruchowo Claire, zanim zdążyła się powstrzymać.

— Co za różnica. — Amy Jane wzruszyła ramionami. — Claire, powiedz, że ze mną pójdziesz. Pohulamy trochę. Nakupimy niezdrowego żarcia i będziemy jadły palcami — poruszyła seksownie brwiami — może ośmielimy się nawet poflirtować z jakimiś facetami... i co ty na to, Claire? Zgódź się, proszę.

— No dobrze.

— Tak po prostu? I żadnych argumentów przeciw?

Claire uśmiechnęła się, podnosząc ręce w geście poddania.

— Skończyłam książkę.

Amy Jane przyjrzała jej się uważnie.

— No, cóż, masz rację... nie spędzałyśmy ze sobą ostatnio zbyt wiele czasu. I rzeczywiście zbyt ciężko pracuję.

— Idę się przygotować — oznajmiła Amy Jane, zadowolona z planowanej wyprawy.

— Nie zużyj całej gorącej wody — zawołała za nią Claire. — Zostaw też coś na moją kąpiel.

Jej kąpiel. Kąpiele Claire polegały na długim, leniwym wylegiwaniu się w wannie, dopóki nie wypaliły się świece. Będą miały szczęście, jeśli dotrą na stadion przed trzecią tercją.

7

Kiedy Amy Jane weszła do baru wuja Jamesa wraz z ośmiorgiem innych gości, nader hałaśliwie obchodzących urodziny któregoś z nich, zobaczyła, że bar jest już pełen kibiców, którzy wyszli z meczu wcześniej, by ominąć późniejszy tłok. Goście urodzinowego solenizanta wyśpiewywali życzenia z zapalem, choć fałszywie.

W barze przebywali głównie ludzie młodzi. Tu i tam przy stolikach siedziało co prawda samotnie kilka par, lecz większość towarzystwa stanowiły grupki przyjaciół. Wyglądało na to, że umawianie się na randki nie było już tak popularne wśród dzisiejszych dwudziestolatków. Dzisiejsza młodzież preferowała prywatne życie w czterech ścianach i stadne wyprawy do miasta. Nie wiedziała, czy jest to spowodowane strachem przed AIDS, kryzysem ekonomicznym, czy jakąś inną przyczyną natury socjologicznej, ale ten nowy trend raczej jej się podobał. Zmniejszył bowiem stres wynikający z przymusu posiadania kogoś i eliminował te straszne randki w ciemno. Mogłaś spokojnie spędzić wieczór ze znajomymi, bez zobowiązań, wynikających z umówienia się na randkę. No i mogłaś zniechęcić delikatnie kogoś, kto niezbyt ci się spodobał, nie powodując u drugiej strony zakłopotania czy poczucia winy. Jedyłą rzeczą, gorszą od bycia odrzuconą, było samemu kogoś odrzucić. Amy Jane zwykle pozwalała mężczyznom sądzić, że rozstają się z nią z własnej inicjatywy. Czasami zastanawiała się tylko, czy mózg ma równie miękki jak serce.

Kiedy weszły, właśnie zwalniały się dwa miejsca.

— A co wy dwie robicie tu dziś wieczorem? — spytał wuj James, starając się wyglądać możliwie niewinnie, zupełnie jakby przed chwilą nie przegonił dwóch klientów, by zrobić miejsce dla swoich bratanic. — Byłyście może na tym nowym filmie z Redfordem, jak mu tam, chyba „Niemoralne zachowanie...”?

— „Propozycja” — poprawiła Claire. — Nie, ktoś nie chciał pójść — skinęła głową w kierunku Amy Jane. Usadowały się przy barze.

— Naprawdę? Jak to możliwe? — spytał, rozkładając papierowe serwetki pod drinki. — Sądziłem, że każda kobieta, jeśli tylko jeszcze oddycha, podkochuje się w Redfordzie.

— Zapropnowalam mecz hokeja. Pomyślałam, że to mogłoby być zabawne. Lecz niestety, skoro niektórym zwykła

kąpiel zabiera trzy godziny... — dodała, spoglądając znacząco na Claire.

Gdzieś w tle słyszała Maxa, relacjonującego ostatnie minuty meczu. Drużyna gospodarzy prowadziła czterema bramkami.

— Środkowy napastnik Jastrzębi strzela, lecz krążek odbija się od Allena... Co za wspaniała obrona, chłopcy! Następne słowa Maxa sprawiły, iż wszystkie głowy odwróciły się w stronę ekranu. Większość kibiców nie obserwowała meczu zbyt uważnie, gdyż Lwy już wcześniej zapewniły sobie sporą przewagę, więc teraz wyłącznie żądza krwi mogła z powrotem przyciągnąć ich uwagę.

— O rany, chłopaki... wygląda na to, że McQuaid ma spore kłopoty na tamtym końcu lodowiska...

Głos Maxa obiecywał zaspokojenie owej żądzy. Teraz już niemal wszyscy przyglądali się, jak osiłkowaty obrońca Jastrzębi podcina McQuaida, w następstwie czego cała drużyna Lwów rusza swemu zawodnikowi na pomoc.

— To wina sędziego — wyjaśniał do mikrofonu Corey Cohen. — Powinien był zareagować wcześniej.

W końcu walka została przerwana, a obie strony ukarane. McQuaid zwłókł się powoli z lodu.

— Biedaczek — powiedziała Claire, która także obserwowała wydarzenia dziejące się na taflach.

— E tam, McQuaid to gorąca głowa — odparł wuj James. — Zasługuje, żeby czasem przyłożyć mu tym kijem.

W chwilę później mecz się zakończył. Niespodzianki nie było. Oczywiście, wygrały Lwy.

Niespodzianka była za to w jednym z dwóch listów, które Max otrzymał, gdy opuszczał kabinę sprawozdawcy. Pierwszą kopertę rozpoznał i odłożył otworzenie jej. Czytał właśnie wiadomość od Amy Jane, która zawiadamiała go, że będzie w barze swego wuja po meczu, gdy natknął się na McQuaida i Allena, zmierzających w stronę parkingu.

— Idziesz świętować zwycięstwo do baru? — krzyknął McQuaid — ale skopaliśmy Jastrzębiom tyłki, co?

— Taak — zgodził się Max z nieobecną miną. Jego myśli zaprzętała Amy Jane. Cóż za stanowcza kobieta!

— No to do zobaczenia — zawołał Allen — chyba że Kerry Ashton pierwsza cię zauważy.

— A może byście tak wreszcie dorośli — mruknął za nimi Max. Koledzy nieustannie mu dokuczali, odkąd jego była dziewczyna wylała mu przy wszystkich na głowę kubel wody z lodem.

Otworzył drugą kopertę. Najpierw szybko przebiegł oczami treść listu, po czym przystanął i ponownie uważnie go przeczytał. Być może miał to być szczęśliwy wieczór dla Amy Jane. Ale na pewno nie dla niego. Przeczytał list po raz trzeci.

Najdroższy Maxie!

Dlaczego nie przesłałeś mi jakiejś sekretnej wiadomości na antenie? Czekałam. A ja nie lubię czekać, Max. Nie zmuszaj mnie, bym czekała zbyt długo, ostrzegam cię.

Kocham Cię

— Wyglądasz, jakby Lwy przegrały, i to sromotnie — wuj James z trudem przekrzykiwał panujący w barze harmider. Podał Maxowi kufel zimnego piwa.

W tym momencie do baru wszedł Bobby McQuaid, co uwolniło Maxa od konieczności odpowiedzi.

— Hej, James, czy te dwie śliczne damy, które tu siedzą, to te bratanice, którymi się tak chwaliłeś?

Wuj James skinął głową.

— Czy mógłbyś mnie przedstawić?

— Bobby McQuaid — powiedział wuj James niechętnie, przygotowując kolejnego zamówionego drinka.

— Środkowy napastnik Lwów — dodał szybko Bobby.

— Miło mi pana poznać — odparła Claire, wyciągając rękę.

— Mów mi Bobby — powiedział, mrugając znacząco.

Amy Jane nie podała mu ręki, lecz jedynie skinęła głową, a potem skierowała całą uwagę na Maxa.

— Słyszałam, że chciałeś się ze mną zobaczyć, czy to prawda?

— Tak, chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać — powiedział, prowadząc ją w kierunku łoży, która pozostała wolna, gdyż niezbyt dobrze było z niej widać ekran. — Dostałem coś, co chciałbym ci pokazać — powiedział, gdy się ulokowali.

— To zupełnie tak samo jak ja. Ja też mam coś, co chciałabym ci pokazać.

— Co? — zapytał z błyskiem ciekawości w oczach.

— Ty pierwszy — upierała się, żując słomkę ze swojej pepsi.

Max wyciągnął kopertę z kieszeni ciemnozielonego, rozpinanego swetra z emblematem Lwów na kieszonce, w którym zwykle prowadził transmisje. Kolor swetra doskonale pasował do jego oczu.

Pociągnął łyk piwa, podczas gdy Amy Jane wyciągała list z koperty i czytała go.

Popatrzyła na niego pytająco.

— Nie rozumiem, przecież to ta kartka, którą ci posłałam...

— Oo, pomyłka. Sięgnął ponownie do kieszeni i tym razem podał jej właściwą kopertę.

Przeczytała uważnie list i spojrzała na Maxa.

— I co o tym myślisz? — spytał.

— Myślę, że jestem ci potrzebna.

— Nie sądzisz, że to nieszkodliwe?

— Nie wiem. Być może. Ale naprawdę uważam, że powinieneś to sprawdzić. Popatrz, tym razem posunęła się o krok dalej — ostrzega cię.

Max milczał.

— Może zastanowisz się nad tym, a ja pójde do toalety — zasugerowała. Miała zamiar sprawdzić przy okazji, czyją uwagę przyciągnie siedzący samotnie Max.

Zatrzymała się przy barze, by zamówić do stolika jeszcze jedno piwo i pepsi. Wuj James miał po uszy roboty z zaspokajaniem życzeń spragnionej klienteli, zaś Claire pogrążona była w rozmowie z Bobbym, skierowała się więc do toalety.

Kiedy wróciła do łóży, zastała tam Mirandę, która kasowała należność, wpatrując się przy okazji w Maxa zachwyconym wzrokiem. Czuła, że dziewczyna oczekuje czegoś więcej, niż dobrego napiwku, i że powrót Amy Jane bynajmniej jej nie uszczęśliwił.

— Proszę dać mi znać, gdyby pan jeszcze czegoś potrzebował — powiedziała odchodząc.

Cała ta wycieczka do toalety pozwoliła Amy Jane przekonać się, kto wywiercał jej spojrzeniem dziurę w karku, gdy siedziała z Maxem. Była to Kerry Ashton, siedząca w innej łóży z Ritchie Allenem, bramkarzem Lwów. Widocznie wciąż zależało jej na Maxie i była zazdrosna o każdą kobietę, z którą spędzał czas.

— A więc, co postanowiłeś? — spytała.

— Nie wiem. Jeśli cię wynajmę, a chłopaki dowiedzą się, że jakaś kobieta na mnie poluje, nie dadzą mi spokoju.

— Powiem ci, dlaczego powinieneś wynająć właśnie mnie. — Amy Jane zdecydowała się wytoczyć koronny argument. — Prześladowuje cię jakaś kobieta. A kto bardziej nadaje się do tego, by ją nakryć, niż inna kobieta? Ja wiem, jak ona rozumuje.

— No dobrze — zgodził się Max bez entuzjazmu.

— Nie będziesz żałował — zapewniła go.

— Skąd wiesz?

Jak miała na to odpowiedzieć? Sama przecież nie była tego tak do końca pewna. Lecz nagle odpowiedź sama jej się

nasunęła. Przecież Max to mężczyzna. Pochlebiaj mu, podbuduj jego ego. Uśmiechnęła się więc i powiedziała:

— Ponieważ, drogi Maxie, jestem tak samo dobra w mojej robocie, jak ty w swojej.

Nie skomentował tego. Po prostu obdarzył ją tym swoim seksownym spojrzeniem z ukosa.

— Miałaś mi coś pokazać..

— Racja. — Amy Jane pokazała mu mały złoty kolczyk w kształcie kółka. — Nie wiesz przypadkiem, czyje to?

Wziął kolczyk.

— I co? — nalegała. Gdy nadal milczał, zaczęła przedstawiać mu zasady swego zawodu. — Nie możesz niczego przede mną ukrywać, zatajać informacji. Czy to należy do kogoś, kogo znasz?

Skinał głową.

— Do jednej z twoich przyjaciółek?

— Nie mam żadnych przyjaciółek.

— Powiedziałam ci już, że jeśli chcesz, żebym dowiedziała się, kto cię prześladowuje, nie możesz mieć przede mną tajemnic. To co, chcesz się dowiedzieć, czy nie?

— Chcę — zapewnił ją. — Gdzie to znalazłaś?

— Najpierw powiedz mi, czyje to jest. Jeśli, jak twierdzisz, nie spotykasz się teraz z żadną dziewczyną, to może ten kolczyk należy do byłej przyjaciółki? Na przykład do Kerry Ashton. — Sposób, w jaki przypatrywała jej się ta kobieta, nie dawał Amy Jane spokoju.

— Nie.

— Ale powiedziałeś, że to należy do kogoś, kogo znasz.

— Należy do mnie.

— Do ciebie?

— Tak, zgubiłem go jakiś czas temu. Gdzie go znalazłaś?

— Na balkonie twojego mieszkania.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym wsunął koleczek do kieszeni.

— Nie pokazywałem ci balkonu. W jego głosie brzmiało zarówno pytanie, jak oskarżenie.

— Wiem. Sama go znalazłam. Jestem prywatnym detektywem — odnajdywanie rzeczy to część mego zawodu.

— Ale wynająłem cię dopiero teraz. Co u diabła...

— Wiedziałam, że mnie wynajmiesz.

— Potrafisz być bardzo uparta, gdy wbijesz sobie coś do głowy. Pozwól, że o coś cię zapytam: to nie ty przysyłaś mi te listy, prawda?

Amy Jane zaśmiała się.

— Zapewniam cię, że mam lepsze rzeczy do roboty niż prześladowanie cię.

— Ale czaiłaś się w pobliżu mojej sypialni...

— Pracowałam, nie czaiłam się.

— No dobrze. Zapomniałaś mi powiedzieć, ile będą mnie kosztowały twoje usługi.

— Na pewno cię na nie stać.

— Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że nie jesteś zbyt uprzejma?

— Wszyscy bez przerwy mi to mówią.

— I to ci nie przeszkadza?

— Ani trochę. Uważam, że kobiety są z reguły aż nadto uprzejme — odparła, mieszając słomką swoją pepsa.

— Masz swoje zdanie na każdy temat, prawda?

— Masz coś przeciwko temu? — podjęła wyzwanie.

— Nie. Czy chodzisz z bronią?

— Po to, żeby nakłaniać ludzi do wysłuchiwania moich opinii? W naszym stanie tylko oficerowie policji mogą nosić broń legalnie.

— A masz coś takiego?

— Pewnie. Byłam przecież oficerem policji i zachowałam broń.

— Naprawdę? A czy kiedykolwiek do kogoś strzelałaś?

— Nie. Zwykle wystarczy ją wyciągnąć. Ludzie zaczynają zwracać uwagę na to, co mówisz, gdy widzą rewolwer wycelowany w jakiś istotny szczegół swojej anatomii. Czasami przydawał się też, gdy trzeba było rozwiązać komuś język.

Max zaśmiał się.

— Przypomnij mi, żebym cię zbytnio nie denerwował. —
Lubisz jazdę na łyżwach?

— To jedyny sport, który uprawiam, odkąd uświadomiłam sobie, że nie zostanę baseballistą, gdy dorosnę.

— Czyżby ktoś ośmielił się powiedzieć ci „nie”?

— Zamknij się, Max.

*

Max dołączył ostatni list do pozostałych i zamknął szufladę. Zdziwiło go trochę, że Amy Jane nie chciała ich zatrzymać, lecz poradziła mu, by póki co po prostu trzymał je razem. Wzruszył ramionami, mając nadzieję, że dziewczyna wie, co robi. Ciągłe nie mógł uwierzyć, że jednak ją wynajął.

Idąc do łazienki zauważył, że w jednym miejscu zasłony niezbyt szczelnie przylegają do framugi. Amy Jane stała za nimi tamtego wieczoru. Ciekawe, co też mogła stamtąd zobaczyć. Wyszedł na balkon i delikatnie przymknął za sobą drzwi, nie zmieniając układu tkaniny.

Mógł teraz zajrzeć do wnętrza sypialni przez szparę w zasłonach. Gdy zorientował się, jaki fragment pomieszczenia widziała Amy, tylko pokiwał głową. Mogła na przykład zobaczyć łóżko. A także, co gorsza, drzwi łazienki, w której brał prysznic. I ona miała czelność zarzucać mu, że coś przed nią ukrywa! To,

co udało jej się zobaczyć, świadczyło chyba o czymś wręcz przeciwnym?

Pół godziny później leżał już w swoich jedwabnych spodenkach, wykąpany i wygodnie rozparty na poduszkach. W pokoju było ciemno, a on rozmyślał o Amy Jane i o tym, jak stała tam, obserwując go nagiego, gdy wyszedł z łazienki. Wstał, podkraść się do drzwi i nagłym ruchem odsunął zasłony. Nie było tam nic, tylko ciemność i odbicie jego sylwetki w szkle.

*

— No i jak poszło? — spytała Claire, gdy zajęchały przed dom dżipem Amy Jane.

— Mam sprawę — odparła Amy Jane z nutą satysfakcji w głosie.

— Chyba powinnam się cieszyć?

— A nie cieszysz się?

— Wiesz, jaki mam stosunek do tej zabawy w detektywa. Nie mogłabyś robić czegoś normalniejszego? Najpierw służba w policji, a teraz to. Co takiego jest w niebezpieczeństwie, że tak bardzo cię pociąga?

— To nie niebezpieczeństwo mnie pociąga, lecz władza. Władza, która umożliwia wprowadzanie zmian, naprawianie różnych rzeczy.

— Oczywiście ty decydujesz, co wymaga naprawienia.

— Mówisz zupełnie jak on — w głosie Amy Jane dało się wyczuć dezaprobatę.

— Myślę, że możemy podziękować za to wujowi Jamesowi. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego stale cię zachęca.

— Ponieważ prowadzi bardzo nudne życie.

Teraz Claire prychnęła z dezaprobatą, gdy Amy wprowadzała samochód na podjazd pensjonatu.

— Czy masz już jakieś plany na jutro rano? — spytała Claire, gdy tylko weszły. — Będę potrzebowała pomocy przy czyszczeniu sreber. Na weekend zapowiedziało swój przyjazd sześć dawnych współlokatek z college'u. Przyjeżdżają na rocznicę dwudziestopięciolecia ukończenia szkoły. A w przeciwieństwie do ciebie te panie z pewnością zauważą każdą matową plamkę.

— Chyba będę mogła ci pomóc — odparła Amy z pozornym brakiem entuzjazmu. — Jestem wolna aż do południa. Potem chciałabym pogadać z kilkoma hokeistami, kiedy skończą poranny trening. Czyszczenie sreber pozwoli mi spokojnie zastanowić się nad pytaniami, które powinnam im zadać.

— Na jaki temat?

— Claire, wiesz przecież...

— Tak, tak. To tajemnica. Nie wmówisz mi, że nie podobają ci się te wszystkie matactwa. Jeśli o mnie chodzi, to myślę, że to całe zamieszanie po prostu pozwala ci się bawić i w dodatku nazywać to pracą.

— Przecież powiedziałam, że pomogę ci przy tych srebrach. A tak przy okazji, czy mi się zdawało, czy też naprawdę widziałam, jak gawędziłaś sobie miło z hokeistą w barze?

— Masz na myśli Bobby'ego McQuaida? — spytała Claire niewinnie.

— Tak, mam na myśli Bobby'ego McQuaida — ton Amy Jane jasno wskazywał, iż nie dała się nabrać. — I o czym to tak gawędziliście?

— Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, poprosił mnie, żebym z nim wyszła w sobotę wieczór.

— A ty mu powiedziałaś, żeby się wypchał, oczywiście w bardziej uprzejmy sposób. Amy dorwała się do lodówki, gdy tylko weszły do mieszkania i teraz przeszukiwała jej zawartość.

— Niezupełnie. Prawdę mówiąc... prawdę mówiąc, zgodziłam się.

— Żartujesz — Amy ominęła nektar i całą resztę przygotowanego dla gości jedzenia i zrobiła sobie kanapkę składającą się wyłącznie z szynki i sera. Zamknęła lodówkę i obejrzała się na Claire, oczekując, że siostra uśmiechnie się i przyzna do podstępu. Lecz Claire wcale się nie uśmiechała.

— A więc nie żartowałaś.

Claire założyła za ucho pasmo swych długich, jasnych włosów.

— No cóż, to przecież ty zawsze namawiałaś mnie, żebym umówiła się z kimś spoza mojego... mojego...

— Gatunku?

— Amy Jane!

— Musisz przyznać, że hokeista to rzeczywiście ktoś tak różny od tych chłopców z Ivy League, z którymi się zwykle umawiasz, jak to tylko możliwe. Więc dokąd udajecie się na tę randkę — a może lepiej nie pytać?

— Idziemy zobaczyć balet. Amy Jane jęknęła.

— Założę się, że wiem, czyj to był pomysł.

— Powiedział, że nigdy nie widział takiego przedstawienia, więc pomyślałam...

— Nie, nie. Balet jest w porządku. Przynajmniej nie będę musiała się martwić o moją małą siostrzyczkę, która umawia się z hokeistą. Założę się o tydzień ścierania kurzu, że balet załatwi Bobby'ego McQuaida na amen.

— Stoi — prychnęła Claire.

*

Na lodowisku zapanowała nagła cisza. Ostrza łyżew przestały zgrzytać o lód, gdy hokeiści gromadnie opuścili taflę. Amy Jane stała przy bandzie, obserwując zawodników

podążających w kierunku szatni. Zadrżała. Choć było jej zimno, czuła się szczęśliwsza marznąc tutaj, niż polerując srebra w ciepłym mieszkaniu. McQuaid pierwszy się do niej odezwał.

— Ja tego nie zrobiłem — powiedział.

— Czego?

— W ogóle niczego. Siostra powiedziała mi, że jesteś prywatnym detektywem, więc domyśliłem się, że któryś z Jastrzębi musiał zostać... hm... uszkodzony.

— Bardziej prawdopodobne, że przyszła tu, bo umówiłeś się z jej siostrą — zaśmiał się hałaśliwie bramkarz.

Amy Jane postanowiła poprosić Claire, by nie mówiła nikomu, że pracuje dla Maxa Armstronga. Gorączkowo szukała pretekstu, który pozwoliłby jej wypytać zawodników, nie zdradzając się jednocześnie ze swoim zainteresowaniem.

— Nie przyszedł tu służbowo — skłamała. Podszedł do nich Lance Thomure, olbrzymi obrońca Lwów.

— A cóż my tu mamy? Łowczynię autografów?

— Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że będziecie mogli udzielić mi pewnej informacji.

— Jakiej informacji. — Lance pociągnął za koniec swego wąsa. Zespół przyglądał się jej podejrzliwie. Była kimś obcym, kto zadawał pytania.

— Interesuje mnie sprawozdawca Lwów.

— Który?

— Max Armstrong. Chciałabym wiedzieć, czy kogoś ma.

— Masz na myśli dziewczynę?

— No., tak... kobietę.

Trzej hokeiści popatrzyli na siebie, wahając się przed udzieleniem odpowiedzi. Wreszcie odezwał się McQuaid.

— Nie wydaje mi się.

— To dziwne, jest przecież znany, podobnie, jak wy, chłopcy. Dziewczyny pewnie uganiają się za nim stadami.

— Kerry Ashton nie pozwoliłaby na to — włączył się Lance.

Amy Jane dalej udawała, że o niczym nie wie.

— Kerry Ashton

— Umawiał się z nią przez jakiś czas — wyjaśnił Lance. — To było zanim...

— Ona teraz chodzi ze mną — oznajmił Ritchie, nie pozwalając Lance'owi dokończyć.

Bobby pokręcił głową.

— A od kiedyż to?

Ritchie uśmiechnął się.

— Od tej soboty. Umówiłem się z nią.

— I co, zgodziła się? — spytali jednocześnie Lance i Bobby.

— Owszem. I nie chcę słyszeć już nic więcej na ten temat. A poza tym Armstrong pewnie odczepi się teraz od ciebie, Bobby, i zajmie się mną.

— Akurat. Max Armstrong nigdy ze mnie nie zejdzie.

— A właściwie po co ci te informacje? — spytał Ritchie, odwracając się w stronę Amy Jane.

Uraczyła go pierwszym w miarę wiarygodnym kłamstwem, które przyszło jej do głowy.

— Organizujemy dla niego urodzinowe przyjęcie — niespodziankę i ja mam sporządzić listę gości.

— Domyślałam się, że my wszyscy zostaniemy chyba zaproszeni, co?

— No cóż, oczywiście, jeśli będziecie chcieli przyjść... A co z fanami? Czy Max ma jakiegoś szczególnego fana, którego powinniśmy zaprosić? Kogoś, kto naprawdę...

— Fana... wiesz, on już nie gra w hokeja. — Bobby powiedział to z wręcz obraźliwą intonacją w głosie.

— Wiem. Ale jako wasz sprawozdawca jest postacią ogólnie znaną. Nie widzieliście nikogo, kto by się tu kręcił i wpatrywał w niego z ciętym uwielbieniem?

— W kogo się wpatrywał? — spytała Chantal Perry, która właśnie nadeszła, holując za sobą kamerzystę. Zamierzała nagrać na gorąco kilka opinii członków drużyny na temat ich wyprawy do Minnesoty, gdzie mieli rozegrać kilka meczy z zespołem Gwiazd Północy.

— Mówiliśmy właśnie o tym, jak Corey Cohen patrzy na ciebie z uwielbieniem i czci ziemię, po której stąpasz. Najchętniej by cię na nią rzucił... to znaczy, jeszcze raz — powiedział Bobby, nawiązując do kolizji, której był świadkiem.

— Zejdźcie ze mnie, chłopcy. — Chantal stawiała im czoło i wróciła do swoich obowiązków.

— Jak oceniacie szanse Lwów w nadchodzących meczach wyjazdowych? — spytała, podsuwając Ritchiemu mikrofon. — Gwiazdy Północy mają teraz dobrą passę.

— Miały dobrą passę — odparł Bobby pewnym siebie głosem.

Amy Jane wykorzystała okazję, by dyskretnie się ulotnić. Zauważyła, że zawodnicy szanują Chantal na tyle, by z niej żartować, a to znaczyło, iż musi być dobra w tym, co robi. Nawet jeśli została odsunięta od najbardziej prestiżowych zadań. Świat należał do mężczyzn, a już na pewno świat sportu. A jednak Chantal wydała jej się bardzo stanowczą kobietą, kimś, kto nie ustanie w działaniach, dopóki nie dostanie tego, na czym mu zależy. Cecha, która doskonale sprawdza się u obu płci. I którą ona powinna co prędzej sobie przyswoić, jeśli chce dokąś się ze swoim śledztwem.

Rozmowa z zawodnikami nie dostarczyła żadnych nowych informacji. Nie wyglądało na to, by w pobliżu kręcił się jakiś rozjuszony wielbiciel. A ta historia z Kerry Ashton to żadna nowina.

Sobotnie popołudnie zastało Amy Jane wygodnie ulokowaną na białym drewnianym bujaku, z nogami opartymi wysoko o brązową balustradę przestronnej werandy pensjonatu. Wpatrywała się podejrzliwie w fioletowe bratki wystające z lodowych kostek, ochładzających lemoniadę, którą właśnie leniwie sączyła, czytając swój horoskop w gazecie. Wypiła już swoje zapasy pepsi, a Claire wyszła do miasta w sprawach związanych ze zjazdem absolwentek college'u.

Nadmierne przejmowanie się Claire gośćmi i jej baletowa randka z Bobbym McQuaidem omal nie doprowadziły Amy Jane do szału. Horoskop miał ją pocieszyć.

I rzeczywiście, nie zawiodła się. Przeczytała bowiem:

Pracujesz bardzo ciężko, więc zapewnij sobie solidny wypoczynek.

Uśmiechając się do siebie zamknęła oczy, by się zdrzemnąć. W końcu znalazła w horoskopie coś, co z pewnością można by uznać za odpowiednik lekarskiego zalecenia. Właśnie odpływała w niebyt, gdy usłyszała, że drogą nadjeżdża jakiś samochód i zatrzymuje się gwałtownie. Potem nastąpiło głośnie trzaśnięcie drzwiczek, słowem — cały repertuar młodzieżowego kierowcy. Pewnie Bobby przysłał Claire kwiaty lub chłopak rozwożący pizzę znowu się pomylił. Amy Jane otworzyła niechętnie oczy, by stawić czoło... temu czemuś, czymkolwiek by było.

Tym razem nie chodziło jednak o pizzę ani o kwiaty. Przed nią stał Max Armstrong. Nie miał ze sobą kwiatów ani pizzy, lecz jedynie bardzo wściekłą minę, o czym świadczyły ściągnięte w grymasie ciemne brwi. Wpadł na werandę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zamknęła oczy, łudząc się, że tym razem to Claire coś nabroiła. Ale nie, to byłoby zbyt piękne.

— Co ty sobie do cholery wyobrażasz? — wykrzyknął, wpatrując się w nią groźnym spojrzeniem.

— Próbowałam właśnie się zdrzemnąć, zanim, mi po chamsku nie przeszkodziłeś, wpadając tu niczym łos w porze zrzucania rogów.

Max zrzucił jej nogi na ziemię, najwidoczniej dodatkowo zdenerwowany widocznym brakiem respektu wobec męskiego gniewu.

— Mówię o przepytywaniu zawodników — wyjaśnił

— Chantal wspomniała, że widziała cię przy bandzie.

— Naprawdę? Powiedziała ci? I co jeszcze ci po wiedziała?

— Nic. McQuaid zapytał, czy pójdziemy z nimi na balet, skoro jesteś moją nową dziewczyną.

— Czym jestem? — spytała, gwałtownie prostując się w fotelu.

Max odwinął plasterek gumy do żucia i włożył go sobie do ust. Przez chwilę żuł, pozwalając jej czekać. W końcu wyjaśnił:

— Wygląda na to, że chłopaki sądzą, iż mam nową dziewczynę, bardzo zazdrosna, która przychodzi na lodowisko i wypytuje o mnie.

Amy Jane przytupnęła parę razy stopą i zaczęła nerwowo huścić się w fotelu.

— Nie martw się, jakoś to wyprostuje.

— Nie rób tego. — Max przytrzymał fotel ręką.

— Będę się huściła, kiedy będę miała na to ochotę — poinformowała go, odsuwając jego dłoń w akcie przekory.

— Miałem na myśli, żebyś nie mówiła, że nie jesteś moją dziewczyną.

— Co?

— Powiedziałem zawodnikom, że jesteś moją dziewczyną.

— Co zrobiłeś?

Max wzruszył ramionami i oparł się biodrem o balustradę.

— To był jedyny powód, jakim mogłem usprawiedliwić całe to wypytywanie. Woleę, żeby myśleli, że jesteś moją dziewczyną, niż że cię wynająłem, żebyś mnie broniła... i to przed kobietą! Przepadło, nigdy tego nie odwołam.

Amy Jane zastanawiała się przez chwilę.

— Wiesz, to może być całkiem niezła przykrywka, dopóki nie wyśledzę, kto tak się na ciebie napalił.

— Czego dowiedziałaś się do tej pory?

— Niczego.

— To pocieszające.

— Te rzeczy wymagają czasu.

— Ile czasu?

— Nie martw się, nie czekają cię długie zaloty.

— Jeśli już o tym mówimy, przyjadę po ciebie około wpół do ósmej.

— Po co?

— Idziemy na balet.

— Ale ja nie chcę iść na balet. Nienawidzę baletu.

— Ja też.

— Ciebie to bawi, prawda?

— Niezupełnie.

— Akurat.

— A więc do zobaczenia o wpół do ósmej — przypomniał, opuszczając werandę.

Amy Jane wykrzywiła się do jego pleców. To by było na tyle, jeśli chodzi o drzemkę.

Nadeszła Claire, by poprosić ją o poradę. Nie wiedziała, którą sukienkę włożyć.

— Nie miałabyś przypadkiem jeszcze jednej takiej, żeby mi pożyczyć? — spytała Amy Jane. Wiedziała aż za dobrze, że w jej szafie z pewnością nie znajdzie się nic odpowiedniego na taką okazję.

— Chcesz pożyczyć ode mnie sukienkę? Dlaczego?

— Max właśnie poprosił mnie, bym poszła z nim i z wami na balet.

— Och, świetnie, podwójna randka!

— Tak, słoneczko, po prostu wspaniale.

8

— No, dalej, obudź się, śpiochu!

Amy Jane wtuliła głowę w poduszkę, usiłując uciec przed radosnym nawoływaniem siostry.

— Zejdz na dół i zjedz ze mną śniadanie. Wszyscy goście już poszli, zostałyśmy same. Możemy pogadać o naszych wczorajszych randkach.

Amy Jane jęknęła, słysząc że Claire schodzi do kuchni. Nie ma wyjścia, trzeba wstawać. Jeśli nie zejdzie na dół, Claire wkrótce wróci, nadal denerwująco radosna i zdecydowana wyciągnąć ją z łóżka.

Otworzyła jedno oko. Wzrok jej padł na przewieszoną przez poręcz drewnianego krzesła sukienkę, którą miała na sobie wczoraj wieczorem. Jak dobrze, że dziś nie musi jej wkładać! Była zdecydowanie zbyt czarująca. Podobnie jak Max Armstrong. Spokojnie mógłby przymocować sobie do samochodu specjalną tablicę rejestracyjną Kerry Ashton.

Ponieważ wiedziała, że goście opuścili już pensjonat, nie zawracała sobie głowy ubieraniem się, włożyła tylko swój biały aksamitny szlafrok i przeciągnęła palcami po włosach, co miało zastąpić czesanie, lecz nie do końca się powiodło. Specjalnie nie popatrzyła w lustro, zanim nie zeszła na dół. Nie chciała ryzykować siedmiu lat pecha.

W kuchni kompletnie ubrana Claire wyjadała owocową sałatkę z ładnej szklanej miseczki. Obok naczynia leżał

zielonożółty program obchodów rocznicy ukończenia college'u, najwidoczniej zapomniany przez któregoś z gości.

Amy Jane chwyciła obwarzanek, sięgnęła do lodówki po pepsi i kremowy serek, po czym ulokowała się ze swoją zdobyczą obok Claire. Stukając palcem w etykietę pepsi, oparła bosą stopę na najbliższym krześle.

— No dobrze, bierzmy się zatem do tego *post mortem* — powiedziała odważnie, poddając się nieuniknionemu. Posmarowała obwarzanek grubiej serem.

— Amy! Przykro mi, że nie potrafisz się powstrzymać od używania tych okropnych policyjnych określeń przy stole!

— Taak, a mnie jest przykro z powodu tego, co musiałam znieść wczorajszego wieczoru — i co z tego?

Claire przesuwiała widelcem plasterek banana, pływający w owocowym soku.

— Naprawdę? A wydawało mi się, że widziałam, jak Max całował cię wczoraj na dobranoc...

Jeszcze jedna rzecz, która lepiej, żeby się nie wydarzyła. Max pocałował ją ze względu na Bobby'ego, by utwierdzić go w przekonaniu, że z nią chodzi. I lepiej, żeby o tym pamiętała, gdyż inaczej jakże łatwo mogłaby zatracić się w tym pocałunku!

— A jak tobie poszło z Bobbym? — Amy Jane z trudem wróciła do rzeczywistości.

— W porządku. Poszło naprawdę dobrze.

— Ale on usnął w trakcie przedstawienia.

— Ty też.

— Ale ja przynajmniej nie chrapałam — odparowała Amy z zadowoleniem

— A właśnie, że tak.

Amy Jane przełknęła kęs obwarzanka i popiła go pepsi, gotowa do obrony.

— Ja nie chrapię.

—Chcesz się założyć?

— Tak.

— Na twoim miejscu tak szybko bym się nie zakładała — poradziła jej Claire.

— A to dlaczego?

Claire wręczyła jej ściereczkę do kurzu.

— Bobby znowu się ze mną umówił. To będzie cię kosztowało tydzień ścierania kurzy. Przegrałaś, siostrzyczko!

Amy Jane wzięła ścierkę i zagapiła się na nią ponuro. Wyglądało na to, że nie zanosí się na przyjemny tydzień. Dobrze, że choć Max wyjeżdża na kilka dni z drużyną, pomyślała z zadowoleniem. To da jej czas na zajęcie się sprawą tak, jak uważa za stosowne, i nikt nie będzie jej przeszkadzał. Im szybciej upora się ze swoim zadaniem i przestanie udawać jego dziewczynę, tym lepiej dla niej.

*

Max Armstrong siedział w pokoju hotelowym w Minnesocie, przerzucając magazyn hokejowy. Ciągłe był pod wrażeniem wspaniałego meczu, wygranego przez Lwy 4:3. To był mecz co się zowie! W takie wieczory jak ten zdarzało mu się odczuwać wręcz fizyczną potrzebę uczestnictwa w grze. Tęsknił wtedy do czasów, gdy rzeczywiście grał w hokeja. Nie czuł takiego niepokoju, odkąd... no cóż, odkąd pocałował Amy Jane Chadwick i samotnie wrócił do domu.

Uśmiechnął się na myśl o tym. Kto by pomyślał? Wyprostował krzywo wiszący obraz. Początkowo miał zamiar do niej zadzwonić, lecz zrezygnował z tego pomysłu. I cóż by jej powiedział? I tak czuł się już dostatecznie głupio. Zwykle nie był taki niezdecydowany, lecz ta sprawa jakoś wytrąciła go z równowagi. Przez chwilę przerzucał kanały telewizora, szukając czegoś, co pomogłoby mu zasnąć. Bezsensowność o trzeciej nad

ranem była już dostatecznie przykra we własnym domu, a co dopiero w obcym mieście.

*

Po przejechaniu zaledwie mili od rozgłośni radiowej, gdzie nadawała swoje wiadomości sportowe, Chantal usłyszała podejrzaną puknięcie i w chwilę później zorientowała się, że przedziurawiła oponę. Gdy stała obok samochodu, z najwyższym trudem powstrzymując się, by go nie kopnąć, przejeżdżający obok kierowca zwolnił i zaoferował jej swoją pomoc. Kierowcą był Corey Cohen, niestety. O, Boże, nie ma mowy, żeby umiał zmienić oponę!

— Wygląda na to, że masz kłopoty — powiedział, stając obok niej i gapiąc się na sflaczałe koło.

— Rzeczywiście, na to wygląda...

— Dzwoniłaś już po kogoś?

Potrząsnęła głową.

— Nie, to się stało w tej chwili.

— Daj mi kluczyki, otworzę bagażnik, wezmę koło zapasowe i zmienię ci je.

— Nie, nie trzeba. Pobrudzisz sobie garnitur.

— Po prostu daj mi te kluczyki.

Zdecydowała, że pozwoli mu zmienić koło. Nie dlatego, żeby sama nie potrafiła tego zrobić, lecz miała na sobie kostium z krótką spódniczką. A poza tym i tak nie wierzyła, że Corey poradzi sobie z tym zadaniem. Jego uprzywilejowane wychowanie zapewne nie przygotowało go na podobną ewentualność.

Myliła się. Nie miał najmniejszych kłopotów z odkręceniem długich śrub, wykazując zadziwiającą siłę, jak na mężczyznę o tak delikatnej budowie. Widać, że pilnie uczył się do swojej

niewątpliwie ekskluzywnej siłowni, myślała Chantal, obserwując śmigające drogą samochody.

— Jedziesz do rozgłośni, czy wracasz? — spytał, wymieniając dziurawą oponę na zapasową.

— Wracam, już skończyłam na dziś.

— To radziłbym ci zatrzymać się przy sklepie z oponami i kupić następną zapasową. Ta, którą założyłem, nie jest w najlepszym stanie, choć na jakiś czas powinna wystarczyć.

Przyglądając się, jak dokręca śruby, zastanawiała się, czy stan jej konta pozwoli na zakup nowej opony. A także nad tym, jak to jest być takim Coreyem, dla którego nie planowany wydatek stu dolarów nie stanowi problemu.

— Oglądałaś wczorajszy mecz? — spytał, wycierając ręce śnieżnobiałą chusteczką.

— Tak. Wspaniałe widowisko! Słuchaj, głupio mi, że cię przetrzymałam i w ogóle... pozwól, że odkupię ci chustkę. Zniszczyłeś ją przeze mnie.

Corey tylko się uśmiechnął.

— Byłaś kiedyś na barmicwie?

*

Amy Jane spędziła prawie cały wtorek przy komputerze w swoim pokoju, przygotowując ogłoszenie do książki telefonicznej, przerabiając górę papierów, która zgromadziła się jej na biurku i opracowując ugode dla swojej przyjaciółki, której mąż zalegał z alimentami. Przeglądając na monitorze stan jego konta, zauważyła, iż musiał otrzymać ostatnio dużą premię lub może poszczęściło mu się na wyścigach. Kilka dalszych uderzeń w klawiaturę ujawniło, że mieszkał z jakąś kobietą, a także pozwoliło zapoznać się ze stanem konta faceta. Zestaw danych, jakie na jego temat przygotowała, pozwoli przyjaciółce wycisnąć

pieniądze z tego lenia. Gdy już kończyła to niezbyt legalne buszowanie po łączach, rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — zawołała, wyłączając komputer i poruszając szyją w prawo i w lewo, by złagodzić ból karku.

— Domyśliłam się, że będziesz głodna, więc przyniosłam ci coś według nowego przepisu — powiedziała Claire.

— Hmm... pachnie cudownie. Co to takiego?

— To przepis, który wycięłam z gazety. Potrawa nazywa się Zwariowane Chili Sama Higginsa. Jest dość ostra, więc pomyślałam, że wypróbuję ją najpierw na tobie, zanim podam gościom.

Amy Jane zanurzyła łyżkę w naczyniu z parującym chili.

— To jest znakomite! Ma taki prawdziwie — zastanowiła się przez chwilę — pikantny, południowo-zachodni smak. A od kiedy to serwujesz gościom chili na śniadanie?

Claire wzruszyła ramionami.

— Goście zapowiedziani na przyjęcie to Teksańczycy. A przy okazji, jak ci idzie odkurzanie? Zauważyłam, że biblioteka nie była ruszana, od kiedy zaniósłam tam poranne gazety.

— Zabiorę się do tego. Posprzątałam cały parter, z wyjątkiem biblioteki. Biblioteki mają prawo być zakurzone. To stwarza poczucie ciągłości. A poza tym, kiedy skończę odkurzanie, na pewno znajdziesz mi coś innego do roboty.

— Z pewnością coś by się znalazło...

— Nic z tego. Pracuję nad dużą sprawą, zapomniałaś? — Amy Jane oblizała łyżkę. — Nie mamy przypadkiem tych małych, okrągłych, kruchych krakersów? Pasowałyby do tego.

— Doprawdy, Amy, jesteś taka dziecinna! Nie, nie mamy małych, okrągłych, kruchych krakersów.

Amy Jane nachmurzyła się. Połowę przyjemności jedzenia chili stanowiły właśnie te krakersy.

— No więc, jak to jest pomiędzy tobą a Maxem? — spytała Claire. — Sadziłam, że nie umawiasz się z klientami.

— Nie umówiłam się z klientem.

— Ależ...

— Max jest klientem, to prawda. Ale my nie umówiliśmy się na randkę.

Claire obserwowała, jak Amy Jane wyjada resztę chili z talerza. Kiedy skończyła, zaczęła indagować ją dalej.

— Max zabrał cię na balet, prawda? Poszliście ze mną i z Bobbym. Czy chcesz mi wmówić, że to nie była podwójna randka?

— To tylko tak wyglądało. Max chciał, żeby Bobby tak właśnie pomyślał.

— Nie rozumiem.

— On nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, że mnie wynajął, a już na pewno nikt z drużyny.

— Dlaczego?

— Bo sprawa jest raczej delikatnej natury. Więc postanowiliśmy udawać, że jesteśmy parą.

— Delikatnej natury...?

— Nawet nie pytaj. — Amy Jane z głośnym stuknięciem wrzuciła łyżkę do talerza. — Porozmawiajmy lepiej o tobie i Bobbym McQuaidzie. Nie mogę uwierzyć, że umówiłaś się z nim ponownie po tym, jak zasnął na przedstawieniu.

— Powiedział mi, że był zmęczony, ponieważ dużo ostatnio pracował dla drużyny.

— Nie powiesz mi, że on ci się podoba...?

— No cóż, jest duży i silny...

— I porywczy.

— Wydaje mi się, że to ty namawiałaś mnie, żebym umawiała się z takimi mężczyznami, a może nie?

— Ale...

— Możesz sobie udawać przed kimś innym, ale ja tego nie kupuję. Jestem twoją siostrą i znam cię. On ci się podoba.

— No dobrze, więc Max Armstrong jest przystojny jak diabli i być może podoba mi się. Jesteś usatysfakcjonowana? Ale to oznacza, że coś musi być z nim nie tak.

— Co na przykład? — Claire odstawiła pustą miseczkę.

— Może ma gdzieś żonę. Lub jest hazardzistą. Albo przebiera się w kobiecą bieliznę. Nie wiem, co to takiego, lecz skoro on mi się podoba, można z góry założyć, że coś takiego na pewno istnieje.

— Szukasz dziury w całym. Max Armstrong jest człowiekiem znanym. Gdyby coś z nim było nie tak, prasa dawno już by to wywęszyła i wykorzystała. Pomyśl, co by to były dla nich za żniwa!

— Może tak, może nie. Tak czy inaczej, dla niego to tylko interes. Przynajmniej dopóki nie dowiem się... mniejsza z tym. Po prostu interes i nic więcej.

— Akurat...

Ton, jakim to powiedziała, jasno świadczył, że Amy Jane nie udało się przekonać siostry.

— Wierz mi, niczego więcej w tym nie ma — upierała się Amy Jane. — A teraz idź i pozwól mi popracować, dobrze?

Claire posłusznie skierowała się ku drzwiom.

— Aha, Claire...

— Tak?

Amy Jane pokazała jej dłoń z uniesionym do góry kciukiem. — To chili jest zabójcze. Claire uśmiechnęła się.

*

Wczesnym rankiem Claire obudziło głośne dobijanie się do drzwi pensjonatu. Niechętnie otworzyła oczy, gdyż poprzedniego wieczora późno położyła się spać z powodu gości z Teksasu, którzy mieli pozostać aż do czwartku. Wstała i włożyła szlafrok, wiedząc, że Amy Jane z pewnością nie słyszy pukania, choćby

nie wiem jak było głośne. Gdyby tornado porwało dom, Amy Jane i tak nie obudziłaby się przed dziesiątą, by sprawdzić, co się dzieje.

— Już idę! — krzyknęła w odpowiedzi na natarczywe pukanie. Zatrzymała się jeszcze na chwilę, by podciągnąć skarpetki. Sypiała w nich, gdyż zwykle marzły jej stopy. W drodze do drzwi zerknęła jeszcze w lustro wiszące w hallu i rozpuściła włosy, pozwalając im opaść luźno wokół twarzy.

— Dobrze już, dobrze... — przerwała niemal w pół słowa, widząc, kto stoi za drzwiami.

Max Armstrong popatrzył na nią groźnie.

— Gdzie ona jest?

— Słucham?

— Gdzie twoja siostra?

— Jeszcze śpi.

Max wyminął Claire i pomaszerował do schodów. Wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie, najwyraźniej wściekły i zdecydowanie sfrustrowany.

— Nie możesz przecież — próbowała zaprotestować, lecz Max już zniknął. — Uważaj, idzie... — krzyknęła, by ostrzec Amy Jane. Lecz czuła, że jest już za późno.

— Wstawaj — krzyczał Max, stojąc przed zamkniętymi drzwiami sypialni. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaczął głośno się do nich dobijać.

Po chwili dobiegło go stłumione:

— Odejdź!

Amy Jane najwidoczniej przykryła głowę poduszką, łudząc się, że to odstraszy natręta. Ale hałas nie ustawał.

— Nie ma mowy. Zaraz tam wchodzę, więc lepiej coś włóż, i to szybko. — Odczekał mniej więcej trzydzieści sekund, po czym bez wahania otworzył drzwi. Przywitał go szybujący w jego stronę pantofel Amy Jane, przed którym co prawda w ostatniej

chwili udało mu się uchylić, lecz powitanie trudno było uznać za gorące.

— O rany — krzyknął, osłaniając się przed następnymi fruwającymi niespodziankami. — Dlaczego to zrobiłaś?

— Bo nie mogłam dosięgnąć strzelby — mruknęła Amy Jane, siadając na łóżku i szczelniej owijając prześcieradłem najwidoczniej nagie ciało.

— Co za szczęście dla mnie — odparł, zastanawiając się, gdzie też może być broń i postanawiając jak najdłużej zatrzymać tę niebezpieczną kobietę w łóżku — bezbronną.

— Powiedz mi, czy wpadanie nie będąc zaproszonym do damskich sypialni to twój stały obyczaj, czy też uległeś nagłej pokusie?

— Czy to twój stały sposób rozmowy z klientem? Nic dziwnego, że to nie ty prowadzisz pensjonat. Ten niewyparzony język też nie przysparza ci chyba zbyt wielu klientów, prawda? — Zorientował się, że zбочzył z tematu, oparł dłonie na biodrach i co prędzej powrócił do powodów swojej obecności w tej sypialni tak wcześnie rano. — Szpiegujesz mnie. Chyba powiedziałem ci, że śledztwo ma być przeprowadzone dyskretnie. A ty co robisz?

Amy Jane wzruszyła ramionami. Prześcieradło zsunęło się prowokująco.

— Zadałam po prostu parę pytań, i to wszystko.

— To wszystko!

— Właśnie.

— Czy nie przeszło ci przez myśl, że chłopcy z drużyny mogą zacząć coś podejrzewać, gdy jakiś detektyw w spódnicy zacznie zadawać im pytania na temat mojego życia erotycznego?

— Nie pytałam ich o twoje życie erotyczne.

— Naprawdę? — Podniósł leżący na biurku stos ubrań. Przez chwilę rozglądał się, gdzie mógłby go położyć — wreszcie, zrezygnowany, upuścił je po prostu na podłogę. — Powiedziano

mi, że pytałaś o moje byłe dziewczyny — dodał, sadowiąc się na uzyskanym w ten sposób kawałku biurka.

— Przecież wyjaśniłam im, że przygotowuję dla ciebie urodzinowe przyjęcie-niespodziankę.

— A więc przypomnij mi za dziesięć miesięcy, bym poczuł się zaskoczony. Bo wtedy mam urodziny.

Fakt, że Amy Jane nie wyglądała na tak skruszoną, jak oczekiwał, bynajmniej nie poprawił mu nastroju. Będzie musiała dopiero nauczyć się, jak radzić sobie z męskim gniewem, jak ułagodzić mężczyznę. Ale jakoś nie sądził, by uczenie się takich rzeczy należało do ulubionych czynności Amy Jane. To przypuszczenie jeszcze podsyciło jego gniew.

— Strasznie jesteś wkurzony, prawda? — Amy Jane potwierdziła oczywisty fakt.

— Jestem wkurzony, ponieważ mnie wykorzystałaś.

— O czym ty mówisz?

— Rozmawiałaś z zawodnikami, choć prosiłem cię, żebyś tego nie robiła. A teraz dowiaduję się, że zadawałaś bardzo osobiste pytania. Sądzę, że zrobiłaś to, żeby zareklamować swoją agencję. Radzę ci, przestań. W końcu to ty przekonałaś mnie, że w ogóle jest jakiś problem. Udowodnij mi to, tylko spokojnie.

— A jednak chyba coś udało mi się osiągnąć — odparowała. — Nie dostałaś ostatnio listu od swojej cichej wielbicielki, prawda?

— Nie, nie dostałem — przyznał.

— Więc może ją odstraszyłam.

— Jak mogłaś ją odstraszyć, przecież nie zrobiłaś nic, poza ciągłym wprawianiem mnie w zakłopotanie.

— Zastanów się — odgarnęła długie, spadające na twarz włosy. — Chyba dopiero co powiedziałeś mi, że działałam zbyt otwarcie — do tego żerując na twojej sławie.

— Po prostu rób swoje i przestań się wygłupiać.

— Nie mów mi, jak mam wykonywać mój zawód.

— Ktoś chyba powinien, skoro wylegujesz się co dzień do południa.

— Potrafię wstać bardzo wcześnie, kiedy zachodzi taka potrzeba.

— Jakkolwiek by było, trzymaj się z dala od zawodników — ostrzegł ją, wstając.

— Coś jeszcze?

— Tak. Włóż coś na siebie — powiedział wychodząc równie nagle, jak wszedł.

Amy Jane dała mu kilka minut, po czym wstała i podeszła do okna w łazience, z którego widać było podjazd. Nonszalancko ulokowała się za szybą, naga, jak ją pan Bóg stworzył — lecz Max nie odwrócił się, by spojrzeć na dom. Odjeżdżając, dzwonił już z telefonu komórkowego, w który wyposażony był jego luksusowy samochód.

Amy Jane uśmiechała się patrząc, jak odjeżdża. Max wyglądał diabelnie seksownie, gdy się złościł. Będzie musiała sprawdzić, czy utrzymywanie go w takim stanie da się jakoś wykorzystać. A tymczasem weźmie prysznic i ubierze się. I sprawdzi swój horoskop.

Piętnaście minut później była już w kuchni. Podkrađła miseczkę przygotowanego dla gości chili i wstawiła ją do kuchenki mikrofalowej. Właśnie podnosiła do ust pierwszą łyżkę, gdy kątem oka dostrzegła przyglądającą jej się młodszą siostrę.

— Czy ja przypadkiem nie czuję...? — Claire oparła rękę na biodrach. — Amy Jane, wiesz, że to jedzenie dla gości.

— Ale kiedy to takie dobre — przyłapaną na gorącym uczynku Amy Jane spróbowała pochlebstwem ułagodzić siostrę.

— Znasz zasady — oświadczyła niewzruszenie Claire.

— No, już dobrze. Chcesz, żebym wlała to z powrotem do garnka.

— Nie!

— Wspaniale. — Amy Jane usiadła i zabrała się z powrotem do jedzenia.

Widząc to Claire pokiwała głową, unosząc ręce w geście rezygnacji.

— Amy, jesteś beznadziejna. I jak ty masz zamiar wychować swoje dzieci?

— Jeśli przypadkiem jeszcze tego nie zauważyłaś, to zwracam ci uwagę, że nie mam żadnych dzieci, więc póki co nie masz się o co martwić.

— Kiedyś jednak będziesz je miała.

— Nie mam takiego zamiaru — powiedziała Amy Jane, przełykając kolejny kęs chili. Drażnienie siostry po tym, jak potraktował ją Max, sprawiało jej przyjemność.

— Oczywiście, że będziesz miała. Dlaczego miałabyś nie mieć...?

— Ponieważ nie mam zamiaru godzić się na... — Amy Jane znacząco wypchnęła językiem policzek.

Claire przyglądała jej się przez chwilę zaintrygowana, a gdy wreszcie dotarło do niej, co kryło się za słowami Amy Jane, nagły rumieniec zalał jej policzki.

— Amy Jane!

— Tak czy inaczej, to postanowione.

— Czego chciał Max? — spytała Claire. Bezpieczniej było zmienić temat. — Najwyraźniej nie był w najlepszym humorze. Co mu się stało?

— Niedojrzałość emocjonalna.

— A cóż to takiego?

— Niemożność dorosnięcia. Zachowuje się jak chłopiec.

— I kto to mówi? Ciebie z pewnością trudno uznać za wzór osoby dojrzałej...

— Wuj James twierdzi...

— A właśnie. Przypomniało mi się, że wuj prosił, byś do niego zajrzała, gdy będziesz miała chwilę czasu.

— Wpadnę do baru po południu, jak tylko skończę odkurzać bibliotekę.

— Nie nabierzesz mnie. Znam twoje zamiłowanie do prac domowych. Wybierasz się do biblioteki, żeby przeczytać swój horoskop w dzisiejszej gazecie — powiedziała Claire, zabierając talerz i pustą puszkę po pepsi.

— Pościeram te kurze, obiecuję.

— Akurat.

— Zrobię to, przekonasz się.

— Doprawdy, Amy Jane, nie rozumiem, jak ktoś tak inteligentny jak ty może wierzyć w te bzdury.

— Właściwie tak do końca w nie nie wierzę, lecz lubię wiedzieć wcześniej, gdy zanosí się na coś nieprzyjemnego.

— A zatem wierzysz w to, co tam pisał.

Amy Jane wiedziała, że dalsza kłótnia nie ma sensu, zaprzestała więc sporu i udała się do biblioteki, żeby pościerać kurze i poszukać swego horoskopu w porannej gazecie. Gdy tylko znalazła odpowiednią stronę, natychmiast pożałowała, że w ogóle jej szukała. Przeczytała uważnie jeszcze raz:

Wojowniczy Mars będzie wpływał na twoje stosunki z innymi, powodując konflikty w życiu prywatnym i zawodowym.

Po prostu wspaniale. Z pewnością właśnie coś takiego chciała przeczytać po kłótni z Maxem. Zastanawiała się, spod jakiego jest znaku. Powiedział, że będzie miał urodziny za dziesięć miesięcy. To wskazywałoby na Koziorożca lub... lecz nie, stanowczo Koziorożec, zdecydowała. Uparty jak kozioł.

Poszukała wzrokiem horoskopu przeznaczonego dla Koziorożca. Przepowiednia dla Maxa brzmiała następująco:

Trzymaj na wodzy swoją miłość własną, gdyż w przeciwnym razie nie uda ci się uniknąć poważnego konfliktu. Twoje nadmiernie wybujałe ego igra z niewłaściwym partnerem.

Najwidoczniej Max nie czytywał horoskopów. W przeciwnym razie nie wpadłby o świcie do jej sypialni, rzucając wokół oskarżenia i rozkazy.

Wzięła ściereczkę i zaczęła odkurzać, rozmyślając o tym, czy widok jej nagiego pod prześcieradłem ciała choć trochę go poruszył. Wytarła gzymsy i półki, obmyślając przy tym błyskotliwe riposty na wszystkie jego oskarżenia. Żałowała bardzo, że nie udało jej się wpaść na niego wcześniej, gdy Max wygłaszał swoje niestosowne i niezasłużone opinie. W tym momencie usłyszała, jak Claire woła, by odebrała telefon. Dzwonił Max. Nadal nie był w najlepszym humorze.

— Dziś rano posunęłaś się zbyt daleko — krzyczał do słuchawki.

— O co ci znowu chodzi?

— Ja... Ja... — był tak wściekły, że warczał niczym zepsuta kosiarka do trawy. — Szpiegowałam mnie — wykrztusił wreszcie.

— Masz na myśli: szpiegowałam dla mnie.

— Nie, mam na myśli, że szpiegowałam mnie. Przed chwilą dzwonił do mnie z firmy kredytowej i powiedzieli, że jakaś niepowołana osoba próbowała sprawdzić stan mego konta.

— I ty uważasz, że to byłam ja?

— Czy chcesz mi powiedzieć, że nie potrafiłabyś sprawdzić czyjegoś konta, wydobyć poufnych informacji?

— Oczywiście, że nie.

— A więc to na pewno byłaś ty. Któż by inny? I dlatego odbieram ci tę sprawę.

— Zwalniasz mnie?

— Dokładnie.

— Ale...

Z niedowierzaniem wsłuchiwała się w brzęczący sygnał. Rozłączył się.

— Bardzo ładnie, Max — mruknęła, wpatrując się w trzymaną nadal w dłoni słuchawkę. Gdyby wysłuchał jej wyjaśnień, dowiedziałby się, jak bardzo się myli. Wyrzucić ją już na początku — tylko dlatego, że naprawdę jej potrzebował. I ponieważ nie miał racji w sprawie banku. To prawda, wiedziałaby, jak się do tego zabrać. Lecz nie zrobiła tego. To nie była ona. Pomijając wszystko inne, gdyby to Amy Jane wzięła się do czegoś takiego, z pewnością odniosłaby sukces. Była doskonałym złodziejem informacji, gdyż posiadała cechy, których brakowało Maxowi: wdzięk, zimną krew, odwagę, ciekawość, intuicję, cierpliwość i opanowanie.

No cóż, być może on też miał trochę odwagi. I nieco uroku. Ale miał także wielbicielek, której zainteresowanie nim daleko przekraczało zwykłą miarę. Max nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo potrzebował Amy Jane. Intuicja podpowiadała jej, że tajemnicza wielbicielka mogła być niebezpieczna. Amy nauczyła się już słuchać swojej intuicji. W przeciwieństwie do Maxa, który dotąd nie nauczył się słuchać nikogo. Ani niczego.

9

James Chadwick stał przy barze, polerując szklanki i obserwując Mirandę, która zdejmowała krzesła ze stolików, przygotowując lokal na przyjęcie gości, napływających tłumnie w porze lunchu. Jamesowi podobały się błyszczące oczy i zaczepny charakter dziewczyny. Co za szkoda, że tak się napaliła na tego Maxa.

Miał ochotę gdzieś ją zaprosić. Ich flirt nie przekraczał ram koleżeńskiego przekomarzania. Zastanawiał się, czy Miranda przyjęłaby zaproszenie. Nie myślał o niczym poważnym. Nigdy nie był typem monogamisty, nie potrafił wyobrazić sobie siebie związanego na stałe z tą samą osobą. Przedstawiał typ

koczownika, zawsze poszukującego zmian i nowych wrażeń. Była jednak taka zmiana, która wcale mu się nie spodobała. Śmierć brata-bliźniaka i bratowej zmieniła go, sprawiła, że stał się bardziej melancholijny. To oni byli kotwica, która pozwalała mu dryfować. Ich dom był jego domem. Ich rodzina jego rodziną. Teraz pozostały mu tylko Słodziutka i Claire. Claire doskonale nadawała się na kotwicę, lecz Amy Jane... trudno powiedzieć. Sądząc po charakterze, Amy Jane mogłaby być jego własną córką. Wydawało się, że Słodziutka lepiej zniosła śmierć rodziców niż Claire. Za to Claire stała się bardziej opanowana, mniej ustępliwa. Zupełnie jakby sądziła, że można kontrolować coś równie nieobliczalnego jak śmierć.

Zgodnie ze swoją zasadą panowania nad biegiem spraw, Claire znów zadzwoniła do niego, by porozmawiał z Amy Jane na temat jej detektywistycznych zapędów. Obiecał, że to zrobi, gdy tylko Słodziutka pojawi się w barze. Choć zupełnie nie wiedział, co właściwie mógłby jej powiedzieć. Musiał szybko poradzić sobie z tym problemem, gdyż zauważył, że Amy Jane właśnie wchodzi do baru.

— Słyszałam, że chciałeś się ze mną zobaczyć — powiedziało jej odbicie w lustrze, znajdującym się za barem.

— Twój widok zawsze sprawia mi przyjemność — odpowiedział wymijająco, odsuwając szklanki.

Amy Jane czekała, uśmiechając się.

— To Claire cię w to wrobiła, prawda?

— Ona chce, żebyś przyhamowała trochę z tym twoim detektywistycznym interesem.

— Podobnie jak wszyscy inni — mruknęła Amy Jane, sięgając do miseczki z preclami.

— O czym ty mówisz?

Amy Jane wzięła precel i pokruszyła go na drobne kawałki.

— Claire może się nie obawiać, że zbyt szybko rozwinę interes. Te sprawy ubezpieczeniowe to już pewnie szczyt mojej kariery.

- Jak idzie?
- Niezupełnie tak, jak powinno.
- Czy dlatego roztarłaś ten precel na pył i zaśmiecasz nim cały bar? — spytał, wycierając kontuar. — Zostaw w spokoju precle i powiedz mi, co się stało.
- Max mnie wyrzucił — przyznała ponuro.
- Wyrzucił cię? Dlaczego?
- Sądzi, że przeprowadzałam dochodzenie nie dość dyskretnie. I że posunęłam się za daleko.
- Och... Chcesz się czegoś napić?
- Amy Jane zaśmiała się.
- Co cię tak rozbawiło? Czy nie powiedziałaś mi przed chwilą, że Max cię wyrzucił?
- Bo wyrzucił. Ale śmiałam się z czegoś innego. Przyszło mi do głowy, jak wszystko się zmienia, a zarazem pozostaje takie samo. Kiedyś dawałaś mi ciastka, by poprawić mi samopoczucie, a dziś proponujesz coś mocniejszego.
- I chcesz to tak zostawić? — spytał, wgrzyzając się w precel.
- Co masz na myśli?
- Wzruszył ramionami. — Nie wiem. Odkąd cię znam, a znam cię całe twoje życie, nigdy nie godziłaś się tak łatwo z odmową.
- Czy twoim zdaniem powinnam po prostu zignorować to zwolnienie?
- A nigdy przedtem oczywiście tego nie robiłaś, prawda?
- Wiesz co? Masz rację. Jeśli poradziłam sobie z twoimi błazeństwami, perfekcjonizmem Claire, kretyńskimi oszustwami ubezpieczeniowymi i jeszcze bardziej kretyńskimi klientami pensjonatu, na pewno poradzę sobie także z Maxem Armstrongiem.
- Idź i pokaż im, co potrafisz — wuj James jak zwykle dodawał jej odwagi.

Do baru zaczęli tłumnie napływać goście i Miranda ruszyła zbierać pierwsze zamówienia. Po chwili podeszła do baru.

— Cześć — powiedziała i zaraz całą jej uwagę przyciągnął telewizor. Nadawano właśnie wiadomości sportowe, a w nich wywiad z Maxem na temat kontuzji, jaką odniósł jeden z hokeistów w zwarcu z innym zawodnikiem.

— Jak myślicie, co jeszcze mogłabym zrobić, żeby zaczął zwracać na mnie uwagę? — westchnęła dziewczyna.

— Kto? — spytała Amy Jane.

— Ona ma bzika na punkcie Maxa — wyjaśnił wuj James — zupełnie nie rozumiem dlaczego, skoro ja jestem pod ręką. Czasami najtrudniej jest dostrzec to, co mamy przed nosem.

— James, zachowuj się — skarciła go Miranda ze wzrokiem dalej utkwionym w ekran.

Amy Jane zsunęła się ze stołka i opuściła bar niezauważona. Pragnęła gorąco, by Max pozostał jej klientem, postanowiła więc posłuchać rady wuja i działać dalej tak, jakby nigdy nie została zwolniona.

Max jej potrzebował, tylko jeszcze o tym nie wiedział.

No cóż, będzie musiała mu to udowodnić.

*

Amy Jane siedziała w swoim dżipie przed budynkiem stacji telewizyjnej Kanał Drugi. Istniała szansa, że Max nadal się tam znajduje, gdyż wywiad był przeprowadzany na żywo, a nie nagrany wcześniej. Zauważyła luksusowy samochód Maxa stojący na parkingu, zsunęła się więc niżej na siedzenie, by nie zauważona oczekiwać, aż opuści budynek.

Zdecydowała, że najlepszym sposobem skłonienia Maxa, by ponownie ją zaangażował, będzie śledzenie go, by przekonać się, czy ktoś inny także za nim nie jeździ.

Ponownie przyjrzała się parkującym samochodom — wszystkie wydawały się puste. Po chwili z budynku wyszła grupa ludzi, wśród których rozpoznała kilku reporterów. Wszyscy skierowali się w stronę niewielkiego, jednopiętrowego budynku.

Zaczęło padać. Okna samochodu błyskawicznie pokryły się parą i właśnie w tym momencie ukazał się Max. Popatrzył na niebo, potem na swoje półbuty z delikatnej skóry i zachmurzył się. Amy Jane natychmiast przestała majstrować przy radiodbiorniku. Max ostrożnie podszedł do samochodu, starając się w miarę możliwości nie zamoczyć butów, wsiadł i wyjechał z parkingu.

Amy Jane jechała o kilka samochodów za nim, starając się pozostać niezauważona. Śledzenie samochodu w pojedynkę w mieście było prawie niemożliwe, gdyż tłok i ciągle zmieniające się światła uniemożliwiały wszelkie próby nawet najlepszym. Jednak tym razem nie trzeba było się tym martwić. Max sam ułatwił jej zadanie. Jechał na stadion.

Amy Jane pogrzebała chwilę w zalegających tylne siedzenie bezładnie porzucanych przedmiotach i wyciągnęła rolkę odblaskowej taśmy. Przeczytała gdzieś, że można ułatwić sobie siedzenie komuś na ogonie malując zderzak śledzonego samochodu odblaskową farbą w sprayu. Ponieważ trudno jej było zmusić się do użycia podobnie radykalnej metody, postanowiła posłużyć się taśmą.

Zerkając jednym okiem w stronę wejścia do Kopyły, jak nazywano kryty stadion, na którym odbywały się mecze hokejowe, podkradła się do samochodu Maxa i nakleiła kawałek taśmy na prawe tylne światło, po czym wróciła biegiem do swego dżipa. Znowu musiała czekać.

Popołudniowe audycje radiowe są do chrzanu, pomyślała. Śledzenie kogoś rano było łatwiejsze do zniesienia dzięki J. C. Corkranowi. Miejscowy diskdżokej potrafił nieźle zamieszać i

choć nie zawsze się z nim zgadzała, to jednak słuchała go z ciekawością. I miał współpracownika-kobietę, która też dobrze sobie radziła.

W końcu Max opuścił stadion i wrócił do samochodu. Udało mu się wytrzasnąć skądś parasol i teraz skwapliwie się nim osłaniał, choć, w przeciwieństwie do Amy Jane, nie musiał martwić się o fryzurę. Kiedy pogoda była taka jak dziś, Amy nawet nie próbowała zapanować nad swymi włosami. Zamiast tego wkładała czarną baseballową czapkę, ukrywając pod nią niesforną czuprynę. Na czapeczce widniał napis „Fatalny Dzień Dla Fryzury” — bardzo stosowny, trzeba przyznać.

Opuściła niżej daszek, by ukryć twarz, przepuściła kilka samochodów i dopiero wtedy włączyła się do ruchu. Zgubiła go na światłach. Kiedy już miała zrezygnować, spostrzegła samochód Maxa wyjeżdżający z baru szybkiej obsługi. Zaczęła znowu go śledzić, tym razem niemal nie spuszczać wzroku z przymocowanej do zderzaka taśmy. Zatrzymywali się jeszcze kilka razy, aż w końcu Max wjechał na autostradę. Teraz sprawa przedstawiała się prosto, gdyż najwidoczniej zmierzał do swego mieszkania, mogła więc trzymać się w bezpiecznej odległości.

Kiedy parkował samochód, Amy Jane była już pewna dwóch rzeczy: po pierwsze, nikt poza nią nie śledził Maxa, i po drugie, Max ją zauważył. Zsunęła się jak najniżej i zamknęła oczy, próbując uczynić się niewidzialną. Nie podziałało. Max szarpnięciem otworzył drzwi dżipa.

— Chyba cię zwolniłem — powiedział oskarżycielskim tonem.

— Czy wtedy też tak wrzeszczałeś? — spytała otwierając oczy i wpatrując się w niego niewinnie spod daszka swej czarnej czapeczki.

— Być może — przyznał. — A dlaczego pytasz?

Przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i stał tak w pozie macho, wpatrując się w nią badawczo, niemal przesywając ją spojrzeniem zielonych oczu.

— Na pewno tak. I chyba dlatego cię nie słyszałam. Nigdy nie słucham, gdy ktoś wrzeszczy.

Usiadła prosto, by nie pomyślał, że przestraszyła się jego gniewu.

— Naprawdę? A czy teraz wrzeszczę? — spytał miękkim szeptem, który mimo to brzmiał nader stanowczo.

Pokręciła głową.

— W porządku. Jesteś zwolniona.

— Przecież nie chcesz tego zrobić — powiedziała.

— Dlaczego nie? Nim zdążyła odpowiedzieć, dodał: — W końcu wynająłem cię, żebyś przeprowadziła dla mnie dochodzenie, a nie śledziła mnie.

— Wiem, ale czy znasz lepszy sposób, żeby się przekonać, czy ktoś za tobą nie jedzie.

— I co, był ktoś taki?

— Nie.

— A zatem możemy spokojnie założyć, że ktokolwiek przysyła mi te listy, nie jest niebezpieczny. To po prostu nazbyt gorliwa wielbicielka, która nie panuje nad swoim entuzjazmem. Nie znalazłem już żadnych liścików, więc może przeniosła swoje uczucia na tego romantycznego modela, którego wszędzie pełno, tego... Fabiana?

— Fabio. Mylisz się. To, że nie dostałeś ostatnio żadnych listów nie znaczy, że nie jesteś w niebezpieczeństwie.

— Czy zawsze musisz być taka uparta?

— Czy zawsze musisz się tak wściekać? — odparowała.

— Nie. Ty po prostu doskonale wiesz, jak wyprowadzić mnie z równowagi.

— Może gdybyś nie był taki... taki zapięty na ostatni guzik...

Zlekceważył przytyk.

— No dobrze, załóżmy, że cię wysłucham.

— To by było coś nowego...

— A ty wysłuchasz mnie. Dlaczego uważasz, że grozi mi niebezpieczeństwo? To znaczy, pomijając twoje przeczucia.

Amy Jane rzuciła złośliwy komentarz na temat jego stosunku do przeczuć, a potem spokojnie odpowiedziała:

— Pamiętasz, jak oskarżyłeś mnie o sprawdzanie twojego konta?

Przytaknął.

— To nie byłam ja. Gdybym to ja cię sprawdzała, na pewno byś się nie zorientował. To zrobił ktoś inny. Gdybym była tobą, chyba poczułabym się nieswojo. Gdybym była tobą, wynajęłabym mnie ponownie.

Max oparł dłonie na karoserii dżipa i pochylił się do przodu.

— Naprawdę? Zrobiłabyś to?

Skinęła głową.

— No dobrze, ale nie życzę sobie, żeby to się rozniosło. Zrozumiałaś?

— Tak. Postaram się działać tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Ale musisz pozwolić mi wykonywać moją robotę tak, jak uważam za właściwe i nie przeszkadzać, gdy tylko coś ci się nie spodoba. Jednym słowem, Max, ja nie mówię ci, jak masz prowadzić transmisję, więc ty nie mów mi, jak mam prowadzić śledztwo.

— Zgoda, przynajmniej dopóki będziesz tak dobra w swoim zawodzie, jak ja jestem w moim — powiedział, uśmiechając się.

— Nic dziwnego, że nigdy nie nosisz kapelusza — rzuciła, włączając silnik — twoje rozdęte ego nie zmieściłoby się pod żadnym.

Odjechała, nie dając mu okazji do riposty. Nie obejrzała się też za siebie. Zatrudnił ją i nie chciała znów tego zepsuć. Kilka

mil dalej nadal zastanawiała się nad sprawą Maxa, gdy jakiś sportowy samochód omal nie zepchnął jej z szosy. No tak, pomyślała, niektórzy wyobrażają sobie, że droga należy wyłącznie do nich. Albo do ich tatusiów.

*

Max stał pod prysznicem, z przyjemnością poddając się spadającym na ciało strumieniom ciepłej wody. Zainstalował w mieszkaniu dużą termę, gdyż przepadał za długimi, gorącymi prysznicami. Sprawiały, że się odprężał. Ciepła woda spływała po ciele, płacząc ciemne włosy na piersi, on zaś zastanawiał się, co go opętało, że uwierzył Amy Jane, gdy mówiła o grożącym mu niebezpieczeństwie. Dlaczego on, zwykle tak rozsądny, nader chętnie przysłuchuje się Amy Jane. No cóż, pewnie szuka jakiegoś pretekstu, by się z nią widywać.

Nie spotkał dotąd takiej kobiety. Amy Jane Chadwick była uparta i bardzo energiczna. Energiczna... potrząsnął głową, rozsiewając wokół krople wody. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem używał tego słowa. A już na pewno nie uważał bycia energiczną za cechę pociągającą go w kobiecie.

Claire była bardziej w typie dziewczyn, z którymi dotychczas się spotykał: bardzo kobieca, bierna, choć umiejąca uczynić użytek ze swej kobiecości. Tymczasem cóż za przyjemna odmiana — spotkać kobietę, która potrafi mu nagadać, i która nie boi się powiedzieć, co naprawdę myśli, zamiast mówić to, co chciałby usłyszeć. Może po prostu staje się masochistą? Lub tak bardzo poświęcił się karierze, że nie potrafi już myśleć o niczym innym, stał się zapatrzonym w siebie egocentrykiem, któremu ktoś inny musiał uświadomić, że znajduje się w niebezpieczeństwie? By ocknął się i zobaczył, jak jest samotny.

Zakręcił wodę i wyszedł spod prysznicza. Wycierając ciało miękkim ręcznikiem myślał o Amy Jane. Wynajął kobietę, by go

chroniła... gdyby tylko Corey Cohen lub chłopcy z drużyny dowiedzieli się o tym, nie daliby mu spokoju do końca życia.

Jakby nie wystarczała ta sprawa z Kerry Ashton. To, że nakrył ją w łóżku z innym hokeistą było zaskoczeniem wyłącznie dla niego. Wyglądało na to, że dowiedział się o tym ostatni. A jednak nie czuł się szczególnie zraniony, raczej zakłopotany. Czyżby coś z nim było nie tak? Dlaczego nigdy dotąd nie zakochał się na tyle mocno, by cierpieć, gdy sprawy szły źle? Pozostał głuchy na usprawiedliwienia Kerry, że zdradziła go tylko po to, by wzbudzić w nim zazdrość i skłonić go do zdeklarowania się. Już go to nie obchodziło.

Przeszedł do sypialni, wyjął listy i przeczytał je po raz kolejny. Przypuszczał, że mogła je wysłać Kerry. Czuł się zakłopotany faktem, iż pomimo sześciomiesięcznego związku nie znał jej na tyle dobrze, by wiedzieć, czy stać ją na coś takiego. Interesowało go jej drobne, zgrabne ciało, nie umysł. A teraz sytuacja uległa odwróceniu — to nim ktoś się interesował, ktoś, kto zupełnie go nie znał.

*

— Posłuchaj tego — powiedziała Miranda, która właśnie czytała gazetę.

James Chadwick oparł łokcie o stół, gotowy do słuchania.

St. Louis oszalało na punkcie hokeja. Ludzie dostosowują swój rozkład dnia do transmisji meczy Luów. Frekwencja sięga 18000 wznoszących dzikie okrzyki kibiców na każdym meczu. Rozgrywki Pucharu Stanleya dowodzą, że dotychczasowy wizerunek hokeisty możemy odesłać do lamusa. Zamiast awanturników z powybijanymi zębami, hokej przyciąga prawdziwych supermanów. Możemy ich znaleźć nie tylko na tafli, lecz nawet w kabinie sprawozdawcy — zakończyła z uśmiechem.

— Ktoś zakochał się w Coreyu Cohenie, co?
— Zwariowałeś? Tu chodzi o Maxa.
— Chyba będę musiał ostrzec moją bratanicę.
— Lepiej zrób to.
— Czy sądzisz, że Lwy wygrają ze Śródmieściem.
— A czy Hillary jest feministką? — zapytała Miranda, przewracając oczami.

— Daj spokój, ja tak tylko mówię, żeby podtrzymać konwersację — bronił się James.

— James, to prawie tak, jakbyś zapytał, czy Pingwiny się zakwalifikują, choć w ostatnich rozgrywkach byli zawsze w pierwszej trójce, i, prawdę mówiąc, wygrali cztery poprzednie Puchary.

— Może poszłabyś ze mną na obiad i wyjaśniła mi te zawilości — zaproponował James.

— Nie próbuj mi się podlizywać, stary szelmo. Wiesz o hokeju o wiele więcej niż ja.

— Nie używaj słowa „stary” w obecności kogoś, kto właśnie przechodzi kryzys wieku średniego.

— Średniego? — Miranda uniosła jedną brew. — Lepiej podkreć głos, zaczyna się film — powiedziała, widząc że na ekranie pojawiła się czołówka popularnego serialu.

— Zastanawiam się, jak w ogóle zdołałaś mnie namówić do oglądania tego? — mruknął James, wpatrując się w ekran.

— Jeśli ten serial jest dość dobry dla Maxa Armstronga, jest także wystarczająco dobry dla ciebie.

— Skąd wiesz, że jest dość dobry dla Maxa?

— Przeczytałam w wywiadzie w „Post-Dispatch”. Max zainteresował się nim jeszcze, kiedy grał. Wszyscy zawodnicy jedzą w południe, oglądając przy tym seriale, a potem idą grać.

— Wróć do rzeczywistości, Mirando.

— I kto to mówi!

— Czy kiedykolwiek skakałaś z gumową liną?

— Jeszcze nie zwariowałam.

*

Był to ten sam hotelowy pokój, w którym Max ją przyłapał. Kerry wiała się przytulona do bramkarza Lwów, wykonując wszystkie właściwe ruchy, które miały doprowadzić go do szaleństwa.

— Jesteś taki duży i silny — szepnęła, nadając swemu głosowi dziewczęce brzmienie.

— Nie, to po prostu ty jesteś taka drobniotka.

Kerry uśmiechnęła się. Wiedziała, jak bardzo Richie zachwycony jest tym, że właśnie jego wybrała. Nie przypuszczał nawet, jak przemyślany był to wybór. Dała sobie spokój ze wzbudzaniem u Maxa zazdrości. Próżne wysiłki. A przecież nikt nigdy nie porzucił jej, zanim nie była gotowa zrobić to pierwsza. Bo to ona zwykle łamała serca.

— Czy jest ci dobrze? — spytał Richie napiętym z pożądania głosem.

— Tak, Richie, bardzo...

— Boję się, że mogę cię zranić...

— Nie, jestem gotowa. Nie czujesz, jaka jestem wilgotna? Włóż mi rękę pomiędzy uda. Nie noszę żadnych majtek.

Richie jęknął, wsuwając nieśmiało rękę, by sprawdzić to, co mówiła.

— Chcesz mnie, maleńka? — spytał, ruszając w ślad za ręką.

Upadli na łóżko — Richie podniecony i o wiele mniej doświadczony od niej. Tak właśnie lubiła. Miło było wiedzieć, że Richie poświęca jej całą uwagę.

— Richie? — spytała, odymając wargi.

— Co się stało? Chyba nie zrobiłem ci krzywdy?

Zsunął się z niej, nie przestając jej całować.

— Nie, tak sobie tylko myślałam. Powinieneś porozmawiać z kimś o tym, jak Max cię traktuje. Nie podoba mi się to. Nie jest fair.

— Przesadzasz, Kerry. Max każdemu potrafi dobrać się do skóry, jeśli uważa, że nie wykonuje swojej roboty jak należy.

Richie pośpiesznie zrzucił z siebie ubranie.

— Ale on...

Jego napierający członek zamknął jej usta. Wargi Kerry pracowały doskonale, jej język lizał, a zęby lekko pogryzały. Lecz choć Richie błyskawicznie osiągnął stan błogosławionej szczęśliwości, ona cały czas myślała — szybko i skutecznie.

Lecz nie o Richiem Allenie. W chwilę później już przetykała, przygotowana, by poprowadzić Richiego tam, dokąd chciała za pomocą najstarszego i najbardziej niezawodnego sposobu, znanego kobietom. Postawi na swoim. I lepiej, żeby nikt nie próbował jej w tym przeszkodzić.

*

Claire siedziała w salonie, sącząc filiżankę herbaty i przerzucając błyszczące strony magazynu dla narzeczonych, który prenumerowała i przeglądała z takim samym nabożeństwem, z jakim Amy Jane czytała swoje kryminały. W czasopiśmie wszystko wyglądało jak z bajki: wyszukane bukiety, bajeczne torty, pieniaące się koronkami białe suknie. Wszystkie jej sny i pragnienia opierały się na tych błyszczących stronach.

Pragnęła wyjść za mąż. Chciała mieć męża. Wcale nie podobało jej się zarządzanie pensjonatem. Ale innego wyjścia nie było. Śmierć rodziców sprawiła, że musiała stać się silna. Nikt poza nią nie troszczył się o majątek rodziny. Wuj James był po prostu beznadziejny, zaś Amy Jane nie miała zamiłowania do prac domowych. Więc wszystko spadło na nią. I tak było przez cały czas. Pomyślała, że powinna być dumna z tego, czego

dokonała i tak z pewnością było, lecz prowadzenie pensjonatu wymagało mnóstwa pracy. Żmudnej i codziennej.

— Wiesz, czego bym chciała? — spytała jedną ze swoich ulubionych lalek, siedzącą na półce z książkami. — Chciałabym, żeby mama i tata dalej żyli. Wiesz, kiedy skręcam za róg lub wchodzę do jakiegoś pokoju, wydaje mi się czasem, że widzę ich kątem oka. A potem przypominam sobie, że przecież odeszli. Nic już nigdy nie będzie takie jak niegdyś. Już nigdy nie usłyszę, jak się śmieją, czy powtarzają swoje kwestie w bibliotece do późnej nocy. Czasami czuję się taka samotna.

Otarła wilgotne kąciki oczu, besztając się w duchu za uleganie litości wobec własnej osoby. Dopóki miała coś do zrobienia, nie było jeszcze tak źle. Wielu ludziom powodzi się o wiele gorzej, a ona mieszkała przynajmniej w pięknym domu z dużym ogrodem. I kiedy akurat nie było w nim gości, mogła wyobrazić sobie, że wszystko jest tak jak niegdyś.

Wyrwała z czasopisma przepis na ciasto migdałowe i odłożyła magazyn. Postanowiła dorzucić do kominka jeszcze jedno polano, choć właściwie nie odczuwała chłodu. Lecz płonący w kominku ogień stwarzał pewną atmosferę. Estetyka wiele dla niej znaczyła. Prawdopodobnie zbyt wiele. Siedzenie w brzydkim pokoju pewnie doprowadziłoby ją do choroby.

Przeciwnie niż Amy Jane, której nic nie było w stanie doprowadzić do stanu fizycznej niesprawności. Jej siostra miała końskie zdrowie. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zaczynała dzień od zjedzenia meksykańskich placków i wypicia pepsi. I to całkiem bezkarnie! Zastanawiała się, jak to jest być Amy Jane, wolną od ograniczeń, jakie stawiały jej własne normy.

Rozejrzała się po pokoju, wyobrażając sobie Bobby'ego McQuaida w bujanym fotelu przy kominku. Wcale tu nie raził. Pasował do tego pokoju. Tak, to miejsce zdecydowanie potrzebowało mężczyzny. Prawie tak bardzo, jak ona sama.

Czuając się raczej głupio, Max poczynił kolejny zapis w dzienniku. Amy Jane nalegała, by notował w nim wszelkie odbiegające od codzienności zdarzenia, ot tak, na wszelki wypadek. Gdy spytał ją, na wypadek czego, nie umiała odpowiedzieć. Miał pozostawić wszystko jej. Zaufać jej. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że prosi o tak wiele. Mimo to sumiennie zanotował serię głuchych telefonów, nagranych na automatyczną sekretarkę. Skóra cierpła mu na myśl, że ktoś stale sprawdza miejsce jego pobytu, wydzwaniając do mieszkania. Wolał przyjąć, że dzwonią do niego firmy, reklamujące swoje towary, choć nigdy wcześniej nie przypuszczał, że podobne, opracowane przez komputer telefony nie tylko go nie zdenerwują, lecz będą stanowiły bardziej optymistyczną alternatywę.

Uzupełniwszy dziennik, schował go do szuflady, w której przechowywał listy. Ponieważ zostało mu nieco czasu, z którym nie bardzo wiedział, co zrobić, zdecydował się na spacer po pasażu handlowym. Potrzebne mu były nowe półbuty w miejscach kosztownych, skórzanych butów, które uległy zniszczeniu podczas deszczu. Żałował, że nie może zażądać zwrotu kosztów ich zakupu od firmy ubezpieczeniowej. Jak na nieszczęście, chłopak, który go obsługiwał, chciał w przyszłości zostać sprawozdawcą sportowym, więc kupno butów zajęło Maxowi dwa razy tyle czasu, co zwykle, gdyż młody człowiek w pełni wykorzystał okazję, by wyciągnąć z niego informacje na temat tego, co powinien zrobić, żeby odnieść sukces podobny Maxowi.

Na takie pytania Max miał już z góry przygotowaną odpowiedź. Dobry głos był oczywiście darem niebios. Lecz trzeba było jeszcze ciężkiej pracy. I wytrwałości. A także fizycznej wytrzymałości, gdyż związane z tym zawodem ciągłe podróże

bywały bardzo wyczerpujące. No i odrobina szczęścia też by z pewnością nie zaszkodziła.

Gdy wyszedł w końcu ze sklepu z obuwem i ruszył powoli, oglądając dla przyjemności wystawy, jego uwagę przyciągnął leżący na jednej z nich elegancki sweter, którego w końcu nie kupił, nabywając zamiast tego białą koszulę z egipskiej bawełny.

Usatysfakcjonowany skręcił w uliczkę, przy której mieściły się różne barki, by zjeść kilka tacos i napić się importowanego piwa. Polewając swoje placuszki gorącym sosem przyglądał się małej, może dwuletniej, dziewczynce, usiłującej wymusić płaczem jakieś ustępstwo ze strony matki. Nagle sam poczuł na sobie czyjś wzrok, odwrócił się więc, spodziewając się zobaczyć łowcę autografów, lecz przy stole za nim nie było nikogo, nikt też spośród licznych klientów baru zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Byli zbyt zajęci przepychaniem się, by zdobyć wygodniejsze miejsce. Chyba popadam w paranoję, pomyślał. Skończył pić piwo, wyszedł z knajpki i skierował się w stronę parkingu. Po drodze zatrzymał się jeszcze, by kupić kilka kryminałów, które miały odegnać nudę służbowych podróży.

Parking był zatłoczony. Czyste, błękitne niebo i słońce wyciągnęły z domów nałogowych zakupowiczów. Gdy wreszcie udało mu się dotrzeć do samochodu, zauważył białą karteczkę, zatknietą za wycieraczkę. Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy pracownik któregoś ze sklepów nie wtyka przypadkiem reklamówek za szyby innych samochodów, lecz nikogo takiego nie wypatrzył. Biały świstek widniał jedynie za wycieraczką jego samochodu. Wiedział, co to takiego, zanim jeszcze go rozłożył. Jeszcze jeden list. Do Najdroższego Maxa, oczywiście. Przez chwilę kusilo go, by po prostu rzucić świstek na ziemię i odjechać. Własna ciekawość na równi z zaleceniami Amy Jane sprawiły jednak, że rozerwał kopertę i wyciągnął list. Niestety, przecucie go nie myliło. Przeczytał:

Najdroższy Maxie,

Dlaczego jesteś taki nieśmiały? W twoim życiu nie ma kobiety. Zaczynam być już zmęczona czekaniem. Jeśli wkrótce nie zaczniesz działać, ja to zrobię.

Kocham Cię

Zgniótł list w dłoni. Cholera! Wcale nie przesadzał. Ktoś rzeczywiście obserwował go podczas posiłku. A kiedy jadł i kupował książki, podłożył mu list za wycieraczkę. Ciarki przeszły mu po plecach. Jeszcze gorzej było uświadomić sobie, że ona zna jego samochód. Mogła go przecież śledzić i podrzucić list od razu, gdy tylko wszedł do pasażu.

Odwrócił się błyskawicznie z nadzieją, że uda mu się przyłapać kogoś na obserwowaniu go. Ale nic z tego. Jedyńm rezultatem jego błyskawicznej akcji było spłoszenie ptaka, który uctował na rozsypanych frytkach dwa samochody dalej.

Czując się nader głupio otworzył samochód i wsiadł. List położył na siedzeniu obok. Przez chwilę odczuwał pokusę, by w ogóle nie wspominać o nim Amy Jane, lecz zdał sobie sprawę, że ignorowanie problemu z pewnością nie doprowadzi do jego rozwiązania. Będzie musiał jej powiedzieć.

Gdy tylko opuścił parking, wybrał numer na tarczy telefonu komórkowego. Ktoś podniósł słuchawkę przy piątym sygnale.

— Halo?

— Claire?

— Tak.

— Chciałbym rozmawiać z Amy Jane. Jest może w domu?

— Niestety, nie ma jej. Podniosłam słuchawkę, bo właśnie zmieniam u niej pościel. Pojechała sprawdzić czyjeś prawo jazdy czy coś takiego. Powiedziała, że wróci na obiad.

— Powiedz jej, że muszę z nią porozmawiać. Niech zadzwoni do mnie jeszcze dzisiaj. To ważne.

— A może ty wpadłbyś do nas na obiad? — zaproponowała Claire.

- O której?
 - Około piątej.
 - A czy brzoskwiniowy placek też jest przewidziany?
- Claire zaśmiała się z widoczną przyjemnością w głosie.
- Nie, ale będzie inny deser. Amy Jane zawsze się przy tym upiera.
- Teraz zaśmiał się Max.
- No dobrze, przyjdę z przyjemnością.

*

I znów poczuł się dziwnie odprężony, gdy tylko wjechał na podjazd tego pensjonatu jakby żywcem wyjętego z jakiejś powieści. Dzieciństwo spędzone na farmie nie dało mu wielu okazji do oglądania łóżek z baldachimem, angielskich sreber i wyszukanych potraw. A wszystkie te rzeczy bardzo mu się spodobały.

Powitała go Claire. Przez chwilę rozmawiali uprzejmie, czekając na Amy Jane, która się spóźniała.

- Czy zrobiłaś jakieś rozeznanie, zanim otwarłyście pensjonat? — spytał Max, przyglądając się, jak Claire sprawdza danie czekające w ciepłym piekarniku.

- Właściwie nie. Po prostu jakoś tak wyszło. Ale na szczęście miałyśmy dobrą opinię, a i miejsce doskonale się do tego nadaje.

- Wcale nie dziwi mnie, że tak dobrze wam idzie. Jesteś taką wspaniałą panią domu. Ale z pewnością wymaga to mnóstwa pracy...

- O tak, prawdziwie mozolna robota, jak mawia Amy Jane. Zbyt mozolna, jak dla niej. Lecz ja lubię zajmować się domem.

- Z kim rozmawiasz, Claire? — zawołała Amy Jane, kierując się w stronę kuchni. — Przepraszam za spóźnienie.

— Zaprosiłam na obiad Maxa.

— O, przepraszam, nie zauważyłam cię. — Amy Jane zwróciła się w stronę swego nowo odzyskanego klienta.

— Chciałem porozmawiać z tobą o interesach i Claire poprosiła, żebym został na obiedzie.

— Więc może najpierw go zjedzmy, bo inaczej Claire może stać się trochę przykra. Bardzo nie lubi, gdy obiad nie udaje się przez moje spóźnienie.

Po opróżnieniu salaterki białej fasoli i maślanych herbatników wsunęli jeszcze po solidnej porcji ciepłego placka z migdałami, po czym Claire wzięła się do zmywania, a Max i Amy Jane przeszli do biblioteki, by pogadać o interesach.

Wyciągnął z kieszeni pognieciony list i jej go wręczył.

— Prosiłaś, żebym dał ci znać, gdy dostanę następny. I miałaś rację. Ona nadal się mną interesuje.

— No, to chyba jesteś zadowolony. Twoja miłość własna została zaspokojona — powiedziała Amy Jane, rozprostowując karteczkę na blacie biurka. Zapaliła zieloną lampę i uważnie przestudiowała list.

— Nie rozumiem, dlaczego stale twierdzisz, że to mi się podoba. Wcale tak nie jest. Dostaję od tego gęziej skórki. Wydaje mi się, że wpadam w paranoję.

— Nie wpadasz w żadną paranoję, skoro ktoś naprawdę cię śledzi. Gdzie to znalazłeś? Nadeszło pocztą czy ktoś podłożył list w takim miejscu, że musiałeś go znaleźć?

Podszedł do biurka i stanął za nią, wdychając świeży zapach jej włosów i podziwiając zgrabny kapelusik.

— To drugie. Znalazłem to, kiedy wróciłem na parking po wyjściu z pasażu.

Gdyby ktoś go o to zapytał, powiedziałby, że dziś jest wspaniały dzień dla włosów. To znaczy, dla włosów Amy Jane. Nagle zdał sobie sprawę, że pragnie ich dotknąć. Brak pianki do układania i lakieru sprawiał, że wyglądały bardzo kusząco. No i

ten apetyczny zapach owocowego szamponu, który się wokół nich unosił.

— Gdzie?

— Za wycieraczką.

— Nikogo nie zauważyłeś?

— Nie. Wydawało mi się co prawda, że ktoś przygląda mi się, kiedy jadłem, ale nie udało mi się nikogo zlokalizować.

— To mogła być ta osoba, która na ciebie poluje. Ale równie dobrze mógł to być zwykły fan. Na tym polega kłopot ze znanymi osobami — nigdy nie jest się pewnym.

— Zrób mi przysługę i nie używaj słowa „poluje”, dobrze? Jakoś nieswojo się wtedy czuję.

— I bardzo dobrze. Ktoś ci grozi. Powinieneś potraktować to poważnie. Nie możesz być pewny, że nie spróbuje zrealizować swoich gróźb. Nawet ty musisz przyznać, że ta osoba ma obsesję na twoim punkcie.

— Próbujesz mnie przestraszyć? — powiedział ironicznie Max, kierując się w stronę sofy.

— Pomyśl. — Amy Jane zlekceważyła zaczepkę. — Może sam ją do tego zachęciłeś? I teraz ona wyobraża sobie Bóg wie, co...

— Za kogo ty mnie właściwie uważasz? Nie robię takich rzeczy.

— Wcale tego nie twierdę. Lecz albo mamy tu do czynienia z wielbicielką, której fantazje kompletnie wymknęły się spod kontroli albo też z jakimś innym kompletnym wariactwem. Jedno i drugie stanowi kłopot.

— Masz jakieś podejrzenia?

— Próbuje zawęzić krąg podejrzanych do kilku tysięcy osób — odparła ponuro.

— O co chodziło z tym prawem jazdy?

— Próbowałam ustalić właściciela pewnego pojazdu, ale nie udało mi się, miałam za mało danych. Nie znasz

przypadkiem jakichś ludzi, jeżdżących ciemnymi sportowymi mercedesami?

— Tylko wszystkich mieszkańców Chesterfield, oczywiście z wyjątkiem tych, którzy jeżdżą jasnymi lub wolą porsche.

— Nie bądź taki mądry. Gdyby udało mi się ustalić, kim jest twoja prześladowczyni, mógłbyś złożyć skargę na policję i może nawet uzyskać z sądu polecenie przyznania ci ochrony. Policja działa o wiele bardziej zdecydowanie, kiedy dostaje decyzję sądu.

— Tylko bez policji. Już teraz dostaję gęsiej skórki na myśl, że ktoś mnie śledzi. Wmieszanie w to policji tylko pogorszyłoby sprawę.

— Nawet bez nakazu sądowego mogę poprosić paru kumpli z komisariatu, żeby mieli oko na twoje mieszkanie i stadion, na wypadek gdyby ktoś zbyt często się tam pojawiał.

— Żadnej policji.

— Ale...

— Mówiłem ci od początku: nie chcę, żeby stało się to publiczną tajemnicą.

— A czego właściwie chcesz?

Zastanawiał się, czy jej nie powiedzieć. Ciekawe, jakby zareagowała, gdyby jej powiedział, że chciałby zamknąć drzwi i kochać się z nią na biurku, za którym właśnie siedzi. To ci dopiero pomysł!

— Pytanie brzmi: Czego tak naprawdę chce ten ktoś, kto na mnie, hmm, poluje. Píše w liście, że w moim życiu nie ma kobiety. A co by się stało, gdyby taka kobieta się pojawiła? Kobieta taka jak ty? — Wstał i podszedł do niej. — Czy naprawdę sądzisz, że nie przesłaby jej ta obsesja, gdyby zobaczyła, że kogoś mam? Może wtedy przerzuciłaby się na kogoś innego, bardziej dostępnego?

Amy potrzęsnęła odmownie głową.

— Nie umawiam się z klientami.

- Ale...
- Nie.

*

Był późny wieczór. Amy Jane stała w oknie, zastanawiając się, dlaczego skłamała Maxowi. Wcale nie była taka ortodoksyjna w kwestii nieumawiania się z klientami. Po prostu z żadnymi innymi nie miała dotąd ochoty się umawiać. Ten problem pojawił się wraz z Maxem. Odmówiła mu wyłącznie z jednego powodu. Powodu, który nie miał nic wspólnego z zasadami. To nie był mężczyzna dla niej. Więcej, był ze wszech miar nieodpowiedni. A ona oczywiście miała na niego ochotę. To dlatego mu odmówiła. Musiała zająć się swoją agencją. W jej życiu nie było miejsca na rozterki spowodowane związkiem z Maxem Armstrongiem. Rozsądna kobieta nie wsiada do samolotu, jeśli wie, że ulegnie on katastrofie, w której można stracić co najmniej bagaż. Odeszła od okna zastanawiając się, co spowodowało, że stała się takim tchórzem.

*

Nieprzyjemne uczucie bycia obserwowanym nie opuszczało Maxa. Było równie niemożliwe do odrzucenia jak własny cień. Chętnie by z tym skończył, ale jak? Nie było nikogo, komu by mógł stawić czoło. Zrobił wszystko, co możliwe, wynajmując Amy Jane. Teraz należało po prostu czekać, dopóki tajemniczy łowca nie przekroczy granicy prawa. Właściwie nie mogliby powiedzieć, że się boi, lecz był niespokojny, a jego praca wymagała koncentracji. Powinien całą uwagę poświęcić relacjonowaniu meczy, gdyż inaczej ryzykował utratę posady.

Przed kolejnym meczem próbował zapomnieć o całej sprawie.

„Bobby McQuaid nie jest dziś w najlepszej formie z powodu kontuzji, jaką odniósł, szarżując po raz kolejny. Wkrótce z pewnością nas zadziwi, dostosowując w pełni swoje życie do wycinków prasowych, opisujących jego wyczyny”.

— Czy nie jesteś przypadkiem zbyt surowy dla Bobby'ego?
— spytał Corey podczas przerwy na kolejną reklamę.

— Nie.

Max wiedział, że jego złośliwości denerwują Bobby'ego, zresztą innych zawodników także, lecz uważał, że płaci im się wystarczająco dużo, by byli wzorem dla innych, zamiast odgrywać rozkapryszony primadonny.

Reklamówka skończyła się i Max wrócił do pracy, zerkając jednym okiem na przyglądającą mu się z trybun blondynkę.

„Kenny LeBac, zawodowiec od dwóch lat, mija środek. Jest już przy swojej bramce i... „

— LeBac jest zawodowcem od czterech lat — poprawił Corey.

— Przecież mówię — oświadczył Max, przyglądając się blond wielbicielce. Czy to ona? — zastanawiał się.

Corey odpuścił i Max kontynuował: „Zjechali do narożnika, otoczyli bramkę, lecz Allen wybił krążek daleko w stronę linii środkowej”.

Kobieta na trybunach wstała.

„1:20 i Allen znowu blokuje krążek! Proszę państwa, ten chłopak ma dziś swój dzień! Ale co to, Ritchie traci krążek, walczy...”

— Tamten facet pierwszy go uderzył — zaoponował Corey.

— Hokej nie polega na bijatyce, lecz na jeźdźeniu na łyżwach. Ritchie musi się wreszcie tego nauczyć — upierał się Max.

„Przeciwnicy popychają krążek przed naszą bramką, lecz LeBac przeszkadza. Wybija krążek daleko ku linii środkowej, krążek wraca do niego, i gol! To gol na miarę zwycięstwa. O,

kochanie! Dwa jeden dla Lwów!” — krzyczał, zastanawiając się, dokąd też mogła pójść blondynka.

— Trzy do jednego — poprawił Corey.

— Co? Ach tak, racja — zgodził się Max, wracając do rzeczywistości.

— Chyba potrzebujesz odpoczynku, Max — powiedziała Chantal, wchodząc do kabiny. — Kuszysz los. Z przyjemnością cię zastąpię — zaproponowała.

— Właśnie, może wzięłbyś kilka dni wolnego — zgodził się chętnie Corey.

— Wszystko w porządku — zapewnił Max, czując coś wręcz przeciwnego.

— Bardzo mu się dziś śpieszyło — powiedział Corey, gdy Max opuścił kabinę sprawozdawcy. — Pewnie na rozbieraną randkę. Wyraźnie nie był dziś sobą.

— Pewnie pojedzie do domu przespać się. Wyglądał na zmęczonego. Szkoda, że nie skorzystał z mojej propozycji. Przydałoby mi się trochę gotówki, bo mój samochód lada moment się rozpadnie — powiedziała ponuro Chan tal.

— Mógłbym pożyczyć ci trochę pieniędzy — zaoferował się Corey. — Bez żadnych procentów.

— Dlaczego miałbyś to robić?

— To przecież tylko pożyczka — zapewnił ją. — Uważam, że stacja potraktowała cię niesprawiedliwie, dając twoją pracę Maxowi. Chciałbym ci to zrekompensować.

— Dzięki, ale potrafię sama się o siebie zatroszczyć.

— Jeśli zmienisz zdanie, moja oferta pozostanie aktualna. — Corey odsunął się, by przepuścić ją w drzwiach.

*

— Co za palant! Miałbym ochotę mu przyłożyć, a ty? — poskarżył się Bobby Ritchiemu, gdy Miranda przypomniała im o złośliwościach Maxa podczas transmisji.

Ritchie skinął głową.

— Tylko nie uszkodźcie mu tej wspaniałej pupy. — Miranda naląła im piwa, zostawiła dzbanek na stole i odeszła, by obsłużyć inny stół.

— Jak ci idzie z Kerry? — spytał Bobby, trącając Ritchiego łokciem. Obaj obserwowali oddalającą się Mirandę, ubraną w dzinsy jakby specjalnie uszyte na jej zgrabny dziewczęcy tyłeczek.

— Człowieku, zupełnie mnie wypompuwała. Ledwie starczyło mi sił, żeby dokończyć trzecią tercję — powiedział Ritchie, nie wyglądając przy tym wcale na nieszczęśliwego.

— Czy prosi cię, żebyś wkładał swoją maskę bramkarza, gdy idziecie do łóżka?

— Skąd wiesz? — spytał Ritchie podejrzliwie. Pytanie, czy Bobby też ją przeleciał, niemal zawisło w powietrzu.

— Człowieku, ona uwielbia sportowców. Nietrudno się domyślić, co jej chodzi po głowie.

— Chyba że tak. A co z tobą i bratanicą Jamesa? — Ritchie pociągnął solidny łyk piwa.

— Nic. To nierozbudzona dziewica. I pomyśleć, że na darmo zabrałem ją na balet. Chciałbyś się zamienić? — Na myśl o czymś takim od razu poweselał.

— Nigdy w życiu. — Ritchie machnął ręką, odrzucając ofertę Bobby'ego. — Czy już odebrałeś od Jamesa swoją wygraną?

— Prawdę mówiąc, nie. Ale chyba lepiej to zrobię, zanim ją zostawię. Chodźmy do baru.

— Kiedy chcesz ją zostawić? — spytał Ritchie, próbując poklepać po pupie przechodzącą obok Mirandę.

— Na razie nie wiem. Chyba dam jej jeszcze szansę. To ładna babka.

— A poza tym jutro ruszamy w trasę, a czego oczy nie widza, tego sercu nie żal — dodał Ritchie.

Podnieśli kufle.

— Za wyjazdy w trasy!

— Za co pijecie, chłopcy? — spytał Lance Thomure, stawiając na stoliku miseczkę z preclami.

— Za rozgrywki — odparł Ritchie.

— Miejmy nadzieję, że wygramy choć kilka meczy — dodał Lance.

— Za to też wypijemy — zgodził się Bobby, spoglądając znacząco na Ritchiego.

*

Amy Jane rozpakowała nowy telefon, który właśnie kupiła. Miał zamontowane bardzo sprytne urządzenie, pozwalające za naciśnięciem jednego przycisku wybrać numer osoby, która ostatnio dzwoniła do właściciela cudownego aparatu. Cóż za znakomity sposób na wytropienie autora „głuchych” telefonów! Jak tylko Max wróci z objazdu, natychmiast go wypróbują. Przy odrobinie szczęścia może uda się w ten sposób wysledzić polującego na Maxa tajemniczego łowcę czy raczej łowczynię. Lub może...

Z kuchni nadeszła Claire. Właśnie skończyła przygotowywać zapiekankę z kielbasy i jajek, którą miała zamiar podać gościom na śniadanie. Potrawa pachniała tak wspaniale, iż Amy Jane miała nadzieję, że goście nie dadzą rady jeść wszystkiego i zostawią coś także dla niej.

— Co to takiego? — Claire zatrzymała się, by popatrzeć, jak Amy Jane przepakuje telefon.

— To do celów służbowych — wyjaśniła Amy Jane.

— Aha. — Claire odszukała odpowiedni kanał w telewizorze i opadła zmęczona na sofę. — Jestem wykończona. Chcesz obejrzeć ze mną pierwszy mecz rozgrywek?

— Później. Teraz muszę jeszcze coś załatwić, ale powinnam wrócić na trzecią tercję.

Amy Jane zabrała zapakowany znowu w pudełko telefon i wymaszerowała z biblioteki, udając się na swoją tajną misję.

W pół godziny później krążyła już wokół domu Maxa, sprawdzając teren. Na szczęście w pobliżu nie było żadnego patrolu, zauważyła jedynie mężczyznę spacerującego z psem, lecz i on wkrótce zniknął za rogiem.

Zadowolona, że udało jej się uniknąć zwrócenia na siebie uwagi, zaparkowała dżipa i podeszła do drzwi mieszkania Maxa, dźwigając pod pachą pudło z telefonem. Jeszcze jeden szybki rzut oka wokół upewnił ją, że jest bezpieczna, otworzyła więc błyskawicznie zamek wytrychem i wśliznęła się do środka.

Oparta bezwładnie o ścianę wypuściła wreszcie długo wstrzymywany oddech. W mieszkaniu było cicho i ciemno. Przez chwilę stała, pozwalając oczom przyzwyczać się do panującego w holu półmroku, po czym odszukała telefon Maxa. Nietrudno było zastąpić aparat nowo przyniesionym, wystarczyło tylko dopasować starą wtyczkę do nowego aparatu i podłączyć go.

W porządku, zrobione. Zbierała właśnie resztki opakowania i pozostała część zbyt długiego kabla, gdy nagle telefon zadzwonił. Niespodziewany dzwonek tak ją zaskoczył, że po prostu podniosła słuchawkę. Cholera, i co teraz? Postanowiła się odezwać.

— Słucham?

— Tu „Post-Dispatch”. Chciałam zapytać, czy otrzymuje pani regularnie prasę pod ten adres?

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, rozejrzała się więc szybko po kuchni i zobaczyła wystającą z kosza na śmieci banderolę, jaką zwykle owinięty bywa plik gazet.

- Tak, wszystko w porządku.
- I jest pani zadowolona z naszych usług?
- Tak...

Kobieta podziękowała jej, zapewniając, że to rutynowa kontrola. W chwilę później wyłączyła się.

Czy była to rzeczywiście tylko kontrola? Do tego przeprowadzana niemal w nocy? A może to tajemnicza wielbicielka Maxa? Lecz jeśli nawet tak było, Amy Jane nie rozpoznała jej głosu.

Nacisnęła przycisk oznaczony gwiazdką i wybrała 69, by sprawdzić nowe urządzenie. Najwidoczniej działało, gdyż telefon odebrała ta sama osoba, która przed chwilą dzwoniła.

Amy Jane rozłączyła się. Teraz Max będzie mógł sprawdzić, czy zna głos, który odezwie się po drugiej stronie słuchawki. Jeśli i to nie przyniesie rezultatu, trzeba będzie postarać się o doskonalsze urządzenie. W porę przypomniała sobie, by przegrać na automatyczną sekretarkę nagranie Maxa. Dokonała tego zamieniając po prostu taśmy.

Pora była się zbierać, lecz Amy Jane zwlekała. Chyba nikt nie weźmie jej za złe, jeśli trochę się tu rozejrzy...

Nawet nie próbowała przed sobą udawać, że jej zainteresowanie ma profesjonalny charakter. O nie, to była sprawa czysto prywatna. To, co zamierzała zrobić, było jak czytanie cudzego pamiętnika — sprzeczne z zasadami, lecz jakże zabawne. Uśmiechnęła się. Max pomógł jej mimo woli, gdyż zamontował nad kuchenną ladą reflektorek działający także na baterie — wystarczyło wyciągnąć sznur z kontaktu i już mogła myszковать bezpiecznie.

Była to typowo kawalerska kuchnia, należąca do mężczyzny, który niezbyt lubi zajmować się gospodarstwem. Brak wielu utensyliów wskazywał, że Max jada głównie na mieście. Cóż za rozsądny człowiek! Jednak wszystko, co się znajdowało w kuchni, leżało na właściwym miejscu.

Sypialnia wyglądała równie schludnie. Ubrania wisiały porządnie na wieszakach, nic nie zwisało z jednego ramiączka ani nie kłębiło się. Na dnie szafy stały wypastowane i ustawione szeregami buty.

Wtulila twarz w jeden z jego rozpinanych swetrów, wdychając zapach wody po goleniu. Przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy wyszedł odświeżony spod prysznica i zaczęła zastanawiać się, co teraz robi. Prawie natychmiast uświadomiła sobie, że przecież relacjonuje mecz, transmitowany właśnie w telewizji.

Odwiesiła sweter i ruszyła w stronę komody. Listy nadal znajdowały się w szufladzie. Po bliższym przyjrzeniu się im stwierdziła, że zostały napisane na zwykłym papierze maszynowym, używanym w większości biur. Nie powiodło jej się też z ustaleniem typu maszyny, którą się posłużono.

Zamknęła szufladę. Znalazła pilota i zaczęła przerzucać kanały stojącego w nogach łóżka telewizora, próbując znaleźć ten, na którym transmitowano mecz. Kanałów było mnóstwo i Amy Jane przypomniała sobie, że widziała stojącą na podwórku antenę satelitarną, która najwidoczniej umożliwiała mu oglądanie hokeja na okrągło. Wreszcie udało jej się odnaleźć właściwy kanał. Max nie wyglądał najlepiej, a ubrany był tak, jakby zgubił gdzieś swój bagaż i nie zdołał go jeszcze odzyskać. Amy Jane uśmiechnęła się i wyciągnęła wygodnie na jego łóżku, by popatrzeć, jak się męczy.

11

„Przypominam, że oglądacie państwo mecz Lwów z St. Louis. Długi strzał przeciwnika został właśnie zastopowany przez Lance'a Thomure i Lwy wygrywają dwa do jednego”.

Max obwieścił zwycięski koniec kolejnej tercji. Dziś czuł się znakomicie, nie tak jak ostatnio w St. Louis, kiedy strzelił parę byków. Wyjazd w trasę dobrze mu zrobił. No i dziś nie zauważył blond fanki, której obecność tak zaniepokoiła go podczas poprzedniej transmisji. Jedyłą rzeczą, która go ostatnio zdenerwowała, było buszowanie Amy Jane po jego mieszkaniu pod pretekstem zainstalowania telefonu. Nie miał co prawda nic do ukrycia, ale sam fakt, że ktoś przebywa w mieszkaniu podczas jego nieobecności, dziwnie go zaniepokoił.

— Przeciwnicy byli dziś w doskonałej formie — stwierdził Corey. — Ritchie musiał bez przerwy uważać na bramkę i teraz wygląda, jakby za chwilę miał zemdleć.

— Powinien przystopować z imprezami. Za wcześnie świętuje wygraną. To, że zdobyliśmy dziś dwa punkty, wcale nie świadczy, że musi tak być nadal.

Przepowiednie Maxa spełniły się nader szybko. W trzeciej tercji przeciwnicy pozbierali siły i strzelili kilka goli, niweczając tym samym wszelkie plany świętowania przez Lwy zwycięstwa.

Kiedy Max przyszedł wieczorem do baru, nastrój panował w nim nienajlepszy. No i bar był niemal pusty. Lecz nie dość pusty. Niemal od razu po wejściu zauważył blond fanke, której miał nadzieję nigdy więcej nie spotkać. Uśmiechając się zmierzała w jego stronę. Pomyślał o ucieczce, lecz właśnie zawołał go James, prosząc, by podszedł do baru. Blondynka nachmurzyła się widząc, że Max nie zamierza do niej podejść.

— Amy Jane prosiła, żebyś do niej zadzwonił, jak tylko dotrzesz do domu — powiedział, nalewając Maxowi kufel zimnego piwa.

— A gdzie ona teraz jest?

— Śledzi kogoś na zlecenie firmy ubezpieczeniowej, ale ma być później w domu. Udało ci się rozwiązać tamten problem?

Max pokręcił przecząco głową.

— Jestem pewien, że Amy Jane wyjaśni to prędzej czy później. To uparty dzieciak.

— Kobieta.

— Co?

— Kobieta. Amy Jane jest kobietą.

— Zależy, jak kiedy, czasami straszny z niej dzieciak.

Max czuł wbity w siebie wzrok blondynki. Postanowił, że ją zignoruje, zamiast tego zachęcając Jamesa, by dalej mówił o swojej bratanicy.

— Opowiedz mi o Amy Jane — powiedział kołysząc kuflem, by wprawić piwo w ruch obrotowy, zamiast po prostu je wypić.

— A co chciałbyś wiedzieć? — spytał James, zręcznie nalewając drinki, których domagała się Miranda.

— Interesuje mnie na przykład, dlaczego jest taka uparta...

James roześmiał się.

— Chyba mam w tym swój udział. My, Chadwickowie, zawsze byliśmy dość ekscentrycznym plemieniem. Zauważyłeś być może, iż Claire jest na swój sposób tak samo uparta, choć ona akurat posługuje się różnymi sztuczkami, by osiągnąć cel. Amy Jane nie zwraca sobie tym głowy. Była ulubienicą ojca. Matka chciała zrobić z niej młodą damę w rodzaju Claire, lecz Amy Jane nie była w najmniejszym stopniu zainteresowana zasadami etykiety. Wiesz, dobre maniery i tym podobne... Zawsze chciała dotrzeć do prawdy, choćby ta miała okazać się bolesna. Sądzę, że chyba dlatego zniosła śmierć rodziców lepiej niż ja czy Claire.

— Dlaczego dotąd nie wyszła za mąż? Tylko mi nie mów, że nie lubi mężczyzn...

— Skądże znowu. Amy Jane ma takie samo szczęście do płci przeciwnej jak ja. Zawsze wybiera mężczyzn, o których

sądzi, że potrafi ich uratować — a których po prostu uratować się nie da.

Max zamilkł na chwilę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. A więc, jeśli chce zdobyć Amy Jane, musi pozwolić jej się ratować... Zdał sobie sprawę, że od dobrej chwili nie czuje na plecach niczyjego upartego spojrzenia. Nie chcąc ryzykować oglądania się, spytał Jamesa:

— Czy przy stoliku za mną siedzi jakaś blondynka?

— Zdecydowanie nie.

Odetchnął z ulgą. Być może znowu coś sobie wyobraził,

— Ona nie siedzi, ona tu idzie — wyjaśnił James.

— Co?

Ktoś poklepał go po ramieniu.

— Przepraszam pana...

Odwrócił się. To była ona.

— Czy mógłby pan podpisać mi się na kurtce? Mam już wszystkie autografy Lwów.

Max wziął pióro, które mu podała i stał, czekając aż zdejmie kurtkę. Po chwili stało się jasne, że dziewczyna nie ma zamiaru tego zrobić.

Odchrząknął.

— A gdzie mam się podpisać?

— Tuż nad moim imieniem — powiedziała, wskazując na naszywkę na swoim biuście.

Max popatrzył błagalnie na Jamesa, lecz ten tylko uśmiechał się głupawo, wycierając bar.

— Będzie pani musiała zdjąć kurtkę — powiedział w końcu.

— Ale wszyscy zawodnicy podpisali ją na mnie. Ta kurtka przynosi mi szczęście — powiedziała dziewczyna, odymając wargi. Jednak widząc, że Max nie zamierza ustąpić, zdjęła w końcu kurtkę i podała mu ją, jasno dając do zrozumienia, że nie jest zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Próbował ją ugłaskać pytając, co ma napisać. Robił to z grzeczności, lecz kierował nim także dodatkowy motyw. Gdyby udało mu się dowiedzieć, jak dziewczyna się nazywa, mógłby poprosić Amy Jane, by ją sprawdziła.

Blondynka namyślała się przez chwilę, po czym twarz jej się rozjaśniła.

— Może mógłby pan napisać: „Uściski, Max Armstrong” — zasugerowała.

Max nawet nie próbował się wykręcać. Posunął się nawet dalej, zdecydowany poznać przynajmniej jej imię.

— Jeśli to ma brzmieć bardziej osobiście, proszę powiedzieć mi, jak pani na imię.

— Chętnie. Proszę napisać: „dla Śpionszka”.

— Dla Śpionszka? — powtórzył Max rozczarowany. Nawet nie chciał wyobrazić sobie miny Amy Jane, gdy poprosi ją o sprawdzenie kogoś o takim imieniu.

— Jakie ładne przezwisko — powiedział, podpisując się na kurtce. — A jak się pani naprawdę nazywa?

— Hej, Armstrong, może byś nam powiedział, czemu tak się do nas przyczepiłeś? — zawołał Bobby McQuaid, zastępując mu drogę. Obok stał Richie Allen.

— Bo wy, chłopaki, nie wywiązujecie się ze swoich obowiązków. I z mojej kabiny widać to doskonale. Więc robię, co do mnie należy. Odczepię się od was, kiedy przestaniecie się włóczyć po barach, a zaczniecie więcej trenować. Sam talent nie wystarczy, trzeba jeszcze trochę popracować.

— Mówisz tak, bo sam już nie grasz — odezwał się Bobby. — Albo nie możesz znieść, że Kerry spotyka się teraz z Ritchiem, a nie z tobą. Wiesz, co myślę, Armstrong? Myślę, że jesteś po prostu zazdrosny.

— Dorośnij wreszcie, McQuaid.

— Przecież widzę, że z nikim się nie spotykasz. Może dalej zależy ci na Kerry, chociaż zrobiła cię w konia.

— Kerry nie zrobiła mnie w konia — powiedział Max i natychmiast tego pożałował.

Bobby trącił Richiego łokciem.

— Nie wiem, jak ty, ale ja chyba czułbym się oszukany, gdybym przyłapał swoją dziewczynę w łóżku z innym facetem.

Max odczuwał wielką ochotę, by przyłożyć mu w zęby, lecz opanował się. Mógłby co prawda przypomnieć, że był w teatrze z Amy Jane, lecz zdawał sobie sprawę, że nie brzmi to zbyt przekonująco. A poza tym ostatnio nikt go z nią nie widział.

— Daj spokój, Richie — powiedział Bobby widząc, że Max nie da się sprowokować do bójki. — Chodźmy stąd. Panie na nas czekają. Gdy w końcu wyszli, Max zamknął oczy, próbując się opanować. Chciał skończyć rozmowę z blondynką, lecz gdy się odwrócił już jej nie było. Cholera. Na wszelki wypadek zapytał Jamesa o dziewczynę, lecz on także nic o niej nie wiedział. Resztę popołudnia spędził więc dyskutując nad szansami Lwów w rozgrywkach o Puchar Stanleya. W porze zamknięcia w barze pozostał już tylko bramkarz, Tom Quinn i paru innych maruderów, którzy właśnie żegnali się przy drzwiach. Miranda dołączyła do nich, gdy skończyła liczyć kasę.

— Który z przystojnych dżentelmenów zechciałby odprowadzić mnie do samochodu? — spytała, przejęta nasilaniem się fali przemocy, o czym usłyszała ze szczegółami w wieczornym dzienniku.

— Ja cię odprowadzę — zaofiarował się Max.

Dziesięć minut później, gdy James już dawno zamknął swój lokal, nadal próbowali uruchomić samochód Mirandy.

James zajrzał pod maskę i stwierdził, że zepsuła się elektryka.

— Chcesz, żebym cię odwiózł? — spytał, zamykając maskę.

— Nie, Max mnie podwiezie. Mieszkam niedaleko niego.

— No dobrze, ale zadzwoń rano, jeśli będziesz potrzebowała, żeby cię dokądś podrzucić. Chyba że nie chcesz, żeby widziano cię z takim staruszkim — drażnił się z nią.

— Chwileczkę, ja też jestem starszy — powiedział Max.

— Dajcie spokój, lubię starszych panów. Czuję się przy nich bezpieczna.

— W porządku, dopóki to nie są bogaci starsi panowie. Bo wtedy ja odpadam z konkurencji. — James popatrzył znacząco na luksusowy samochód Maxa, po czym wsiadł do swego skromnego sedana i odjechał.

— On cię chyba lubi — powiedział Max, otwierając przed Mirandą drzwi.

Miranda zaśmiała się.

— James w ogóle lubi kobiety. Jest niepoprawnym flirciarzem.

— Może i tak — zgodził się Max. — No to, gdzie mieszkasz? — spytał, sadowiąc się za kierownicą.

— Na Crevé Coeur, w Ballas off Olive — wyjaśniła, przesuwając rękami po skórzanym siedzeniu z wyraźną przyjemnością.

— A gdzie mieszka James? — spytał, kierując się w stronę autostrady.

— Nie mam pojęcia — przyznała Miranda.

— Więc skąd wiesz, że ja mieszkam bliżej?

— Chciałam przejechać się twoim samochodem. Czy nie jest wspaniały? Założę się, że z takiego wozu w ogóle nie chce się wysiadać.

— Samochód jak samochód. — Max wzruszył ramionami. Osiągnął już na tyle wysoki status, że przedmioty nie wydawały mu się godne zbyt wielkiego pożądanía. Czasami trudno mu było się powstrzymać, by nie przyjmować rzeczy luksusowych jako czegoś, co mu się należy nie dlatego, że nie doceniał tego,

co udało mu się osiągnąć, lecz po prostu z powodu nieustannego braku czasu.

— To co ja zostawiłam na parkingu, to był samochód, to tutaj... to raj.

Mile połehtany w swojej próżności i nieco poruszony zatrzymał samochód przy krawężniku, obok bloków mieszkalnych i niedaleko wjazdu na autostradę. Wyłączył silnik, po czym odwrócił się do Mirandy.

— Chciałabyś poprowadzić? — spytał, kołysząc kluczykami przed jej twarzą.

— Żartujesz sobie ze mnie? — spytała, nieco przestraszona.

— Ależ skąd. No, dalej. Ty znasz drogę do swojego mieszkania, a ja nie. Będę jechał zygzakami. A poza tym, choć nauczyłem się saczyć jedno piwo przez godzinę i mogę potem jechać bezpiecznie, to ty nie piłaś w ogóle. To przesądzone — zostajesz moim kierowcą.

Nie musiał powtarzać jej tego dwa razy. Jazda zygzakami nie wchodziła w rachubę. Okazała się całkiem dobrym kierowcą, ze zręczną ręką do kierownicy, choć przejawiała pewną skłonność do nadużywania pedałów.

— Zawsze tak jeździsz? — spytał, gdy zjechali z autostrady, kierując się ku Olive Boulevard.

— Nie, ale też rzadko trafia mi się szansa prowadzenia takiego samochodu.

Po pięciu minutach byli już przy jej mieszkaniu.

— Może wpadłbyś na kawę? — zaproponowała parkując samochód.

— Trochę późno...

— Nalegam. No chodź, zabrałeś mnie na przejażdżkę. I pozwoliłeś mi prowadzić. I nawet nie narzekałeś, że jadę za szybko. Pozwól, że przynajmniej poczęstuję cię kawą, zanim pojedziesz do domu.

— No, dobrze — zgodził się niechętnie.

— Wspaniale.

Wcale nie tak znowu wspaniale, pomyślał, kiedy zobaczył jej mieszkanie. Wyglądało jak kaplica poświęcona hokejowi. Były tu kije, kostiumy, czapeczki — wszystko, co tylko możliwe. Na ścianach wisiały plakaty i zdjęcia. Zauważył nawet jedno swoje. Kiedy przyglądał się tym wszystkim cennym pamiątkom, Miranda przygotowywała kawę. Mógłby się założyć, że dokładnie pamięta, w jaki sposób zdobyła każdą z tych rzeczy.

— Masz tu swoją kawę — powiedziała, stawiając filiżankę na stoliku.

Czy jej ręka trochę zbyt długo pozostała w jego dłoni, gdy podawała mu łyżeczkę? Co się z nim dzieje? Przecież to jeszcze dzieciak. Dzieciak, który uwielbia hokej. Ta sprawa z tajemniczą wielbicielką doprowadza go do szaleństwa. Niedługo zacznie podejrzewać wszystkich.

Napił się kawy.

— Dobra — pochwalił.

— A może byś coś zjadł? Mogę ci zrobić kanapkę.

— Nie, dziękuję, wypiję tylko kawę. żeby się obudzić i pojadę.

— Może byś najpierw zdjął koszulę? — powiedziała, gdy przechylił filiżankę, by wysączyć resztkę kawy z dna.

— Co? — omal się nie zakrztusił, przelękając pospiesznie gorący płyn.

— Jeśli zdejmiesz koszulę, postaram się usunąć tę plamę z atramentu — wyjaśniła.

Max popatrzył w dół. Rzeczywiście, na przedzie koszuli widniała pokaźna smuga barwy atramentu, bez wątpienia pamiątka po jego blond fance. Ciekawe, czy zrobiła to celowo, pomyślał.

— To żaden kłopot, naprawdę.

— Nie, nie trzeba. Mam bardzo dobrą pralnię. Potrafią wyczyścić każdą plamę, nawet z krwi.

Miranda popatrzyła na niego zdziwiona.

— No, to nie znaczy oczywiście, żeby kiedyś musieli... lepiej już pójde. Dzięki za kawę — powiedział wstając.

Odprowadziła go do drzwi.

— Max? — powiedziała miękko.

— Tak?

Uniosła się na palcach i przycisnęła wargi do jego ust.

— Dzięki, że mianowałeś mnie swoim kierowcą.

— Taak, muszę już lecieć — odparł uciekając pośpiesznie.

*

Amy Jane czuła się niczym nastolatka, czekająca na telefon od swego chłopaka. Tyle, że Max nie dzwonił. Na oświetlonej tarczy zegarka północ minęła już jakiś czas temu. Kogo chciała oszukać? Od czasów szkoły często tkwiła tak przy telefonie. Coś w niej było takiego, co kazało jej wiązać się z mężczyznami, którzy nie mogli lub nie potrafili dotrzymać obietnic. Ale tym razem to po prostu sprawa służbowa, wmawiała sobie uparcie. Max Armstrong, sprawa służbowa. Racja. A szwajcarska czekolada z migdałami to zwykle lody. No cóż, miała jeszcze Davida Lettermana. Jedyne go mężczyznę, który nigdy jej nie zawiódł. Stary, poczciwy Letterman ze swoim ubraniem khaki, pionierkami i przemądrzałym uśmiezkiem był czymś tak swojskim i wygodnym, jak druga skóra. Łączył ich brak szacunku wobec upozowanych, nadętych autorytetów, które w pełni zasługiwały na to, by je wyśmiać. On potrafił pozostać na zewnątrz tego wszystkiego. I nigdy nie tracił równowagi.

Nowy program zaczął się od: „Nie będę grzeczny, nie zmusicie mnie do tego”, a skończył: „No i co, czyż nie było wspaniale? Mogę prowadzić show uprawiając jogę, a i tak

zdołam was rozśmieszyć”. Bez wątpienia doskonale udawał głupka — rodzaj sztuki komicznej, który doprowadził do absolutnej perfekcji.

Amy Jane dziwiła się czasem, dlaczego mężczyźni nie zdają sobie sprawy, że jeśli potrafią kobietę rozśmieszyć, to już odnieśli połowę sukcesu. A jeśli jeszcze dzwonią, gdy ona czeka na ich telefon, sukces jest gwarantowany. I oto właśnie telefon zadzwonił, przerywając nocne rozważania. Przesunęła ręką po kablu, odnalazła aparat pod stertą ubrań i podniosła słuchawkę. Gdy usłyszała głos Maxa, specjalnie zrzuciła ją z widełek, zdając sobie sprawę, że spowodowany tym hałas nie będzie przyjemny dla jego uszu. Gdy ponownie ją podniosła, Max nadal tam był.

— Halo, halo...

— Jestem, przepraszam, spadła mi słuchawka — skłamała, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem.

— James przekazał mi wiadomość od ciebie po południu, kiedy przyszedłem do baru po meczu, ale dopiero teraz dotarłem do domu. Czy już za późno na telefon?

— Tak — odparła zirytowana, z trudem powstrzymując się od zapytania, gdzie się do cholery podziewał. Bar zamykają przecież o jedenastej. A potem usłyszała swój głos, pytający go oto i niemal jęknęła z rozpaczy nad swoją głupotą. Na pewno pojechał do wschodniej dzielnicy, gdzie barów w ogóle nie zamyka się na noc. To, co powiedział, tylko pogorszyło sprawę. Z niedowierzaniem słuchała jego wyjaśnień.

— Odwiozłem do domu Mirandę. Miała jakieś kłopoty z samochodem.

— Rozumiem.

Mała, sprytna Miranda Sherman. Teraz już wiedziała. Nawet więcej, niż by sobie życzyła. No cóż, Max nie ma przecież wobec niej żadnych zobowiązań i jeśli chce umawiać się z nastolatkami, to jego sprawa.

— Dlaczego dzwoniłaś? — spytał.

— Chciałam się dowiedzieć, czy miałaś jakiś kontakt ze swoim prześladowcą. Jakies listy lub prezenciki? Głuche telefony?

— Nie, na razie spokój. Choć nie, było parę głuchych telefonów.

— I?

— No tak, nacisnąłem przycisk z gwiazdką, żeby połączyć się z numerem, z którego do mnie dzwoniono, lecz z tamtej strony usłyszałem tylko sygnał.

— Spróbuj jeszcze raz, jeśli to się powtórzy. Może w końcu będziemy mieli szczęście.

— A co u ciebie? Złapałaś jakichś złoczyńców? James mówił, że pracujesz.

— Niestety, też mi się nie powiodło.

— Słuchałaś może transmisji, siedząc w samochodzie? To było naprawdę emocjonujące!

Zastanawiała się, czy przyznać, że istotnie słuchała transmisji. Mogłaby w ten sposób zdradzić się ze swoim pozazawodowym zainteresowaniem klientem.

— Słuchałam — powiedziała w końcu niezobowiązująco.

— Nad czym pracowałaś dziś wieczorem? Coś tak smakowitego, jak zdrada małżeńska? Założę się, że znów zaglądałaś komuś w okna...

— Nieprawda!

— Czy mógłbym pójść z tobą następnym razem?

— Nie włączę się po okolicy zaglądając ludziom w okna — oświadczyła oburzona.

Max zaśmiał się, najwyraźniej zadowolony z faktu, że udało mu się wyprowadzić ją z równowagi.

— Daj spokój, Amy, po co ktoś miałby zostawać prywatnym detektywem, jeśli nie jest wścibski?

— Żeby pomagać ludziom — powiedziała z uporem. — Dobranoc, Max. Idę spać i tobie radziłabym zrobić to samo — dodała i odłożyła słuchawkę.

Gdy tylko się rozłączyła, przyszło jej na myśl, że Max docinał jej, bo zaglądała przez okno do jego sypialni.

Jeszcze raz wykręciła jego numer, a gdy się odezwał, po prostu odwiesiła słuchawkę, nie wiedząc, co właściwie mogłaby mu powiedzieć. W chwilę później zadzwonił jej telefon. Już wyciągała rękę, by go odebrać, gdy zdała sobie sprawę, że Max na pewno nacisnął ten cholerny przycisk z gwiazdką. Telefon dzwonił i dzwonił, lecz nie podniosła słuchawki. Uśmiechnęła się. Być może Max także nie będzie dziś mógł zasnąć. Dobrze by mu to zrobiło. Problem polegał na tym, że jej też zupełnie odechciało się spać.

Czy to, że odwiózł Mirandę, miało w ogóle jakieś znaczenie? A jeśli tak, to jakie? Dziewczyna nie ukrywała swego zainteresowania, a ta sprawa z samochodem mogła być po prostu sprytną sztuczką. Ciekawe, czy Max...?

Wstała i zeszła do kuchni, by zobaczyć czy w lodówce nie ma przypadkiem szwajcarskich lodów migdałowych. David Letterman i lody. Powinna zrobić coś ze swoim życiem, myślała stojąc w ciemnej kuchni, w świetle otwartej lodówki i wyjadając łyżeczką lody z pudełka.

*

Następne popołudnie zastało Maxa na imprezie charytatywnej, która odbywała się przed kolejnym meczem Lwów. Przysłuchiwał się właśnie ostatniemu mówcy, podziwiając wewnątrz historycznego Klubu Sportowego Missouri, gdzie wszystko pozostało tak jak w czasach, gdy mężczyźni byli naprawdę mężczyznami, a kobiety siedziały w domu, gdzie było ich miejsce.

Ostatnio przyjęto co prawda kilka kobiet, gdyż czasy się zmieniły, lecz miejsce ciągle miało tę jakże przyjemną atmosferę klubu dla panów. Ściany pokrywała ciemna boazeria i wisiały na nich prawdziwe obrazy, wewnątrz zaś pełne było starych, solidnych mebli.

Popatrzył na podium. Wszyscy mężczyźni wyglądali na zadowolonych i sprawiali wrażenie właściwych osób na właściwym miejscu. Wręcz przeciwnie niż Chantal Perry. Nietrudno było się domyślić, co sądzi o tym miejscu. A Amy Jane z pewnością podzieliłaby jej opinię. W końcu przemówienia się skończyły i wszyscy ruszyli na stadion.

Plan szybkiej ewakuacji Maxa nie powiódł się z powodu gadatliwego członka klubu, którego syn także był hokeistą.

*

Amy Jane siedziała na trybunie, obserwując mecz Lwów i zastanawiając się, dlaczego w kabinie sprawozdawcy nie ma Maxa. Zglądała tam kilka razy, lecz pracowali tylko Corey i Chantal. Co takiego mogłoby skłonić Maxa do zlekceważenia tak ważnego meczu? Pytała o niego Coreya i Chantal, lecz żadne z nich nie wiedziało, gdzie Max się podziewa. Ostatnio widzieli go podczas imprezy dobroczynnej, w której wszyscy troje brali udział. Czy był z Mirandą? Nie, z pewnością nie zrobiłby takiego głupstwa. To był zbyt ważny mecz.

A może coś mu się stało? Czyżby jego prześladowca przeszedł od słów do czynów — lub wynajął kogoś, by zrobił Maxowi krzywdę?

— Widziałas to? — krzyknęła Claire, zrywając się na równe nogi.

— Co takiego? — spytała Amy Jane wstając.

— Nie oglądasz meczu? Ten chuligan z Czerwonych Skrzydeł popchnął Bobby'ego od tyłu i Bobby o mało nie uderzył głową w bandę. Widzisz, dostał dwie minuty kary.

Amy Jane próbowała skupić się na grze, przyglądając się, jak Bobby zdobywa decydujące gole, lecz nie potrafiła przestać myśleć o Maxie. Gdzie on się podział? Wreszcie wstała, nie mogąc dłużej usiedzieć.

— A dokąd to znowu? — spytała Claire, z trudem odrywając oczy od lodowiska.

— Idę jeszcze raz do kabiny sprawozdawców, żeby zobaczyć, czy Max się nie pokazał.

— Przynieś mi colę, gdy będziesz wracała — zażyczyła sobie Claire ze wzrokiem znów wbitym w rozwijającą się na lodowisku akcję.

*

Kiedy wreszcie Maxowi udało się uwolnić od natarczywego rozmówcy, w klubie nie było już prawie nikogo. Wsiadając do pustej windy, popatrzył na zegarek. Ledwie wystarczy mu czasu, by dojść do kabiny, zanim mecz się rozpocznie. Jednak prawdziwe kłopoty pojawią się, jeśli na drodze będą korki. Nacisnął guzik, by zjechać z piętra, na którym znajdowała się główna jadalnia. Drzwi windy zamknęły się z cichym sykiem. Przez chwilę dźwig opuszczał się spokojnie, a potem gwałtownie się zatrzymał. Cholera. Popatrzył na tablicę z przyciskami i spróbował ponownie nacisnąć przycisk parteru, łudząc się, że ten po prostu się zablokował. Winda ani drgnęła. Nacisnął czerwony guzik alarmu, lecz nie rozległ się żaden dźwięk. Spróbował więc jeszcze raz, a potem jeszcze kilka razy. Podniósł słuchawkę telefonu alarmowego, lecz nie usłyszał sygnału. Wspaniale. Teraz już na pewno się spóźni. Choć próbował wszystkiego, winda pozostała nieruchoma, nikt też nie

pospieszył mu z pomocą. Boże, jak nienawidził rzeczy, które wymykały się spod kontroli!

Kiedy paskudne urządzenie wreszcie ruszyło, był już spocony, zmęczony i zdenerwowany faktem, że stracił okazję relacjonowania meczu o mistrzostwo rozgrywek. Gdy znalazł się wreszcie na parterze, spodziewał się ujrzeć technika naprawiającego dźwig, lecz przy windzie nie było nikogo. Najwyraźniej naprawiła się sama.

Kiedy tylko wyjechał z parkingu, włączył radio, jak zwykle nastawione na stację transmitującą rozgrywki.

„McQuaid przerzuca krążek ponad lewym ramieniem bramkarza i strzela swego drugiego już dziś gola, ustalając rezultat na trzy do jednego pod koniec trzeciej tercji!”

„Wygląda na to, że Lwy wracają na stadion Joe Louisa z trzypunktową przewagą nad Czerwonymi Skrzydłami. Ritchie Allen rozgrywa wspaniały mecz, walcząc dodatkowo z wyjątkowo złośliwym atakiem przeziębienia”.

Max zmarszczył brwi, przysłuchując się, jak Corey Cohen i Chantal Perry relacjonują mecz, jakby robili to razem od lat. Jeśliby jeszcze miał jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, jak bardzo jest zbędny, to teraz dobitnie się o tym przekonał. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że awaria windy mogła nie być tak zupełnie przypadkowa. Czyżby kolejna tajemnica?

12

— Gdzie, do diabła, podziewałeś się dzisiejszego wieczoru?
— spytał James Chadwick, gdy Max i Amy Jane weszli do baru wraz z falą kibiców, którzy przybyli, by uczcić zwycięstwo Lwów.

— Utknąłem w windzie — wyjaśnił Max.

— Ze Słodziutką? — mrugnął porozumiewawczo James.

— Nie, ja byłem na meczu. Z Claire.

— Jestem zgrzany i chce mi się pić — poskarżył się Max.
— Myślałem, że nigdy nie wydostanę się z tej przeklętej windy. Już całe moje życie zaczęło przesuwac mi się przed oczami.

— No cóż, z pewnością potrafię coś poradzić na twoje pragnienie — powiedział James — ale co do zgrzania...

— Po prostu przyślij nam dzbanek piwa — poprosiła Amy, dając mu wzrokiem znak, by milczał.

James tylko się zaśmiał na ten pokaz stanowczości i zdecydowania.

— A gdzie Claire? — spytał.

— Zaraz tu będzie. Czekaj, aż Bobby się przebierze.

— Taak, cały świat czeka, aż Bobby się przebierze, lecz charakteru nie zmienia się wraz z ubraniem. Obawiam się, że Bobby już zawsze pozostanie zabijaką — mruknął James. — Nie mogę uwierzyć, że Claire wciąż się nim interesuje. On nie jest w ogóle w jej typie.

— Ona twierdzi, że jest — odparowała Amy Jane.

— Zastanawiam się, czy tylko pech sprawił, że zaczął się z nią umawiać.

Max i James wymienili spojrzenia, co nie uszło uwagi Amy Jane. Postanowiła jednak, że porozmawia o tym później, gdy już usiądą.

— O co chodziło?

— Z czym? — spytał niewinnie Max, udając że nie wie, o co jej chodzi.

— Z tym porozumiewawczym spojrzeniem.

— Nie było żadnego porozumiewawczego spojrzenia.

— Wiesz, że nie odpuszczę, dopóki nie powiesz mi, co ukrywacie. Więc o co chodziło?

— Doprawdy nie mogę sobie wyobrazić, jak wuj może nazywać cię „Słodziutka”. Wcale taka nie jesteś, wiesz o tym doskonale.

— Przestań kręcić.

- Nie wiem, czy powinienem ci powiedzieć...
- Powiedz tak czy inaczej.
- Jeśli już musisz wiedzieć, Bobby chciał najpierw umówić się z tobą — powiedział Max, ze śmiechem.
- To wcale nie takie śmieszne.
- A kto mówi... — Max nie przestawał się śmiać, dopóki Amy Jane nie zdjęła zakrętki z butelki z ketchupem i nie uniosła jej nad jego głową.
- Odlóż to, powiem ci. Mam dość wrażeń, jak na jeden dzień. Otóż pewnego wieczoru James przyznał się, że ma dwie bratanice. Bobby twierdził, że z pewnością któraś z was zgodzi się z nim umówić. Zniechęciliśmy go do próbowania tego z tobą.
- Dlaczego? — spytała. Nie dlatego, że miałyby ochotę umówić się z Bobbym, lecz dlatego, iż wszystkie dziewczyny lubią, gdy się je o to prosi.
- Powiedzieliśmy mu, że grozi to śmiercią lub kalectwem. I że jesteś prawdziwą specjalistką od wbijania szpilek.
- Wspaniale, zabrzmiało to tak, jakby wszyscy mężczyźni powinni mieć się przede mną na baczności.
- Ja z pewnością mam się na baczności.
- I dlatego tu ze mną siedzisz?
- Siedzę tu, ponieważ jestem bardzo odważny. A poza tym chciałbym, żebyśmy zaczęli naprawdę ze sobą chodzić.
- Już to przerabialiśmy. Mówiłam ci, że nie umawiam się z klientami.
- Wiem, wiem — powiedział Max, unosząc ręce w geście obrony. — Lecz pomyślałem sobie, że tym razem mogłabyś zrobić wyjątek.
- Nadeszła Miranda, dźwigając pokaźny dzban piwa.
- Chciałbyś może hamburgera, albo coś innego? — spytała, zwracając się do Maxa.
- Może być hamburger. A co dla ciebie, Amy?
- Ja wezmę cebulę.

— To nie jest dobry początek, jeśli mamy zacząć się spotykać — powiedział, gdy Miranda odeszła do innego stolika. „Cebula”

— Dlaczego? Lubię cebulę. Spytaj wuja, jeśli mi nie wierzysz.

Max ukrył twarz w dłoniach. Po chwili spojrział na nią i zapytał:

— Dlaczego jesteś taka ostra?

Nie była wcale ostra. Była miękka niczym galaretką. No cóż, powiedzmy, niczym dobrze zestalona galaretką.

— Może po prostu nigdy dotąd nie umawiałaś się z dorosłymi kobietami?

— Posłuchaj, czy nie mogłabyś przynajmniej udawać, że mnie lubisz? Wystarczy mi już ta historia z anonimową wielbicieleką. Trudno mi się skoncentrować. Nie dość, że dostaję bzika, to jeszcze strzelam byki podczas transmisji. Mówię ci o tym na wypadek, gdybyś sama jeszcze nie zauważyła. Popadam w paranoję, dziś nawet zacząłem się zastanawiać, czy ta zepsuta winda to aby na pewno był przypadek. Uważam, że gdybyśmy zaczęli się otwarcie spotykać i gdybyś okazała, że bardzo mnie lubisz, to ona by się zniechęciła.

— Albo zrobiła coś niebezpiecznego — dodała Amy Jane.

— Nie zależy mi. Niech to się już raz skończy. Muszę wiedzieć, kto się za tym kryje.

— Jesteś pewny?

Skinał głową.

— No dobrze, a zatem jesteśmy parą. Ale to tylko na niby, rozumiesz? Nie chcę żadnych niedomówień.

— Wszystko rozumiem.

Jak to miło, że ktoś tu dobrze orientuje się w swoich uczuciach, pomyślała Amy Jane, bo co do niej, to z pewnością nie mogła tego o sobie powiedzieć. Jej uczucia wobec Maxa zmieniały się niczym w kalejdoskopie. To pragnęła go chronić,

to znów zdobywać. Co za galimatias! Nie potrafiła kontrolować swoich emocji, a zwłaszcza tego, o czym podświadomie doskonale wiedziała, że jest zwykłym, staromodnym pożądaniem. Na przykład teraz. Wydawał się taki blady i zmęczony. Miała ochotę przytulić go i ukołysać. Wyglądał tak apetycznie... Ojej, czyżby rzeczywiście głośno jęknęła?

— Co się stało? — spytał, świadomy, że mu się przygląda.

— Nawet jeśli bym zrezygnowała ze swoich zasad i tak nic by z tego nie wyszło. Nie jesteś odpowiednim dla mnie facetem.

— Nie jestem odpowiednim... — powtórzył.

— Jesteś Kozioroźcem, a ja Panną — oświadczyła, jakby to wyjaśniało wszystko.

— Nie mówisz tego poważnie. Chyba nie wierzysz w te bzdury, prawda? — spytał.

Podeszła Miranda, przynosząc im hamburgery. Na szczęście zaraz odwołano ją do innego stolika.

— Mówię poważnie. Ty jesteś Kozioroźcem, a ja Panną. Zanudzilibyśmy się razem na śmierć.

— Być może. Gdybym był Kozioroźcem. Ale nie jestem.

— Chyba mówiłeś, że masz urodziny za dziesięć miesięcy.

— Skłamałem.

— Skłamałeś.

Skinał głową i odgryzł potężny kęs hamburgera. Pozwolił jej przetrwać ten fakt, posilając się tymczasem.

— Więc kiedy są w końcu twoje urodziny?

— W przyszłym tygodniu.

— Czyli jesteś...

— Bykiem.

Nie było powodu, żeby wyglądał na tak zadowolonego z siebie. Kozioł czy byk, niewielka różnica. Obaj uparli do niemożliwości.

— Masz rację, jestem uparty — powiedział, jakby czytał w jej myślach.

- Władczy — to bardziej właściwe określenie.
- Więc kiedy odbędzie się moje urodzinowe przyjęcie? — spytał, podkradając z jej talerza cebulę.
- Klepnęła go po ręce.
- Jakie przyjęcie? — spytała, pogryzając hamburgera.
- Naopowiadałaś wszystkim, że urządzasz dla mnie urodzinowe przyjęcie. Chyba powinnaś to zrobić. Może stałoby się coś, co pomogłoby nam rozwiązać tę zagadkę.
- Niewykluczone. Porozmawiam z Claire. Ona zna się na organizowaniu przyjęć. Może być całkiem przyjemnie.
- A więc sądziłaś, że nasze znaki nie pasują do siebie — żartował. — To interesujące, bo nie ma większych uparciuchów niż Byki i Panny.
- Nie powiedziałam, że sądziłam...
- Twój znak... — wyjaśniał Max.
- Ach, tak — poczuła, że się czerwieni.
- Opowiedz mi o sobie coś więcej — poprosił.
- Nie, najpierw ty — odparowała, bawiąc się sałatą z hamburgera. — Jak to możliwe, że taki przystojny facet dotąd się nie ożenił?
- Uważasz, że jestem przystojny? — spytał z błyskiem radości w oczach.
- Wiesz, o co mi chodzi.
- No tak, teraz się okaże... Żył ze swoją matką, miał jakiś nałóg albo przebierał się w damską bieliznę... lub może...
- Taak, na pewno uważasz, że nie potrafię się oświadczyć. O tym myślałaś?
- No cóż, ile masz lat, trzydzieści pięć?
- Mógłbym zapytać cię o to samo.
- Ja na pewno nie mam trzydziestu pięciu.
- Ale dobijasz trzydziestki — uśmiechnął się kaśliwie — to jak czterdziestka u mężczyzny, prawda?

— Tylko nie zaczynaj z tym nonsensem, że „mężczyźni ładniej się starzeją”, bardzo cię proszę. To bzdura wymyślona przez media, którymi rządzą mężczyźni.

— A ty co, jesteś feministką? Czy wyskoczyłaś z łona matki pytając, dlaczego lekarz nie jest kobietą?

— Nie, ale podobno strasznie się skarżyłam — odparła. — Ojciec zwykle mawiał, że moje krzyki słyszano z pewnością w trzech hrabstwach.

— Będę o tym pamiętał.

Kopnęła go pod stołem.

— Ojej!

Amy uśmiechnęła się niewinnie.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Ty mi powiedz.. Jak sądzisz, dlaczego dotąd się nie ożeniłem?

— Żadna cię nie chciała? — drażniła się z nim.

Na twarzy Maxa odmalowało się przemożne pragnienie kopnięcia jej pod stołem. Uratowały ją tylko jego dobre maniery.

— Dobrze, powiem ci prawdę. Nie spotkałem dotąd kobiety, która sprostałaby wszystkim moim wymaganiom.

Wspaniale. A zatem chodzi o to... Zaciśnęła zęby i ruszyła do ataku, jak zawsze ciekawska i impulsywna.

— Jakie wymagania?

— Nie uważasz, że jesteś wścibska?

— „Ciekawa” to chyba lepsze określenie.

— No dobrze, niech ci będzie. Moje wymagania. Potrzebuję kogoś z poczuciem humoru.

— Dlaczego, bo sam go nie posiadasz?

— Oczywiście, że nie. Ale uważam, że poczucie humoru jest czymś bardzo ważnym w związku. Można znieść bardzo wiele, jeśli jest się z kim pośmiać.

Tak, oczywiście. To, że jego preferencje tak dokładnie jej odpowiadały, wydało się Amy Jane niepokojące.

— Co jeszcze?

— No cóż, bardzo dużo pracuję...

W życiu liczy się nie tylko praca. Tak przynajmniej powinno być, lecz nie była o tym do końca przekonana. To praca pomogła jej powrócić do równowagi po śmierci rodziców. I nie chodziło tylko o wykonywanie czynności, do których przywykła, takich jak odkurzanie czy polerowanie sreber w pensjonacie. Brrr... To z pewnością mężczyzna wymyślił te wszystkie okropne domowe zajęcia. Ciągłe to samo: dzielny myśliwy i strażniczka domowego ogniska. My polujemy, wy oporzadzacie zwierzyne. My budujemy dom, wy go sprzątacie.

— Wiesz, co myślę? — powiedziała. — Uważam, że mężczyźni są zepsuci. Nie chcą stracić dziewczyny, ale też nie chcą się z nią ożenić, bo jeśli trafi się atrakcyjniejsza zdobycz, to nie będą mogli się z nią spotykać. Gdyby małżeństwo nie było przeszkodą w umawianiu się z innymi, mężczyźni żeniliby się ot, tak — pstryknęła palcami.

Max odstawił kufel z piwem i uśmiechnął się.

— Widzę, że dużo o tym myślałaś.

— Niespecjalnie. Nie trzeba tak znowu wiele rozmyślać, by zorientować się, że mężczyźni lubią urozmaicenie. Dlatego wymyślili pilota do telewizora — powiedziała triumfująco.

— Nie, mężczyźni chcą, żeby ich zabawiać. Jeśli uznają coś za zabawne, trzymają się tego.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, łaskawie przyjmując jego punkt widzenia, a nawet uznając się za pokonaną. Zdawała sobie sprawę, że jako dostarczycielka rozrywki nie jest bez szans.

— Hej, Armstrong, widzę, że jeszcze żyjesz. Co się stało, utknąłeś w korku? — krzyknął Bobby, przepychając się wraz z Claire do ich stolika.

Max wstał i usiadł obok Amy Jane, pozostawiając im przeciwną stronę stolika.

— Utknąłem w windzie — wyjaśnił, gdy usiedli.

— A ja myślałem, że to bumelka — powiedział Bobby nieprzyjemnym tonem.

— A więc to o to chodziło — wtrąciła Claire.

— Amy Jane szukała cię przez cały wieczór. Chyba niewiele meczu obejrzała. Bez przerwy latała na górę do kabiny sprawozdawcy, żeby sprawdzić, czy już się pojawiłeś.

Max otoczył Amy Jane ramieniem i przycisnął do swego boku, w pełni wykorzystując sytuację.

— Miło wiedzieć, że ktoś się o nas troszczy — powiedział, uśmiechając się do niej.

— Może poszłabyś ze mną do toalety, Claire? — spytała Amy Jane, gdy Miranda podeszła, by przyjąć zamówienie.

— No pewnie. Toaleta na stadionie nie dość, że znajdowała się w odległości mili, to jeszcze trudno było się tam dostać.

— Możemy tylko mieć nadzieję, że pewnego dnia kobiety wezmą się do projektowania obiektów sportowych i wtedy będzie tam więcej damskich toalet — rzuciła Amy Jane, gdy z pewnym trudem wydostawała się zza stolika.

— Chcecie coś zamówić? — spytała Miranda, widząc, że odchodzą.

— Bobby, zamów coś dla mnie — poprosiła Claire, dołączając do Amy Jane.

Widać było, że Miranda miałaby ochotę na pogawędkę, lecz do stolika podeszła Chantal, by pogratulować Bobby'emu zdobytych bramek.

— Słyszałeś? — Bobby przeniósł wzrok z Chantal na Maxa. — Powiedziała, że dobrze grałem. Może ty byś też kiedyś spróbował?

Max pociągnął łyk piwa i odstawił kufel.

— Mówię to zawsze, kiedy grasz dobrze, tak jak na przykład dziś wieczorem. A nawet kiedy się starasz, ale niezbyt ci wychodzi. Tylko nie wtedy, gdy zgadzasz się na remis, kiedy

możliwe jest zwycięstwo lub popisujesz się bez sensu, do czego masz skłonności.

— I tak powinniśmy bez trudu wygrać te rozgrywki

— powiedział Bobby chełpliwie.

— Muszę przyznać, że ja też tak uważam — zgodziła się Chantal. — Sądzę, że drużyna jest psychologicznie i emocjonalnie przygotowana, by zwyciężyć. Prawda, Max?

— Udowodnili, że dobrze radzą sobie ze stresem. — Spojrzał na Bobby'ego. — Myślę, że wszystko będzie dobrze, o ile nie zaczną czytywać porannych gazet, szukając dowodów swej chwały.

— Corey powiedział, że utknąłeś w windzie. Co się stało? — spytała Chantal, zmieniając temat.

— To po prostu jeden z tych „szczęśliwych” przypadków, które czasem się trafiają. Siedziałem tam wystarczająco długo, by życie zaczęło przesuwac mi się przed oczami.

— I tak miałeś szczęście. Mogła się zerwać lub coś takiego — powiedział Bobby, nalewając sobie kolejny kufel piwa z dzbanka, który zamówił.

— Chyba tak. A tak przy okazji, słyszałem końcówkę transmisji w samochodzie. Wspaniale się spisałaś.

— Tak, wiem. Corey bardzo mi pomógł.

— Naprawdę? Ze mną nigdy mu to się nie zdarza — skomentował Max.

— Może gdybyś miał lepsze nogi... — wtrącił Bobby, nie zdając sobie sprawy, że obraża w ten sposób oboje.

Claire i Amy stały przed lustrem w damskiej toalecie. Amy Jane przyglądała się, jak Claire poprawia makijaż. Nałożyła kropelkę perfum na wewnętrzną stronę nadgarstków. Zapach hiacyntów podrażnił nozdrza Amy Jane.

— Używasz tych samych perfum, co mama — stwierdziła.

Claire uśmiechnęła się.

— Sprawiają, że czuję się bliżej niej, zwłaszcza na wiosnę. Pamiętasz, jak każdej jesieni sadziła zawrotne ilości cebulek, niczym jakaś zwariowana wiewiórka, chowająca na zimę tony orzechów w miejsca, których nie jest w stanie spamiętać?

— Płakałam, kiedy hiacynty pojawiły się pierwszy raz po jej śmierci, i potem żonkile, narcyzy i lilie...

— Przestań, bo zaraz tusz mi spłynie. — Claire pociągnęła nosem, ścierając smużkę tuszu z kącika oka. — Mama mawiała, że cebulki są niczym brzydkie kaczątka, z których wyrastają potem prawdziwe piękności.

— Zawsze uważałam, że mówi o mnie. Ciągłe czekam, by rozkwitnąć.

— Przestań, Amy Jane, jesteś piękna.

— Jesteś moją siostrą i musisz tak mówić.

— Wiesz, że to nieprawda. A poza tym Max też tak uważa.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Bobby mi powiedział.

— Pamiętasz ten rok, kiedy pomagałyśmy przy sadzeniu tulipanów i posadziłyśmy je do góry nogami? — wspominała dalej Amy Jane, porzucając niebezpieczny temat Maxa.

Claire zachichotała.

— Tak, tatuś zabronił nam sadzenia na rok.

— Ale po roku znów nam pozwolił, bo nie znosił wkładania w dziury tych woniejących kulek naftaliny, które miały utrzymać gryzonie z dala od cebulek.

— Bobby naprawdę ci to powiedział? — nie wytrzymała Amy Jane.

— Naprawdę.

— Prawdopodobnie zrobił to, żebyśmy obie poczuły się zakłopotane — zachmurzyła się Amy, przyglądając się w lustrze swoim włosom, tworzącym wokół jej twarzy ciemną aureolę. — Dlaczego moje włosy zawsze wyglądają tak nieporządnie? Z prostymi jest łatwiej.

— Z tego samego powodu moje nigdy nie będą kędzierzawe, nawet gdybym chciała. To, jacy jesteśmy, zapisane jest w naszych genach.

— Boże, cóż za głęboka myśl! Uważasz, że w naszych genach zapisana jest szminka i strusie pióra, togi, brody i peruki...

— Myślę, że rodzice nigdy nie pogodzili się z tym, że nie chcemy iść w ich ślady. Czasami wydawało mi się, że podejrzewają, iż zamieniono nas w szpitalu — powiedziała Claire. — Może nie tyle ciebie, bo jesteś taka podobna do wuja Jamesa. To ja byłam odmieńcem.

— Ależ skąd, właśnie ty byłaś do nich podobna. Ciągłe bawiłaś się lalkami.

— Pamiętasz te wielkie przyjęcia, które urządzali? Były wspaniałe.

— Jak w ogóle udaje nam się bez nich żyć? — stwierdziła ironicznie Amy Jane.

— Brakuje mi przyjęć. Zwłaszcza tych po teatrze, które nie zaczynały się przed północą, a trwały często aż do świtu. Uwielbiałam się przyglądać, jak mama się ubiera. Często je nosiła. — Claire dotknęła naszyjnika z pereł. Amy Jane uśmiechnęła się.

— Pamiętam hałasy i zapachy z kuchni.

Zamknęła oczy, by choć na chwilę znaleźć się tam ponownie.

— I kwiaty. Wszędzie pełno było wazonów ze świeżymi kwiatami.

Amy Jane otworzyła szeroko oczy.

— Więc zróbmy to — powiedziała podekscytowana.

— Co? — spytała Claire, wrzucając tusz z powrotem do kosmetyczki w kolorowy wzorek.

— Przyjęcie. Urządźmy przyjęcie.

— Jakiego rodzaju przyjęcie?

- Urodzinowe. Urodzinowe przyjęcie — niespodziankę.
- Dla kogo? — spytała Claire, z trudem nadażając za siostrą.
- Dla Maxa, oczywiście.

*

Po powrocie do pensjonatu Max i Amy Jane zasiedli na bujanej ławeczce na werandzie.

— Chyba jestem już na to za stary — stwierdził Max, przysłuchując się skrzypieniu huśtawki.

— Za stary na co?

— Na flirty na werandzie. Stale mi się wydaje, że za chwilę z domu wyjdzie twój tata i powie mi, że pora się zbierać.

Amy Jane zaśmiała się.

— Mój tata nie był taki. Już raczej siedziałby tu z tobą, zanudzając cię historyjkami, dopóki nie zwałbyś do domu. A jeśli już o tym mówimy, jeśli Bobby zaraz nie wyjdzie, będę musiała tam wejść i głośno chrząknąć.

— Rozumiem, opiekuńcza starsza siostra, prawda?

— Claire jest taka...

— Wiem.

— A ja nie wiem, co ona widzi w tym Bobbym McQuaidzie — szepnęła.

— Przyciąganie przeciwieństw? — podsunął.

Dźwięk otwieranych głośno drzwi przerwał rozmowę.

Bobby właśnie wychodził.

— Pora iść — stwierdził, zatrzymując się przy werandzie.
— Jutro mecz na wyjeździe. Muszę się wyspać. A co z tobą, Max, idziesz?

— Nie, zwykle późno się kładę. Do zobaczenia jutro na lotnisku. Dobranoc.

Odprawiony w ten sposób Bobby wyszedł.

— A tak dla przypomnienia, my nie flirtujemy.

— Wiem. Tak tylko powiedziałem. To miejsce przypomina mi mój dom rodzinny. Nie była to z pewnością posiadłość taka jak ta, lecz skromna farma. Ale odgłosy spokojnej nocy i rozgwieżdżone niebo są takie same. Moi rodzice już nie uprawiają ziemi, lecz nadal mieszkają na farmie.

— Założę się, że bardzo są z ciebie dumni.

Max westchnął.

— Chyba tak. Choć trudno im było pogodzić się z tym, że nie interesuje mnie prowadzenie farmy. I że chcę przeprowadzić się do dużego miasta. A poza tym, ponieważ nie mam rodzeństwa, jestem ich jedyną nadzieją, jeśli chodzi o wnuki, a jak do tej pory jakoś się na to nie zanoszą.

— Często odwiedzasz rodziców?

— Niezbyt. Oczywiście jeżdżę do domu na wakacje. Ale raczej kontaktujemy się ze sobą telefonicznie.

— Muszą czuć się samotni.

— Nie jest tak źle. Mają siebie nawzajem. Są naprawdę dobrym małżeństwem. Kochali mnie, ale nie byłem im potrzebny.

— Z moimi rodzicami było podobnie. Byli bardzo zajęci sobą. Myślę, że to zdrowy objaw.

— Choć muszę zdradzić ci pewien mały sekret — powiedział Max, przeciągając się.

— O co chodzi? — spytała, przesuwając stopą po werandzie w poszukiwaniu pantofla, który ześliznął się jej z nogi, gdy próbowała ulokować się wygodniej.

— Lubię przebywać w domu. Być może dlatego, że tak dużo podróżuję służbowo. Ale nie ma dla mnie nic lepszego, niż wieczór spędzony w domu na robieniu tego, na co ma się ochotę.

— To tak jak ja. Uwielbiam siedzieć w domu. Wuj James pewnie by się mnie wyparł, gdyby to usłyszał. Wątpię, czy on spędził w domu choć jeden wieczór.

— A co zwykle robisz, gdy nie wychodzisz? — zapytał. — Pracujesz czy wałęsasz się po domu?

— Oczywiście, że leniuchuję. No, mogę ewentualnie zrobić sobie manicure lub coś takiego, ale generalnie po prostu leniuchuję.

— Claire chyba niezbyt się to podoba — zaśmiał się Max.

— Masz absolutną rację. Uważa, że jestem leniwa. A co ty zwykle robisz?

— Zwykle najpierw coś zamawiam, a potem wchodzę do mojej jacuzzi, żeby się zdrzemnąć.

— Mmmm... brzmi bosko.

— Bo jest.

— Ale ja jestem zbyt leniwa nawet na to, by coś zamówić. Jeśli Claire nie ma niczego w lodówce, chwytam się za stare paczki.

— To dziwne, że Claire ma stare paczki na każde żądanie, jest przecież taką dobrą kucharką.

— Dostajemy je codziennie z piekarni, karmimy nimi lisy i szopy.

— Jak miło. Dzika zwierzyna karmiona słodyczami — powiedział Max wstając i wyciągając do niej rękę, by pomóc jej zejść z huštawki.

Gdy wstała, nie tylko nie puścił jej, lecz przyciągnął bliżej siebie.

— Co ty wyprawiasz? — położyła mu ręce na piersi, odpychając go.

— Ciii — szepnął, pieszcząc delikatnie jej ucho. — Claire stoi w drzwiach. Nie chce, żeby się domyśliła.

— Ja też nie chcę — mruknęła Amy Jane, z trudem panując nad głosem, podczas gdy on wtulał twarz w jej szyję.

Zaśmiał się cicho i ujął twarz Amy Jane w dłonie. Zadrżała pod dotykiem jego rąk, które pieściły delikatnie jej twarz, jakby była czymś kruchym i cennym. Amy Jane nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. To Claire była krucha i delikatna. Ona była silna.

Pochylił głowę i pocałował ją. Zaparło jej dech w piersiach. Poczula, jak całe jej ciało przeży się, gdy jego ciepły, uwodzicielski i natarczywy język wciska się pomiędzy jej wargi. Topniała. Jęknęła, gdy Max zwiększył tempo i nacisk. Zamknęła oczy. Jego zapach stawał się coraz bardziej intensywny, pozostawiając w jej pamięci niezatarty ślad. Iskry przeskakiwały z jego palców na jej szyję, gdy podniósł dłoń, by ją popieścić, odchylić mocniej jej głowę, by uczynić pocałunek jeszcze bardziej namiętnym i poruszającym. Poruszali się w zmysłowym rytmie. Amy Jane zapomniała, że pocałunek miał być dla Claire, zapomniała, że Claire im się przygląda. Nie zdawała sobie sprawy z niczego, poza intymną bliskością mężczyzny, którego pragnęła.

Claire otworzyła drzwi i wyszła na werandę.

— Wybaczcie, chciałam wam tylko powiedzieć, że idę się położyć — powiedziała, gdy wreszcie oderwali się od siebie.

— Ja też już idę, za chwilę — odpowiedziała Amy Jane, a jej głos brzmiał dziwnie nawet dla niej samej.

— Taak, ja też będę się zbierał. Jutro gramy na wyjeździe, więc powinienem dobrze się wyspać, tym bardziej, że z reguły źle śpiam poza domem. A jeśli wygramy, pewnie w ogóle nie będę miał szansy się przespać. — Max mówił bezładnie, jakby pocałunek również jego wyprowadził z równowagi i zdekoncentrował.

— Będziemy oglądały mecz w telewizji, prawda? — powiedziała Claire, spoglądając na Amy Jane.

Amy Jane skinęła głową i Claire weszła z powrotem do domu.

— Chyba powinienem już iść — powiedział niepewnie Max.

— Racja. A więc do widzenia. — Amy Jane odwróciła się i co prędzej uciekła.

13

Z wybiciem dziesiątej Amy Jane wstała, wskoczyła w za duży podkoszulek z napisem „Wstałam i jestem ubrana, czego jeszcze chcesz?”, po czym ruszyła po cichu do biblioteki, by dobrać się do porannej gazety.

Gdy skradała się z powrotem na górę, uświadomiła sobie, że nie słyszała krzątającej się zwykle o tej porze Claire. Czyżby jej siostra dla odmiany zaczęła sypiać zbyt długo? Mało prawdopodobne, a zresztą, skoro gazeta była w domu, znaczyło to, że Claire jest już na nogach i teraz pewnie siedzi gdzieś i obmyśla dla niej nowe zadania. Amy Jane przyspieszyła i po chwili cichutko zamknęła za sobą drzwi swego pokoju.

Pościel była jeszcze ciepła, więc wsunęła się do łóżka, przejrzała szybko wiadomości sportowe, przeczytała artykuł o grze Lwów i wreszcie dorwała się do horoskopów. Przeczytała:

Słońce i księżyc spotykają się w piątym domu, co oznacza romans. Wkrótce czeka cię niespodzianka.

— Też mi niespodzianka! — mruknęła, rzucając gazetę na podłogę obok łóżka.

Sięgnęła po torebkę i wyrzuciła jej zawartość na łóżko. Odszukała mały kalendarzyk i sprawdziła plan dnia. Musiała mieć coś do roboty. Cokolwiek. Z dwóch powodów: po pierwsze, pragnęła wymigać się od pomagania w pensjonacie, po drugie, chciała zająć czymś umysł, by nie rozpamiętywać bez przerwy wczorajszego pocałunku. Pocałunku, który miał być dla Claire.

Nie chciała zastanawiać się nad tym, co zrobi, kiedy w końcu trzeba będzie stawić czoło rzeczywistości. Max tak dobrze całował... Prawdę mówiąc, całował wspaniale — nawet jeśli nie miał takiego zamiaru.

Problem polegał na tym, że pocałunek sprawił jej przyjemność i to ją martwiło. Tak bardzo, że nie potrafiła skupić się na tym, by znaleźć to, co z Maxem było nie w porządku. Bo coś przecież być musiało, tylko ona jeszcze tego nie rozgryzła. Ale powinna cały czas o tym pamiętać, gdyż inaczej mogłaby przestać mieć się na baczności.

Przejrzała kalendarzyk bardzo uważnie, ale niestety nie znalazła ani jednego parszywego spotkania. Zebrała zawartość torebki w garść i wpakowała z powrotem. Należało się zastanowić. Musi przecież być coś takiego, co pozwoli jej wymknąć się z domu. Przejrzała notatki, dotyczące dwóch spraw ubezpieczeniowych. Nic.

A Max? Co z jego sprawą? Czy jest coś, co mogłaby zrobić, jakiś trop, po którym należałoby pójść? Nie widziała niczego takiego.

Jedyne nowe wydarzenia mogły być związane z zepsuciem się windy i podejrzaną wielbicieleką o przydomku Śpieszek. Choć trudno jej było uznać osobę, która każe tak się nazywać, za groźną. Max chyba tym razem przesadził. Ale ta historia z windą stwarzała pewne możliwości. Sprawdzi to. Podjąwszy decyzję, wyskoczyła z łóżka i podeszła do komody, by wyjąć czystą bieliznę, zanim pójdzie wziąć prysznic. Szuflada była prawie pusta. Będzie musiała pozbierać walające się po pokoju sterty ubrań i zejść z nimi na dół do pralni. Gdy wyjmowała ostatni czysty biustonosz, dostrzegła leżący pod nim pistolet, który zachowała, gdy porzuciła pracę w policji. Był to jej pierwszy pistolet, z którego uczyła się strzelać. Podniosła go. Srebrny rewolwer Charter Arms, kaliber 38, niezbyt pasował do jej dłoni. Amy Jane w ogóle niezbyt lubiła broń. Ubolewała nad faktem, iż

musi żyć w społeczeństwie, które tak wielką wagę przywiązuje do posiadania kawałka chłodnej stali.

Schowała rewolwer z powrotem do szuflady, przykrywając go majtkami, po czym wyjrzała na korytarz, by sprawdzić czy droga wolna. Najwyższa pora na prysznic.

Pół godziny później jechała już do Klubu Sportowego Missouri, szczęśliwie wymknąwszy się Claire i domowym obowiązkom.

Na szosie nie było tłoku, mogła więc jechać szybko. Zaparkowała w klubowym garażu po przeciwnej stronie ulicy i po chwili wchodziła już do budynku, zdecydowana za wszelką cenę przebić się do windy, usiłując przy tym nie rzucać się za bardzo w oczy w tłumie spieszących na lunch mężczyzn.

Odkryła, że jeśli poruszasz się pewnie i wyglądasz na osobę uprawnioną do tego, co robisz, mało kto spróbuje cię zatrzymać. I rzeczywiście — zatrzymano ją tylko raz i przepuszczono, gdy wyjaśniła, że umówiła się tu na lunch z wujem.

W końcu dotarła do windy. Potrzebowała zostać w niej sama choć na kilka minut, lecz udało jej się to dopiero po kilku niepotrzebnych kursach w liczonym towarzystwie. Teraz należało zatrzymać windę pomiędzy piętrami.

Wyjęła z torebki śrubokręt, który zabrała, by posłużyć się nim przy zdejmowaniu osłony przycisków. Ustalenie, czy ktoś przy nich majstrował, nie powinno już być takie trudne. Odkrycie, że Max mylił się, uważając zepsucie się windy za przejaw pecha, nie zabrało jej zbyt wiele czasu. Nie było mowy o żadnym pechu. Ktoś majstrował przy okablowaniu i nie pofatygował się nawet, by zatrzeć ślady swej działalności. Telefon alarmowy został odłączony, podobnie jak przycisk alarmu. Mogłaby się też założyć, że winda została przeprogramowana i nietrudno było się domyśleć, dlaczego. Ktoś przystosował ją do zdalnego sterowania. Teraz łatwo było, posługując się pilotem, zatrzymać ją między piętrami, a potem

uruchomić, jak gdyby nigdy nic. Zrobił to bez wątpienia ktoś, kto chciał przestraszyć Maxa, albo przynajmniej go zatrzymać.

Postanowiła, że raczej nie powie Maxowi o tym, co odkryła. Niech lepiej dalej myśli, że padł ofiarą pecha. Już i tak nie bardzo potrafił skoncentrować się na pracy, a nie mógł pozwolić sobie na kolejne wpadki.

Przykręciła tablicę i uruchomiła windę. Pojechała na piąte piętro, gdzie znajdowała się sala gimnastyczna i basen i gdzie nikt z pewnością się jej nie spodziewał.

Drzwi windy otworzyły się z cichym syknięciem. Wyjrzała na korytarz, ale nikogo nie zobaczyła. No cóż, pomyślała, naciskając przycisk parteru, i tak mam już to, po co przyszłam.

Upewniła się w swoich przeczuciach, że ktokolwiek prześladował Maxa, ma zamiar zrealizować swoje pogroźki. Prawdę mówiąc, już zaczął. Uważała, iż trzeba koniecznie znaleźć tę kobietę, zanim jeszcze bardziej się ośmieli. Zanim skrzywdzi Maxa.

*

Max skończył właśnie przeglądać swoje notatki, które dotyczyły następnego meczu rozgrywek. Rozmawiał już z bramkarzem i poznał sędziów. Zawodnicy byli zdrowi, tylko jeden cierpiał z powodu odniesionej kontuzji. Max zawsze odrabiał tę pracę domową, mimo iż pamięć miał znakomitą. Nigdy nie wchodził do kabiny nie przygotowany. Prawdopodobnie był to jeden z powodów jego sukcesu w nowej pracy.

Ciągle martwiły go te kiksy, które zdarzyły mu się podczas poprzednich relacji. Corey nigdy nie omieszkał wykorzystać podobnej sytuacji, a dostarczanie mu pretekstów do poprawiania go na wizji z pewnością nie było rozsądne.

Nietrudno było się domyślić, że gdyby to od niego zależało, Corey wybrałby na swoją partnerkę Chantal.

Nie wolno dopuścić do następnych sytuacji tego rodzaju. Powiedział sobie, że to uczucie bycia bezustannie śledzonym spowodowało ów fatalny w skutkach brak koncentracji. I była to prawda. Oczywiście poza nim tylko Amy Jane wiedziała, co się dzieje.

Odłożył notatki. Należało jeszcze przejrzeć plan lotu, a potem mógłby wyjść coś zjeść. Pracując zdał sobie sprawę, że pora wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy: to nie tylko działalność tajemniczej wielbicielki tak go rozpraszała. Amy Jane też miała w tym wcale niemały udział. Tak bardzo jej pragnął, że posunął się do użycia podstępu, byle tylko ją pocałować. Nie było to mądre posunięcie, gdyż teraz czuł się jeszcze bardziej rozkojarzony. Jeśli spodziewał się, że pocałunek zaspokoi jego ciekawość, to był w błędzie, gdyż tylko zaostrzył sobie apetyt.

Amy Jane była inteligentna, zabawna i nie bała się ryzyka, a kształty jej ciała, które wyczuwał przytulając ją wczoraj do siebie, wyprowadziłyby z równowagi świętego. Prawie ucieszył się, widząc Claire. Niewiele brakowało, a zrobiłby z siebie kompletnego idiotę.

Mógłby na przykład pocałować ją bez żadnego powodu. Tak po prostu. Miał na to wielką ochotę. A jednak należało się powstrzymać. Do czasu.

Zastanawiał się, czy jego rodzice odprawiali tam na farmie jakieś czary w intencji posiadania wnuków, gdyż po raz pierwszy w życiu zastanawiał się, jak to jest być żonatym.

Max zakręcił prysznic, ubrał się i wyszedł na korytarz z głową pełną myśli o Amy Jane. Pewnie dlatego nie zauważył, że drzwi następnego w szeregu pokoju otworzyły się nagle, a on wylądował na podłodze w towarzystwie jakiejś niewiasty i kubelka, który przed chwilą pełen był kostek lodu.

— Patrz, jak idziesz, ty...

Szczęka Kerry omal nie opadła z wrażenia, gdy przekonała się, kto na nią wpadł.

— To ty! — stwierdziła oskarżycielsko, strzepując z siebie kostki lodu.

— Co ty tu robisz? Wydawało mi się, że raz już odegraliśmy tę scenę — powiedział Max nie zadając sobie trudu, by jej pomóc.

— Co się dzieje? — spytał Richie, który właśnie wyszedł z pokoju wraz z Bobbym.

— On, on... — bełkotała Kerry, wskazując na Maxa.

— Właśnie wychodzi — dokończył Max, odwrócił się i odszedł.

Ritchie pomógł Kerry się pozbierać, podczas gdy Bobby nadal wpatrywał się w drzwi windy, za którymi zniknął Max.

— Co się stało, kochanie? — dopytywał się troskliwie Richie. — Nic ci się nie stało?

— Wszystko w porządku — parsknęła Kerry, odsuwając jego ramię. — Dajcie mi chwilę na przebranie się i za minutę dołączę do was w holu.

Weszła do pokoju, a Richie zabrał się do zbierania kostek lodu i wrzucania ich z powrotem do kubelka. Przez chwilę wpatrywał się w kubelek, nie wiedząc, co z nim teraz zrobić, aż wreszcie Bobby uwolnił go od problemu, stawiając wiaderko obok następnych drzwi.

— Kto wie, może obsługa włoży do niego darmowy szampan? — powiedział uśmiechając się szelmowsko.

Jednak Bobby, pochłonięty myślami, nie odpowiedział uśmiechem.

— Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodzi? — spytał.

— No cóż — odparł Bobby, obejmując ramieniem plecy kolegi i prowadząc go w stronę windy — moim zdaniem Kerry bardziej nienawidzi Maxa niż lubi ciebie.

Kerry miotała się wściekła po pokoju, zrzucając z nóg buty i ściągając przemoczoną sukienkę.

Max miał tupet! Nie tylko nie przeprosił za to, że tak na nią wpadł i zniszczył jej sukienkę, lecz nawet nie pofatygował się, by jej pomóc. Spojrzała w lustro i aż się skurczyła. Wyglądała strasznie. Twarz miała zaczerwienioną i pokrytą plamami. Tusz spływał jej z lewego oka, a na pończosze pojawiło się dorodne oczko. Naprawienie szkód wyrządzonych przez Maxa z pewnością zajmie więcej niż kilka minut.

— Dlaczego ona się tak grzebie, jestem głodny — skarżył się Bobby, spoglądając po raz kolejny na zegarek.

— Może poszedłbym na górę i sprawdził, co się dzieje — zaproponował nerwowo Richie.

— Pewnie, zrób to. Jeszcze trochę i z kolacji zrobi nam się śniadanie. Powiedz jej, żeby zabrała tyłek w troki i chodźmy już.

— Zaraz wracam — zapewnił Richie, kierując się w stronę windy. Bobby tymczasem wdał się w pogawędkę ze stewardesą, którą pamiętał z poprzednich lotów.

Wjechawszy na piętro, Richie zapukał delikatnie do drzwi ich pokoju.

— Kochanie, czy jesteś już może gotowa? Bobby umiera z głodu.

— Ja też — usłyszał w odpowiedzi. — Wejdz, jestem gotowa.

Otworzył drzwi.

— Powiedziałaś chyba, że jesteś gotowa...

— Bo jestem. Nie chce mi się wychodzić, nie mam się w co ubrać — stwierdziła, siedząc na łóżku otulona tylko ręcznikiem i wsparta na stosie poduszek. — Może zamówilibyśmy coś do pokoju...

Odrzuciła ręcznik.

Richie przeszedł przez pokój i posłusznie podniósł słuchawkę. Zadzwoił najpierw do Bobby'ego, by go powiadomić, że będzie musiał sam udać się na obiad. Potem zamówił posiłek do pokoju. Kerry uśmiechnęła się. Znowu postawiła na swoim.

*

Następnego dnia Amy Jane nie mogła już dłużej wykręcać się od pomocy w pensjonacie, zwłaszcza jeśli chciała, by Claire urządziła urodzinowe przyjęcie Maxa. Zadzwoiła tylko do wuja Jamesa, by zapytać, czy nie słyszał przypadkiem o fance hokeja o przezwisku Śpioszek, po czym niechętnie zabrała się za wypełnianie poleceń Claire.

Na zewnątrz było wietrznie i mgliście, aura wręcz wymarzona do noszenia ciepłych swetrów i skarpet — wygodnych ubrań, które tak lubiła. Oczywiście, mieszkając w St. Louis należało spodziewać się, że pogoda może zmienić się w każdej chwili. Marudząc przy oknie od łazienki, które miała wyczyścić, z przyjemnością obserwowała sikorkę, pożywiającą się w jednym z fantastycznych karmników, ofiarowanych im kiedyś przez wuja Jamesa.

— No, i jak ci idzie? — zawołała Claire, która właśnie wniosła na górę kosz świeżo wypranej i zmaglowanej bielizny. Zamierzała ułożyć ją w pachnącym lawendą magazynku.

— Mogę już wykreślić trzy rzeczy z listy — odparła Amy Jane, bardzo z siebie zadowolona.

— Wspaniale, ale czy je zrobiłaś? — spytała Claire z nutą sceptycyzmu w głosie.

— Oczywiście, że zrobiłam! — odparła Amy Jane, zamierzając się ścierką na chichoczącą Claire, która co prędzej uciekła na dół.

Podczas szorowania wanny jej myśli znowu wróciły do Maxa. Prawdę mówiąc, od kiedy pocałował ją tak namiętnie na werandzie, prawie cały czas o nim myślała.

Teraz zaczęła zastanawiać się nad pewną rewelacją, dotyczącą Maxa. A właściwie dotyczącą jej samej.

Powód, dla którego z maniackim uporem doszukiwała się w nim jakichś strasznych nawyków był taki, że potrzebowała czegoś, do czego mogłaby się przyczepić.

Do czego tylko ona mogłaby się przyczepić.

Na miłość boską, zachowywała się niczym bohaterka wiktoriańskiej powieści! Co za niewygodna prawda na temat siebie samej! Odkryć, że tak naprawdę wcale nie różni się od Claire, że też usiłuje zmieniać ludzi, choć być może z nieco odmiennych powodów.

Uśmiechnęła się. Nie można powiedzieć, by Claire powiodło się z Bobbym. Jak dotąd Amy Jane ani razu nie widziała go w koszulce polo.

Uporawszy się wreszcie z łazienką, ruszyła do holu, by wypolerować klonową balustradę w dużej klatce schodowej. Zalała ją fala wspomnień, ogrzewając jej duszę niczym pierwsze poranne promienie słońca.

Zwykle siadywały tu z Claire, przyglądając się przyjęciom, które często trwały aż po świt. Oczywiście powinny były iść spać, lecz nikt nie protestował zbyt, gdy zasypiały na górze, pokonane przez zmęczenie. Po prostu odnoszono je wtedy do łóżka.

Teatralni przyjaciele rodziców byli ekscentryczni i hałaśliwi. Doskonale się bawili. Bogate, głębokie głosy aktorów docierały z łatwością na górę, tak więc słyszały z pewnością więcej sprośnych historyjek, niż powinny.

Melodyjny śmiech kobiet przebijał się przez operową muzykę, którą ktoś nieodmiennie nastawiał.

Jasne, pastelowe suknie na zawsze urzekły Claire. Amy Jane wolała pikantne opowieści. Nieraz potem odsyłano ją przedwcześnie do łóżka za powtarzanie ich, dopóki nie nauczyła się być bardziej dyskretna.

— Marzymy sobie? — spytała Claire, widząc siostrę siedzącą na schodach ze szmatką w dłoni, na której oparła policzek, i z miną zdecydowanie nieobecna.

— Wiesz, czego potrzeba temu pensjonatowi? — odparła Amy Jane, ignorując zaczepkę.

— Owszem, nowego dachu, większego bojlera... — zaczęła Claire, odginając palce.

— Nie myślałam o wyposażeniu, lecz o czymś, co nadałoby temu miejscu pewną atmosferę.

— O czym ty mówisz?

— O muzyce.

Claire pochyliła głowę, zastanawiając się.

— Myślałam już o tym, żeby kupić jakieś taśmy z muzyką kameralną. Może na harfę i flet?

— Nie. Muzyka operowa. Taka, jakiej zwykle słuchali rodzice.

Claire uśmiechnęła się i usiadła na schodach obok Amy Jane.

— Pamiętasz, jak mama słuchała Pavarottiego tak głośno, że aż szyby drżały, gdy nie mogła spać?

Amy Jane skinęła głową. Poczula zalewającą ją falę smutku. Odłożyła szmatkę.

— Chodźmy lepiej na zakupy.

— Ale ja już mam wszystko, co potrzebne, a ty nie jesteś nawet w połowie listy.

— Daj spokój, Claire. Mam wspaniały pomysł. Chodźmy kupić sobie coś na przyjęcie Maxa.

— Ale...

— Ja funduję.

Takiej propozycji po prostu nie sposób było nie przyjąć.

— Ładna? Jak myślisz, czy Bobby'emu się spodoba? — dopytywała się Claire, stojąc przed lustrem ubrana w kwiecistą sukienkę, zapinaną od góry do dołu na drobne guziczki.

— Bardzo ładna.

Amy Jane chciała porozmawiać z Claire o Bobbym, ale zdecydowała, że poczeka. Być może problem sam wkrótce się rozwiąże, bo choć bardzo dziwiło ją, że siostra umawia się z kimś takim jak Bobby, to jeszcze bardziej zadziwiające było, że Bobby nadal się nią interesuje, gdyż zazwyczaj pociągały go kobiety, których zdobycie nie przedstawiało wielkich trudności.

Uznała jednak, że skoro ona tyle już razy nie najlepiej wybierała, należy pozwolić Claire na własną porcję błędów. Oczywiście pod warunkiem, że nikt nie zamierza zrobić jej krzywdy. Jeśli Bobby choćby spróbuje zranić Claire, będzie miał ze mną do czynienia, postanowiła.

— Wezmę ją — zdecydowała Claire, rzucając ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze. — Teraz musimy poszukać czegoś dla ciebie.

— Ale nie u Laury Ashley — zachnęła się Amy Jane, rozglądając się po tym superkobiecymskim sklepie, jakby rozwieszono tu ubrania mogły ją ugryźć.

— Pamiętaj, to nie ma być strój na byle dyskotekę.

Widząc, że siostra nadal milczy, obrzuciła ją miażdżącym spojrzeniem.

— Niech ci będzie — poddała się Amy Jane. — Już wiem, kupię po prostu nową kamizelkę. Mam jakieś czarne spodnie i białą jedwabną koszulę, mogę je włożyć.

Claire potrząsnęła głową.

— Sukienkę — upierała się.

— Ale...

— Jeśli chcesz, żebym urządziła to przyjęcie...

— No już dobrze, dobrze...

Dwie godziny później miały już za sobą pół tuzina sklepów i dwa razy tyle sukienek. Amy Jane broniła się przed wizytą w kolejnym magazynie niczym uparte dwuletnie dziecko.

— No, chodź, musimy znaleźć ci jakąś sukienkę — namawiała Claire, szarpiąc ją za ramię.

— Dobrze, ale to już ostatni. Jeśli nic nie kupimy, wkładam spodnie.

— Na pewno coś znajdziemy — nie poddawała się Claire.

W chwili słabości pozwoliła siostrze wbić ją w dopasowaną sukienkę koloru wina, której główną ozdobę stanowił drapowany stanik.

— Myślisz, że Maxowi to się spodoba? — spytała z powątpiewaniem, przyglądając się swemu odbiciu.

— Z pewnością.

Amy Jane spojrzała na cenę.

— Mam nadzieję, że wręcz oszaleje na jej punkcie — mruknęła.

Claire przezornie nie spytała, dlaczego siostra tak bardzo liczy się ze zdaniem „zwykłego klienta”. Amy Jane nie udało się zmylić nikogo poza nią samą.

— Chodźmy do Zama i poszukajmy jakichś dekoracji — zaproponowała Claire, gdy wsiadały do samochodu.

— Lepiej nie. Jestem zmęczona.

— A komu zachciało się przyjęcia?

— No dobrze, ale niczego już nie przymierzam — zgodziła się niechętnie.

Wnętrze sklepu wyglądało, jakby przed chwilą eksplodował tu magazyn z kolorowymi farbami. Wszędzie pełno było papierowych talerzy i kubeczków, a także balonów we wszystkich kolorach tęczy i paru dodatkowych. Wspaniale, taki wybór, pomyślała Amy Jane. Zajmie nam to co najmniej godzinę.

Dlaczego ludzie nie potrafią poprzestać na czerni i bieli, jak ona. Tak bardzo upraszcza to sprawę.

A potem znów pomyślała o Maxie. Ubrany w biel i czern... jego smoking. Jeszcze jedno wspólne upodobanie. Jakież to denerwujące.

— Co sądzisz o tym kolorze? — spytała Claire, podnosząc talerz w kolorze burgunda. — Pasowałyby do obu naszych sukienek, prawda?

— Cudowny. Bierzemy je.

Co prędzej pomogła siostrze pozbierać zakupy i po chwili siedziały już w samochodzie.

— Jeszcze wcześniej — zauważyła Claire — mogłybyśmy...

— Wypożyczyć kasetę — podsunęła Amy Jane, która pragnęła wreszcie spokojnie posiedzieć. Zakupy zmęczyły ją, natomiast Claire wydawała się wręcz czerpać z nich energię.

— I co obejrzymy?

— Coś miłego dla oka, jak „Tombstone”.

— Miłego dla oka?

— No wiesz, kowbojskie ochraniacze, buty i ich wspaniali właściciele... Russell, Kilmer, Sam Elliot...

— Zajmij się kukurydzą.

*

„On po prostu frunie, jest wszędzie! Zablokowany przez Thomure, LeBac atakuje, przedziera się do strefy Lwów! Zatrzymanie, teraz do strefy środkowej... Lwy prowadzą dwa do jednego! Drużyna Toma Quinna doskonale się dzisiaj spisuje. To wspaniałe widowisko i kibice z Detroit siedzą spokojnie, czekając, aż ich zespół odzyska prowadzenie”.

— Nie mogę uwierzyć, że oglądamy hokej w telewizji — stwierdziła Claire, zrzucając buty z nóg.

— Musimy, to rodzaj testu. Bobby na pewno zapyta cię, czy oglądałaś mecz. To poważne rozgrywki.

— Wiem. Ale czy oni nie mogliby nosić ochraniaczy, wysokich butów, chustek na szyi i tak dalej...

— Też bym wołała.

— Może by im zasugerować?

— Zapomnij.

— Przynajmniej Max wygląda dobrze. Pod tymi ochraniaczami w ogóle nie da się dojrzeć ciała zawodnika.

— Claire?!

— Przecież to prawda.

— Oczekuje się po tobie, że będziesz przyglądała się grze, a nie zawodnikom...

W tym momencie Bobby McQuaid powrócił na lód z ławki, gdzie odsiadywał karę. — „Oooo, McQuaid znów traci krążek, nie jest to z pewnością najlepszy mecz tego zawodnika. Ilekroć ktoś podaje do niego, krążek odskakuje jak żywy. Lecz McQuaid odzyskał go”. Głos Maxa wznosił się coraz wyżej, w miarę jak sytuacja na lodowisku robiła się coraz bardziej gorąca. „Strzela... o, nie, słupek... lecz krążek odbija się i wpada do siatki. Och, kochanie, kochanie... Gol!!!”

Claire podskoczyła z okrzykiem radości.

Amy Jane nawet nie drgnęła, zbyt zmęczona, by się ruszyć i zbyt pełna prażonej kukurydzy, którą podjadały, oglądając „Tombstone”. Nie zwracała uwagi na Bobby'ego, któremu koledzy właśnie gratulowali. Skupiła się na odnalezieniu w tłumie zauważonego poprzednio błysku czerwieni. Kobieta o blond włosach. Rozglądała się za kimś, kto mógłby wyglądać jak Śpieszek.

— A co ona tam robi?

— Kto?

— Chyba widziałam... poczekaj, spójrz... tam, w czerwonym kombinezonie. Widzisz ją?

— Masz na myśli Kerry Ashton?

— Tak, była dziewczynę Maxa.

Claire wzruszyła ramionami.

— Pewnie znalazła się tam, bo teraz chodzi z bramkarzem.

— Ach, tak.

14

— Oglądałaś ostatni mecz? — spytał wuj James, gdy Claire przyszła do baru, żeby zaprosić go na urodzinowe przyjęcie Maxa.

— Całkiem interesujące — odpowiedziała. Amy Jane, wślizgując się na stół. — Zwłaszcza dogrywka. — Widziałeś już gazety? — spytała, podając mu „Post-Dispatch”.

LWY WYGRYWAJĄ! głosił wielki czarny nagłówek na pierwszej stronie. Zamieszczony poniżej artykuł omawiał historię dotarcia przez miejscową drużynę do półfinałów rozgrywek o puchar Konferencji Campbella dzięki czterem kolejnym zwycięstwom.

— A myślałam, że już po nas, gdy Bobby zaczął tę bijatykę pod koniec trzeciej tercji — powiedziała Amy Jane.

— Gdyby tego nie zrobił, nie byłoby dogrywki. Max na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

— Mam nadzieję, że Bobby przyjdzie na przyjęcie — Amy Jane zaczęła przeglądać gazetę w poszukiwaniu horoskopu. — Claire byłoby przykro.

— Jakie przyjęcie?

— Urządzam w sobotę wieczór urodzinowe przyjęcie dla Maxa. Jesteś zaproszony.

Znalazła swój horoskop i przeczytała go na głos:

W dzień święta staniesz się obiektem zainteresowania, lecz kłopoty wprowadzą sporo zamieszania.

— A co ze mną? — spytał wuj.

— Będziesz się bardzo dobrze bawił na przyjęciu, twój romans rozkwitnie.

— Daj spokój, Słodziutka, nawet nie wiesz, spod jakiego jestem znaku.

— Jakie przyjęcie? Ktoś urządza przyjęcie? — dopytywała się Miranda, zawiązując fartuszek.

— Ja. Urodzinowe przyjęcie-niespodziankę dla Maxa — wyjaśniła Amy Jane.

— Brzmi doskonale.

— Poszłabyś tam ze mną? — spytał wuj.

— Chciałbyś, staruszkule! — drażniła się z nim.

— Widzę, że sprawy między tobą a Maxem bardzo się posunęły, prawda, Słodziutka? Tylko mi nie mów, że masz zamiar obdarzyć mnie przyszywanymi wnukami...?

— Mam nadzieję, że nie — wtrąciła Miranda — nie sądzę, żebym miała ochotę umawiać się z dziadkiem, nawet przyszywanym.

— Max jest diabelnie przystojny — odparła Amy Jane, unikając odpowiedzi. I tak z największym trudem przychodziło jej przypomnienie sobie, że tylko udaje dziewczynę Maxa i że łączący ich stosunek jest wyłącznie służbowej natury.

— I co, dowiedziałeś się może czegoś o tym... Śpioszku? — spytała, gdy Miranda odeszła.

Potrząsnął głową.

— Czy ona nie ma jakiegoś normalnego imienia?

— Prawdopodobnie ma, ale ja go nie znam.

— Dlaczego chcesz ją odnaleźć?

Amy Jane nie znosiła kłamać wujowi, ale tym razem nie było innego wyjścia.

— Max chciał jej dać darmowe bilety, skoro jest tak gorącą wielbicielek drużyny. Spojrzała na zegarek.

— Muszę lecieć. Trzeba zaprosić gości i zamówić tort. A potem wypadałoby wpaść do agencji ubezpieczeniowej, sprawdzić, czy nie ma dla mnie jakiejś roboty, która pozwoliłaby mi za to wszystko zapłacić.

Zsunęła się ze stołka.

— A zatem do zobaczenia w sobotę wieczorem, i pamiętaj, że to ma być niespodzianka.

Po zamówieniu tortu w piekarni McArthura i odebraniu zlecenia z towarzystwa ubezpieczeniowego zdecydowała się pojechać do mieszkania Maxa. Skoro przyjęcie było jego pomysłem, a nie żadną niespodzianką, to spodziewała się uzyskać nieco pieniędzy na — w końcu służbowe — wydatki z nim związane.

Kiedy zobaczyła zaparkowany przed domem samochód Maxa, bardzo się ucieszyła, lecz nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. Nie widziała się z nim od czasu tego pocałunku. Postanowiła, że jedynym sposobem uporania się z tym pensjonarskim zażenowaniem było udawanie, że nic się nie stało i że pocałunek po prostu nie miał miejsca. Nieprzyjmowanie do wiadomości faktów nieraz już sprawdziło się jako doskonały mechanizm obronny.

Wzięła głęboki oddech i nacisnęła przycisk dzwonka, starając się przybrać postawę naprawdę twardego faceta. W końcu przyjechała tu, by zdobyć pieniądze.

Max otworzył drzwi i jednym uśmiechem zniweczył wszystkie jej wysiłki utrzymania nerwów na wodzy.

— O, witam. Zastanawiałem się właśnie, kiedy pokaże się komitet powitalny. No chodź, wejdź.

— Ja... ja... — jąkała się beznadziejnie. — Nie jestem żadnym komitetem powitalnym. Gdybym była, pojechałabym raczej na lotnisko.

I rzeczywiście, gdyby przewidziała, jak wspaniale będzie wyglądał, z pewnością by tak zrobiła. Zjawiłaby się tam pod

równie niedorzecznym pretekstem, jak ten, którym miała zamiar posłużyć się tutaj.

Max wyglądał na nieco przygnębionego. Ale jakież był pociągający! Wygodne domowe ciuchy przylegały do jego skóry ukazując doskonale utrzymane ciało sportowca.

— Czy coś się stało?

— Dlaczego?

— Tak mi się przyglądałaś...

— Ależ nie, wcale nie — wypierała się, czując jak rumieniec zażenowania pokrywa jej policzki. — Rozmawiałam z Claire o twoim przyjęciu urodzinowym. Odbędzie się w tę sobotę, wieczorem. Więc pomyślałam, że wpadnę i może poproszę cię o trochę forsy na jakieś bezalkoholowe napoje.

— Obawiam się, że trzeba czegoś mocniejszego, by ściągnąć na przyjęcie hokeistów. Zaraz wypiszę ci czek.

Odwrócił się, by pójść po książeczkę czekową, kiedy zadzwonił telefon.

— Podnieś, dobrze? — krzyknął przez ramię — to pewnie jeszcze jedna pomyłka.

Amy Jane podniosła słuchawkę i powiedziała: „słucham”.

Ktoś był po drugiej stronie, lecz nie odezwał się. Słyszała tylko oddech, jakieś dalekie rozmowy w tle i dziwny, zgrzytliwy odgłos. Po kilku sekundach dzwoniący rozłączył się.

Amy Jane nacisnęła 69. Słyszała, jak telefon dzwoni i dzwoni, lecz nikt nie podniósł słuchawki. Zmarszczyła brwi.

— O co chodziło? — spytał Max wracając.

— Miałaś rację. To znowu głuchy telefon. Czy to się ostatnio często zdarzało?

— Parę razy — przyznał.

— Naciskałaś przycisk, żeby się dowiedzieć, kto dzwonił?

Skinał głową.

— Naciskałem, ale nikt nigdy nie podniósł słuchawki.

— Chyba zrobię sobie wycieczkę do sklepu ze sprzętem telekomunikacyjnym.

— Po co?

— Potrzebujemy bardziej wyrafinowanego urządzenia — na przykład takiego, które powie nam, z jakiego numeru dzwoni do ciebie ten uparciuch.

— Tak czy inaczej — powiedział, siadając, by wypisać czek — chciałbym położyć temu kres. Ta cała historia wyprowadza mnie z równowagi.

Wręczył jej czek.

— Słuchałaś meczu?

Cóż za wiele mówiące sformułowanie, pomyślała. Nieważne, czy widziała mecz, ważne, czy słuchała jego relacji.

— Oglądałam go.

— I co...

— Dobrze się bawiłyśmy.

— My?

— Ja i Claire. Nie dość, że zmusiła mnie, żebym kupiła sukienkę na przyjęcie, to jeszcze koniecznie chciała oglądać mecz.

— Dzięki ci za to, Claire.

— A propos Claire, czy nie mógłbyś porozmawiać z Bobbym i namówić go, żeby przyszedł na przyjęcie? Byłoby jej przykro, gdyby nie przyszedł dlatego, że macie z sobą na pieńku.

— Nie przejmuj się. Bobby przywykł już, że się nim zajmuję. Wie, że robię to wyłącznie dla jego dobra. Gdybym tak na niego nie napadał, nie strzeliłby tylu goli. Na pewno przyjdzie. I to nie z mojego powodu, lecz dlatego, że wszyscy pragną jakoś uczcić to, że wygraliśmy pierwszą rundę.

— Jak myślisz, z kim będziecie grali w następnej rundzie?
— Złożyła czek nie patrząc na sumę i schowała go do torebki.

— Chyba z Klonowymi Liśćmi z Toronto. Jaka to sukienka?

— Słucham?

— Jaka sukienkę sobie kupiłaś?

— Dlaczego pytasz?

— Skoro masz odgrywać moją narzeczoną, chciałbym, żeby nasze stroje pasowały do siebie.

— Skoro tak... Jest ciemnoczerwona.

— Ciemnoczerwona...? — zdziwił się.

— I długa.

— Brzmi całkiem przyjemnie.

— Nie będę cię dłużej zatrzymywała. Wracaj do treningu. Muszę pomóc Claire w przygotowaniach — powiedziała, kierując się ku drzwiom.

— Czy dowiedziałaś się czegoś o tej windzie, w której utknąłem? — zapytał, odprowadzając ją do wyjścia. — Udało ci się dostać do klubu czy też szacowni oldboye odprawili cię z niczym?

— Udało mi się. Ale nie odkryłam niczego przesadającego. Być może przyjęcie sprowokuje tego kogoś do ujawnienia się. Claire stara się umieścić wzmiankę na ten temat w kolumnie towarzyskiej Bergera.

— Mam nadzieję, że umieszczenie naszych nazwisk obok siebie nie zaalarmuje twoich wielbicieli — zażartował.

— Jeśli tak się stanie, z pewnością wyzwa cię na pojedynkę — odpaliła z uśmiechem, zatraskując za sobą drzwi.

Usłyszała jeszcze, jak idąc korytarzem głośno nuci piosenkę ilustrującą scenę bijatyki w West Side Story.

Wróciła do samochodu, sięgnęła na tylne siedzenie i wyjęła pojemnik odbłaskowej farby, którą pomalowała błotnik jego samochodu, zerwawszy najpierw pasemko neonowej taśmy, którą tam kiedyś umieściła. Sprawilo jej to prawdziwą satysfakcję. Teraz naprawdę nietrudno będzie go odszukać.

— Czy ty i Bobby idziecie na to przyjęcie? — spytała Kerry, gdy Richie przyjechał po nią do klubu, gdzie trenowała aerobic.

— Skąd wiesz o przyjęciu? Myślałem, że to ma być niespodzianka — spytał Richie, otwierając jej boczne drzwi samochodu.

— Chantal coś o tym wspomniała. Chodzimy razem na aerobic.

— Naprawdę? To fajna dziewczyna. Szkoda, że to nie ona relacjonuje nasze mecze, zamiast Maxa. On mnie wpienia.

— To dlaczego mu na to pozwalacie? Nie możecie się go pozbyć?

Richie roześmiał się.

— Max podpisał kontrakt z właścicielem Lwów, nie ze mną i nie z Bobbym. Nie jesteśmy jego szefami.

— Ale on zachowuje się tak, jakby był waszym. Lepiej uważajcie, bo może się okazać, że zostaliście sprzedani jak...

— Nie martw się, kochanie. — Richie przytulił ją do siebie. — Nikt nie ma zamiaru nas sprzedać. Właśnie wygraliśmy pierwszą rundę — prawie bez strat. I wszystko wskazuje na to, że zdobędziemy Puchar Stanleya. Najwyższa pora, by wrócił do St. Louis.

— Potrzebna mi nowa sukienka. — Kerry zmieniła temat widząc, że nic więcej nie uda jej się osiągnąć.

— Masz już chyba z milion sukienek — poskarżył się Richie. — Jak to dobrze, że twój tata jest budowlańcem, bo może dobudowywać ci ciągle nowe szafy. Po co ci nowa sukienka? Zamówiłaś może nasz ulubiony pokój? Tęskniłem za tobą.

— Nie masz zamiaru zabrać mnie na urodzinowe przyjęcie Maxa? — nadała się.

— Oczywiście, jeśli chcesz pójść. Ale przyjęcie jest dopiero w sobotę wieczorem. A póki co, znam znacznie ciekawsze rzeczy, które moglibyśmy robić.

— Na przykład co... — drażniła się z nim, głaszcząc go po udzie.

— Na przykład to, że wyskakujesz z tych twoich ciuchów i wskakujesz do mojego łóżka.

— A może by tak do mojego...

— Chyba żartujesz...

— Wcale nie. To może być całkiem podniecające. Możemy wśliznąć się po cichu i nikt nawet nie będzie wiedział, że tam jesteśmy.

— Ale jest dopiero wczesne popołudnie. Twój ojciec może być w domu lub może niespodziewanie wrócić.

— O rany, Richie, nie bądź takim tchórzem...

— No dobra, ale jeśli wyniknie jakiś kłopot...

— Wiem, wiem — schowasz się pod łóżko — szydziła.

*

Max siedział przed telewizorem, sporządzając notatki. Klonowe Liście z Toronto grały z Czarnymi Jastrzębiami z Chicago mecz rozgrywek Konferencji Campbella. Zwycięzca tego meczu miałby grać o mistrzostwo z Lwami. Do tej pory wyglądało na to, że zwyciężą Liście, choć Jastrzębie stawiały zacięty opór, tak że drużyna z Toronto prowadziła zaledwie jedną bramką.

Myśli Maxa powędrowały daleko, całą koncentrację diabli wzięli. Powiększająca się obsesja bycia ściganym zaczynała rujnować mu życie. Nie był to może jeszcze koszmar, lecz drobna, dokuczliwa przypadłość, która nie pozwalała o sobie zapomnieć. A przecież nie był tchórzem. Lecz tym razem miał do czynienia z wrogiem, z którym nie mógł się zmierzyć, ponieważ

nie wiedział, kto nim jest. Dlaczego ta kobieta wyobraziła sobie, że coś ich łączy? Albo to ona była szalona, albo też on taki tępy. Po prostu nie mógł zrozumieć, dlaczego przyczepiła się akurat do niego. Jediną rzeczą, która naprawdę się dla niego liczyła, była praca. Ciężko zapracował na swój sukces i dlatego tak bardzo denerwowało go lenistwo niektórych graczy, którzy przyjmowali chwilowy uśmiech fortuny za coś należnego.

Podświadomie zastanawiał się, czy nie posłużyć się Amy Jane, nie wyciągnąć jej z ukrycia, aby wzbudzić zazdrość nieznannej prześladowczyni. Lecz chyba nie był to najlepszy pomysł, gdyż narażał dziewczynę na niebezpieczeństwo, gdyby zwariowana wielbicielka zechciała zemścić się na niej. A poza tym przeczucie mówiło mu, że urządzenie teraz przyjęcia to także nienajlepszy pomysł. Jednak było już za późno, by się wycofać. Gdyby spróbował, narobiłby Amy Jane kłopotu.

*

— Zapomnij o tym, nie idę na żadne przyjęcie Maxa Armstronga — zachnął się Bobby, gdy Claire przekazała mu zaproszenie.

— Bobby, proszę — błagała z wdziękiem, gdy kroił soczysty, średnio wysmażony stek, który dla niego przygotowała. Cały posiłek miał udowodnić Bobby'emu, jak znakomicie potrafi zatroszczyć się o swego mężczyznę. Przygotowała więc stek, dwa razy smażone ziemniaki, sałatkę Pasta House, chleb czosnkowy, a na deser ciasto czekoladowe z odrobiną cynamonu, podane z kulką waniliowych francuskich lodów.

Darowała sobie jednak srebra i porcelanę, gdyż uznała, że Bobby będzie czuł się bardziej swojsko przy kuchennym stole na krzyżakach, a wtedy łatwiej będzie namówić go, by przyjął

zaproszenie. Myliła się jednak. On rzeczywiście nie chciał przyjść i wyraźnie jej to powiedział.

Trzeba było coś przedsięwziąć. Bobby McQuaid stanowił wyzwanie. O wiele większe niż mężczyźni z Ivy League, z którymi zazwyczaj się spotykała. Oni starali się przede wszystkim zadowolić ją, Bobby zaś był kimś sławnym, przyzwyczajonym do tego, że kobiety starają się jemu sprawić przyjemność. Był nagrodą, o którą należało walczyć. I podobnie jak Max wart był tej walki: mężczyzna, który wspierałby ją w sposób, jaki jej odpowiadał, nie oglądając się na innych.

— Naprawdę powinienes przyjść — nalegała, delikatnie ocierając usta lnianą serwetką. — Jeśli tego nie zrobisz, Max pomyśli, że nie pojawiłeś się, bo jesteś zazdrosny. Uważam, że obaj z Richiem koniecznie powinniście przyjść. Poza wami wszyscy zawodnicy i trenerzy przyjęli zaproszenie.

— Zazdrosny! — wykrzyknął Bobby z niedowierzaniem. — To Max jest zazdrosny! Aż zielony z zazdrości o mnie i o Richiego. To dlatego bez przerwy tak na nas napada.

Zareagował dokładnie tak, jak sobie tego życzyła. Był poruszony, lecz już nie tak pewny swojej decyzji. Umiejętnie podgrzała atmosferę, grając na jego uczuciach tak, jak wytrawny muzyk posługuje się swoim instrumentem.

— A może Max jest dla was taki ostry, ponieważ uważa was za najbardziej utalentowanych zawodników. Takie postępowanie sprawdza się wobec niektórych osób. No wiesz, mówi im się, że nie są dość dobrzy, więc bardzo się starają, żeby udowodnić, że tak nie jest.

Bobby pokręcił głową. Pociągnął łyk czerwonego wina, które Claire kupiła w pobliskiej winiarni, i ponownie sięgnął do swych argumentów.

— Max Armstrong jest zazdrosny, na pewno. Zazdrosny o mnie, bo ja gram, a on nie. Nigdy nie pogodził się z tym, że kontuzja wyeliminowała go z gry. A poza tym zdaje sobie

sprawę, że jestem lepszy, niż on kiedykolwiek był, i to go drażni. A o Richiego jest zazdrosny, bo Richie umawia się z Kerry Ashton. To nie wina Richiego, że Max nie umie utrzymać przy sobie kobiety.

— Myślałam, że to Max ją rzucił — powiedziała Claire, zaintrygowana.

— A co miał zrobić, kiedy przyłapał ją w łóżku z innym zawodnikiem? To chyba wystarczający dowód nawet dla niego? To dlatego ten gracz został później sprzedany.

Claire pomyślała co prawda, że pójście do łóżka z kimś innym i oszukiwanie stałego partnera świadczy raczej o Kerry niż o Maxie, lecz nie powiedziała tego, gdyż chciała pomyślnie załatwić swoją sprawę.

— Pewnie masz rację, Max jest zazdrosny — powiedziała, udając, że ją przekonał.

Wstała, by przygotować stół do deseru.

— To oczywiście, że mam rację — stwierdził, prostując się na swoim krześle. Wyraźnie poprawił mu się nastrój — co było celem Claire.

— Jak ci smakował stek? — spytała, wyjmując zamrożone ciasto z lodówki i przekładając je na ozdobną kryształową patere, by je bardziej wyeksponować.

— Był doskonały — odparł wspaniałomyślnie, uśpiony pozornym zwycięstwem. — Jesteś znakomitą kucharką. Nie sądziłem, że są jeszcze kobiety, które potrafią tak gotować. Wszyscy faceci narzekają, że kobiety, które umiały gotować, przestały przychodzić na świat w latach pięćdziesiątych. Ale ty wszystko robisz doskonale. Czy mówiłem ci już, jak bardzo podoba mi się ta śliczna sukieneczka, którą masz na sobie?

Claire podziękowała mu, uśmiechając się dyskretnie. Sukienka została zaplanowana równie starannie jak posiłek. Niewinna, a zarazem seksowna, powiewna jedwabna kreacja, eksponująca nogi do kolan, z marszczonym stanikiem w stylu

empire, mocno wydekoltowana, zapinana była od góry do dołu na drobne guziczki, które z pewnością, z czego Claire doskonale zdawała sobie sprawę, nasuną Bobby'emu myśl o ich natychmiastowym rozpięciu.

Wyjęła z lodówki karton francuskich lodów waniliowych, znalazła w szufladzie dwie srebrne łyżeczki do lodów i wyjęła z szafki deserowe talerzyki. Przez cały ten czas Bobby siedział wygodnie rozparty, jakby taka obsługa była czymś naturalnym, co słusznie mu się należy. Ani razu nie zaofiarował się z pomocą.

— Lubię gotować i troszczyć się o mężczyznę — powiedziała, sięgając ponad jego ramieniem, by ustawić naczynia na stole.

Krojąc ciasto ponowiła atak.

— Przyjdź na przyjęcie Maxa, bardzo cię proszę. Tak bardzo chciałabym, żebyś tam był. Nie musisz rozmawiać z Maxem, jeżeli nie chcesz. Proszę, zrób to dla mnie...

— Dlaczego ja nie mogę ci odmówić, skoro ty ciągle mówisz mi „nie” — targował się.

— Mówiłam ci już...

— Tak, wiem. Jesteś dziewicą. Zachowujesz cnotę dla mężczyzny, który cię poślubi. Ty naprawdę pasowałabyś do lat pięćdziesiątych!

— Nieprawda, jestem jak najbardziej współczesna. Sama prowadzę interesy, jeśli nie liczyć Amy Jane, a nikt nie może liczyć na Amy Jane. A poza tym sprytna nowoczesna dziewczyna na pewno zażądałaby przeprowadzenia badania krwi...

— Żartujesz...

Potrząsnęła głową. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, że niełatwo będzie zaprowadzić ją do łóżka, o ile w ogóle okaże się to możliwe.

— Najchętniej zostałbym w domu i pooglądał sport w telewizji. A może spotkalibyśmy się po przyjęciu?

Claire miała ochotę strzelić go w twarz wielkim kawałkiem ciasta, który właśnie ukroiła, lecz pohamowała się.

— Nie chcę przebywać w pobliżu Maxa ani sekundy dłużej, niż to konieczne. On wykorzystuje każdą sytuację, żeby mi dołożyć — wyjaśnił, widząc niezadowoloną minę Claire.

— A co ze mną? — rzuciła. — W moim pobliżu też nie chcesz przebywać?

— Pewnie, że chcę, ale...

Wstała i obeszła stół, by usiąść mu na kolanach. Odkroiła kęs ciasta i włożyła mu do ust.

— Wiesz Bobby, my, kobiety z lat pięćdziesiątych, bardzo dobrze się na czymś znamy...

— Na czym? — zapytał z ustami pełnymi ciasta.

— Na całowaniu i pieszczotach — odparła, całując pieszczotliwie jego ucho.

— No, niech ci będzie — jęknął — przyjdę na to cholerne przyjęcie. Ale nie spodziewaj się, że mnie to uszczęśliwi.

*

Corey wszedł do baru i od razu zauważył Chantal siedzącą w łoży z Kerry i Richiem. Nie stanowiło to dla niego niespodzianki, gdyż widział, jak tu wchodziła, i poszedł za nią. Pragnął podejść do nich od razu i zapytać, czy może się dosiąść, lecz opanował to pragnienie. Nie był głupcem i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie podoba się dziewczynie tak bardzo, jak ona jemu. Chantal chciała po prostu pozostać jego koleżanką po fachu i gdyby zaczął ją teraz przyciskać, tylko by ją odstraszył.

Usiadł więc, na razie, przy barze.

— Co cię tu sprowadza? — spytał James, czyniąc aluzję do rzadkich bytności Coreya w barze.

— Pomyślałem sobie, że uda mi się obejrzyć ostatnią tercję meczu pomiędzy Liśćmi a Jastrzębiami.

— Nic ciekawego — powiedział James lekceważąco.

I rzeczywiście, ani jedna głowa nie była zwrócona w stronę ekranu. Stali goście jedli, pili i spekulowali, kto wygra mecz pomiędzy Liśćmi a Lwami.

— Wiem. Póki co poproszę szkocką, czystą.

James skinął głową i pospieszył przyjąć zamówienie od nowej kelnerki, którą przyuczała Miranda.

Corey siedział na wysokim barowym stolku, dzieląc uwagę pomiędzy Chantal a ekran telewizora i sącząc powoli swoją whisky.

— Kara dla Liści — oznajmił sprawozdawca, po czym nastąpiła przerwa na reklamę piwa. Corey wykorzystał ją, by podejść i przywitać się z Chantal. Chciał się dyskretnie dowiedzieć, czy dziewczyna ma zamiar pójść na urodzinowe przyjęcie Maxa. Wysączył ostatnią kroplę alkoholu, zostawił na ladzie pieniądze i skierował się w stronę łoży, gdzie Chantal właśnie zaśmiewała się z czegoś, co powiedziała Kerry.

— Wspaniały mecz, co? — zagadnął, wskazując głową ekran. — Czy mógłbym się do was przysiąść na ekscytujący finał?

Chantal przesunęła się i Corey wśliznął się na siedzenie obok niej.

— Z czego się tak śmiałaś? — zapytał.

— Z dowcipu Kerry.

— O rany!

— Jak myślisz, po ile będą bilety na następne mecze Liści? — spytał Richie.

— Bardzo drogie — odpowiedzieli unisono Chantal i Corey, który zamilkł, ustępując pola dziewczynie.

— Liście zostaną zapewne uznane za najlepszą drużynę NHL-u... po nas, oczywiście. Zapowiada się ostra walka.

— Wolałbym, żebyś to ty pracowała z Coreyem, a nie Max — powiedział Richie.

— Ja też bym wolała — zgodziła się Chantal.

To była dobra okazja, by dowiedzieć się tego, co go interesowało.

— Więc jak, idziecie wszyscy na przyjęcie do Maxa? — spytał, patrząc na Chantal.

— Nie, jeśli tylko uda mi się tego uniknąć — odparł Richie.

— Daj spokój, Richie, myślałam, że pójdziemy. Chcę, żebyś utarł Maxowi nosa,

— No pewnie, a potem on odbije to sobie na antenie. Nie, dzięki... Rozmawiałem z Bobbym i on powiedział, że nie idzie... więc ja też nie pójdę.

— A co z tobą, Chantal? Przyjdiesz? — spytał.

— To zależy od mojego samochodu — wzruszyła ramionami.

— Mógłbym cię podwieźć — zaproponował.

— Dobrze, powiem ci, jeśli zajdzie taka potrzeba — zgodziła się. — Myślę, że dobrze byłoby się tam pokazać ze względu na media. Zastanów się jeszcze, Richie. Jeśli się nie pokażesz, będzie to wyglądało okropnie małowartościowo. Myślę, że rozsądniej byłoby, gdybyście przyszli, i Bobby także.

- Widzisz, Richie? Chodźmy na przyjęcie, to ci się przyda w karierze, Chantal też tak uważa.

Richie roześmiał się.

— No pewnie, tak jakbyś troszczyła się o moją karierę. Ty po prostu potrzebujesz pretekstu, żeby kupić sobie jeszcze jedną sukienkę.

— Oczywiście, że troszczę się o twoją karierę. Przecież przychodzę na każdy mecz, nawet te wyjazdowe.

- Ale cię złapała! Punkt dla Kerry — zaśmiał się Corey.
- To nie lojalność ją tam ciągnie, ale obsługa w hotelu...
- Richie! — powiedziała oburzona Kerry, kopiąc go pod stołem. — Ta złośliwość będzie cię drogo kosztować.
- Tak, wiem. Nową sukienkę na przyjęcie, prawda?
- Więc idziemy?
- Chyba tak — zgodził się Richie bez cienia entuzjazmu.

15

Zapowiadał się wspaniały wieczór. Choć czuło się jeszcze chłodny zimowy powiew, to w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach świeżo zroszonej ziemi, zwiastujący rychle nadejście wiosny. Amy Jane wyjęła z samochodu urodzinowy tort Maxa i zaniósła go do kuchni, omijając pozostałe po wczorajszym deszczu kałuże.

— Naniósłś błota na czystą podłogę — poskarżyła się Claire, biorąc od niej pudełko. — Idź, wytrzyj buty, a ja pościeram te ślady.

— Tak jest, mamusiu — mruknęła Amy Jane. — Proszę bardzo.

— Wszystko słyszałam... — krzyknęła za nią Claire.

— I o to chodziło.

— Na którą ich zaprosiłaś? — spytała Amy Jane, wracając do kuchni bez butów, które zostawiła za drzwiami.

— Na wpół do ósmej. Mamy jeszcze godzinę, zanim zaczną się schodzić.

— To dobrze, będziemy mogły odpocząć przed ubraniem się — zaproponowała Amy Jane, padając na kuchenne krzesło. — Jestem wykończona. Bardzo cię proszę, wyświadczyć mi przysługę i kiedy następnym razem zachce mi się urządzać

przyjęcie, poproś kogoś, żeby mi tak przyłożył, aż wróci mi zdrowy rozsądek.

— Zgoda — zaśmiała się Claire, siadając naprzeciw siostry. — Dobrze, że przynajmniej nie mamy na ten weekend żadnych rezerwacji. Czy widziałas, jak udekorowałam jadalnię? Wydaje mi się, że wygląda bardzo ładnie.

— Zajrzałam tam, zanim pojechałam po tort. Według mnie wygląda wspaniale, ale ja zawsze uwielbiałam balony.

— Chciałaś chyba powiedzieć, że zawsze uwielbiałaś podkradać się do ludzi i przekłuwać im balony za plecami, żeby ich wystraszyć?

Amy Jane uśmiechnęła się bez śladu skruchy. Zamknęła na chwilę oczy, wspominając wspólne dorastanie. Claire, układna i przesadnie skromna i ona, zawsze nieporządnie ubrana i hałaśliwa. Podczas gdy siostra grzecznie bawiła się lalkami, ona skakała przez plecy chłopców z sąsiedztwa. Claire czasem nazywała ją starszym bratem, którego nigdy nie miała.

To Amy Jane zwykle huštała Claire na grubej linie, zawieszanej na konarze orzecha, zaś Claire skarżyła się, że dom wydaje się zbyt cichy, gdy nie ma w nim Amy Jane. Gdy ktoś próbował znęcać się nad Claire, Amy Jane dawała mu wycisk, ponieważ czuła, że powinna opiekować się młodszą siostrą. Tak było zawsze. I tak będzie nadal.

Choć właściwie nie wiedziała, dlaczego Claire wzbudza w niej tego rodzaju uczucia, skoro to właśnie ona z reguły wiedziała, jak należy postąpić, i przez otoczenie uważana była za bardziej dojrzałą.

A jednak łączyła je bezwarunkowa miłość i wzajemna akceptacja, których Amy Jane gotowa była bronić do upadłego.

— Kto przywiezie Maxa? — spytała Claire, wyrывая ją z zamyślenia.

— Wuj James.

— No, wspaniale, to tak, jakby posadzić ciebie do pilnowania cukierków...

— O co ci chodzi?

— Będziemy miały szczęście, jeżeli którykolwiek z nich w ogóle się pokaże. Znasz wuja Jamesa. Ma bzika na punkcie poszukiwania przygód.

— Nie martw się, przyjadą — zapewniła Amy Jane, choć sama wcale tej pewności nie czuła. — A tymczasem chodźmy na górę i ubierzmy się.

Pół godziny później Claire zapukała do drzwi pokoju Amy Jane.

— Wejdz — krzyknęła Amy, mocując się ze stanikiem sukni. — Chyba przebiorę się jednak w czarne spodnie — powiedziała, przyglądając się z powątpiewaniem swemu odbiciu.

— Niczego takiego nie zrobisz. A w dodatku włożysz jeszcze perły mamy.

— Ale...

Claire zapięła perłowy naszyjnik na szyi siostry, uciszając jej protesty.

— No popatrz, jak ładnie wyglądasz.

Lecz Amy Jane była zbyt zdenerwowana, by móc ocenić, jak rzeczywiście wygląda. To udawanie, że jest się dziewczyną Maxa, zbyt łatwo wchodziło jej w krew.

*

O ósmej wszyscy znajdowali się już w nie oświetlonej kuchni, oczekując przyjazdu Maxa.

— Jesteś pewna, że kazałaś wujowi być tu o ósmej? — spytała Amy Jane o wpół do dziewiątej.

W końcu zapalono światła i goście rozeszli się po domu.

— Zabiję go — zapewniła Claire. — Gdzie on się podziewa?

— Pewnie zdecydował się spróbować szczęścia w ruletkę i pojechał do Alton Belle.

— To wcale nie jest śmieszne.

— Bo ja wcale nie żartowałam. Znasz wuja — on zupełnie nie ma poczucia czasu ani obowiązku. Nie wiem doprawdy, o czym myślałaś, kiedy zobowiązałaś go — och, ktoś nadjeżdża. Zabierz wszystkich do kuchni, szybko!

W chwilę później tłoczyli się znów w ciemności, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł wuj James, pomstując na niesprawną chłodnicę.

Claire zapaliła światło i wszyscy krzyknęli, udając zaskoczenie. Wszyscy, poza Bobbym i Richiem, zauważyła Amy Jane.

Wuj James uderzył się w piersi, a potem, widząc zmieszana minę Claire, powiedział szybko:

— To wszystko dla mnie?

— To nie twoje urodziny, tylko Maxa — powiedziała Amy Jane, klepiąc go w ramię.

— Urządziłaś to wszystko dla mnie, kochanie? — spytał Max, w samą porę pojawiając się na scenie.

Amy Jane skinęła głową.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

— A gdzie mój urodzinowy pocałunek? — domagał się, a jego zielone oczy błyszczały figlarnie.

Amy Jane zmieszwała się, lecz widząc, że wszyscy przyglądają się im wyczekująco, pozwoliła się objąć.

— Nie masz chyba zamiaru całować mnie przy wszystkich — szepnęła niemal bezgłośnie.

— Lepiej postaraj się, żeby to wyglądało przekonująco — polecił jej, zanim jego wargi przywarły do jej ust. Całował ją tak długo i namiętnie, że gdyby nie wiedziała, że to tylko na pokaz, mogłaby przypuścić, iż kierowało nim długo powstrzymywane

pragnienie. Kiedy w końcu ją puścił, oboje nie mogli złapać tchu, a publiczność klaskała i gwizdała.

— Bardzo dziękuję, dziękuję bardzo. — Max uśmiechał się i zginał w parodii ukłonu. — A teraz — gdzie tort i prezenty?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i tłum rozproszył się. Wuj James zapytał, udając pokrzywdzonego:

— A czy mnie nie należy się całus za to, że przywiozłem Maxa? Nawet nie wiecie, co to była za robota, bo on koniecznie chciał pojechać do Alton Belle, mówił, że dziś na pewno dopisze mu szczęście.

— Kto chciał pojechać...? — spytał błyskawicznie Max, patrząc na wuja złym wzrokiem.

Przylapany na gorącym uczynku James wzruszył ramionami.

— No dobrze, to ja wpadłem na ten pomysł, ale potem...

— Oczywiście... Masz tu swego całusa — powiedziała Miranda, całując go ku jego jakże miłemu zaskoczeniu.

Drzwi kuchni otworzyły się i wszedł Lance Thomure, holując za sobą jakąś blondynkę.

— Przepraszam za spóźnienie, ale zgubiłem drogę próbując znaleźć dom Victorii.

— To ona — powiedział zaskoczony Max, trącając łokciem Amy Jane. — Sądziłem, że ma pani na imię Śpieszek — powiedział do blondynki.

— To wy się znacie? — spytał Lance, najwidoczniej niezbyt z tego zadowolony.

— Nie, on tylko podpisał mi się na kurtce, jak wszyscy inni — wyjaśniła Victoria. A potem dodała, zwracając się do Maxa: — Ja mam na imię Victoria, ale prosiłam, żebyś podpisał kurtkę dla Śpieszka, bo to moja mała siostrzyczka — wszyscy tak ją nazywamy. Ona ma bzika na punkcie hokeja, a ta kurtka to miał być prezent dla niej.

— A jak poznałaś Lance'a? — spytała Amy Jane.

— Poznaliśmy się, kiedy podpisywał kurtkę — odparła. — Był bardzo miły i dał mi swoją fotografię z autografem.

Czerwony ze złości Lance odciągnął dziewczynę, mówiąc:

— Chodź, poszukajmy, gdzie też odbywa się to przyjęcie.

— No i tajemnica wyjaśniona — powiedział Max, odwracając się w stronę Amy Jane.

W salonie wszyscy skupili się tymczasem wokół Toma Quinna, który rozważał mocne i słabe strony Klonowych Liści, drużyny, która miała być przeciwnikiem Lwów w następnej rundzie rozgrywek.

Max znalazł miejsce na sofie i posadził sobie Amy na kolanach.

— Czy mówiłem ci już, jak bardzo podoba mi się twoja sukienka? — szepnął, a ciepło jego oddechu wywołało gęśią skórkę na jej nagich ramionach.

— No dobrze, dość na dziś o hokeju — oznajmił wuj James — jesteśmy na przyjęciu.

— Czy ktoś miałby ochotę w coś zagrać? — spytała Claire.

Odpowiedział jej zgodny chór protestów. James włączył aparaturę odtwarzającą.

— Bobby, Lance, Richie... pomóżcie przesunąć meble pod ścianę, zrobimy miejsce do tańca.

Dźwięki opery wypełniły pokój. Amy Jane słuchała jej wczoraj w nocy, gdy zdenerwowanie wywołane przyjęciem nie pozwalało jej zasnąć.

— Przy tym nie da się tańczyć — skarżyła się Kerry. — Znajdźcie coś w radiu.

— O co tu chodzi? — powiedział cicho Bobby do Richiego, gdy przysuwali sofę do ściany. — Chantal namawia nas, żebyśmy przyszli, a potem z zimną krwią sama się nie pokazuje.

— Tak, mam zamiar porozmawiać z nią o tym, jak tylko ją zobaczę. To ona wygadała Kerry o tym przyjęciu.

— Popatrz na Coreya, jak sterczy przy oknie. On też nie jest zachwycony, że Chantal nie przyszła. Wiesz co, może spróbujemy zadzwonić do niej z twojego samochodu. Jeśli my musimy być tu ze względu na nasz publiczny wizerunek, to ona też powinna.

Corey stał opierając się o ścianę i obserwował Maxa. Czuł się urażony i wręcz dotknięty. Ten facet nie zasługiwał na tyle szczęścia. Miał ładną dziewczynę, która urządziła dla niego przyjęcie, a on, Corey nie potrafił nawet skłonić dziewczyny, która mu się podoba, by na nie przyszła. Prezenter zapowiedział romantyczną balladę i Corey zdecydował, że poprosi do tańca dziewczynę Maxa.

Twarz Amy Jane zdradzała zaskoczenie, ale pozwoliła mu poprowadzić się w kierunku zaimprovizowanego parkietu. Kerry obserwowała ich z linii autu. Złościło ją, że Bobby przepadł gdzieś z Richiem. Zdecydowana zwrócić na siebie uwagę, podeszła do Maxa.

— Wygląda na to, że straciłeś swoją dziewczynę — oznajmiła złośliwie.

— Odejdź.

— Myślę, że powinieneś poprosić mnie do tańca — powiedziała, obracając się wokół, by zaprezentować bardzo krótką, seksowną czerwoną sukienkę.

— Ani mi się śni. — Max odwrócił się i odszedł, odpowiadając jej.

— Chcesz, żebym urządziła ci scenę? — zagroziła, a ton jej głosu jasno wskazywał, że nie żartuje.

— No dobrze, zatańczmy — zdecydował, przekonany, że wybrał mądrzejsze rozwiązanie. Nie chciał, żeby ktokolwiek zakłócił przyjęcie, nad którym Claire tyle się napracowała.

Amy Jane poczuła ostre ukłucie zazdrości, gdy zobaczyła Maxa tańczącego z Kerry. Uśmieszek triumfu, którym obdarzyła ją dziewczyna, w niczym nie poprawił sytuacji. Corey właśnie

wypytywał ją o coś związanego z pensjonatem, gdy zobaczyła wracających do pokoju Bobby'ego i Richiego. Richiemu najwidoczniej nie spodobał się widok Kerry tańczącej w ramionach Maxa.

— Hej, zostaw ją — powiedział popychając Maxa.

— Teraz tańczę z Maxem. Ty miałaś najwidoczniej coś lepszego do roboty — parsknęła ze złością. Kiedy Max próbował ją puścić, przywarła do niego mocniej.

— Powiedziałem, że masz ją zostawić — upierał się Richie, ignorując Kerry i szykując się do bitki.

— Odejdź, Richie. Jeśli tak bardzo lubisz Bobby'ego, to tańcz sobie z nim. — Kerry najwyraźniej cieszyło, że przyciągnęła wreszcie męską uwagę. Jeśli chciała sprawić, by Richie poczuł się zazdrosny, to udało jej się to w pełni. Patrzył teraz na Maxa dzikim wzrokiem.

Max odsunął się, lecz Richie podążył za nim. W tym momencie wuj James i Tom Quinn uznali, że pora go powstrzymać.

— To jest przyjęcie, a nie uliczna bijatyka. Uspokój się i zachowaj energię na walkę z Liśćmi — powiedział bramkarz, odciągając Richiego.

— Czy ktoś tu wspominał może o torcie? — spytał James, dając Claire znak głową.

— Tak, ty wspominałeś. Pokroimy go w jadalni — odparła, starając się zwrócić uwagę gości. — Zapalmy świece, żeby Max mógł wyrazić swoje życzenie rozniesienia Liści w proch i pył. Zapraszamy wszystkich do jadalni.

Kiedy nikt się nie ruszył, dodała:

— Tort jest czekoladowy, z mrożonym kremem własnej roboty.

— Nie chcę żadnego cholernego tortu — burknął Richie, wyrывая się bramkarzowi. Złapał Kerry i oznajmił: — Wychodzimy.

Dziewczyna nie protestowała i Richie wyprowadził ją z pokoju. Kiedy napięcie opadło, reszta gości podażyła za Claire do jadalni na ciasto i lody. Gdy dziewczyna zapaliła świece, Max stanął obok tortu.

— Dziękuję wam wszystkim, że uczciliście wraz ze mną moje urodziny — powiedział, zdmuchując za jednym zamachem wszystkie świece. Życzenie, jakie przy tym wypowiedział, nie miało nic wspólnego z hokejem.

Kiedy wszyscy ulokowali się wygodnie, zajadając ciasto i lody, rozmowa znów zeszła na temat hokeja. Po omówieniu problemu kobiet-bramkarzy przystąpiono do rozważania wad i zalet obrońcy, pozyskanego ostatnio przez Liście. W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Chantal, daleka od swego zwykle schludnego wyglądu. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby właśnie stoczyła walkę z tygrysem i przegrała ją.

— Chantal, nic ci nie jest? Co się stało? — krzyknęła Claire, podbiegając do niej.

— Wszystko w porządku. Parę mil stąd zepsuł mi się samochód. Próbowałam go naprawić, ale...

— Chodź ze mną na górę, pomogę ci doprowadzić się do porządku — zaproponowała Claire, ujmując ją za rękę.

— Dzięki — powiedziała Chantal, uśmiechając się słabo, odsuwając z oczu pasemko włosów i przesuwając ręką po zabrudzonej twarzy.

— Amy, może puściłabyś jakąś muzykę, żeby można było potańczyć? — powiedziała Claire, wyprowadzając Chantal z pokoju.

Corey wyśliznął się z domu niezauważony. Miał zamiar odnaleźć samochód Chantal i spróbować go naprawić.

— No chodź, chyba już pora, żebyś zatańczyła z solenizantem — powiedział Max, biorąc za rękę Amy Jane.

Zdawała sobie sprawę, że pakuje się w kłopoty. Zbyt dobrze jej było w ramionach Maxa. Musiała czym prędzej wrócić do rzeczywistości.

— Czy były jakieś nowe listy, prezenty lub głuche telefony? — spytała, podnosząc głowę z ramienia Maxa, na którym przed chwilą tak wygodnie ją ulokowała.

— Nie, nic. Być może to przyjęcie nie przyda się na nic.

Amy Jane potrząsnęła głową.

— Claire tak się na nie cieszyła. Nie urządzałyśmy żadnego przyjęcia od śmierci rodziców. Oni za to urządzali je bardzo często. Dobrze nam to robi. A poza tym, ta wzmianka w kolumnie Bergera da znać komu trzeba, że nie jesteś już do wzięcia.

Mogłaby przysiąc, że Max mrugnął do niej porozumiewawczo.

— Nie wiem. Zawsze jestem do wzięcia dla niektórych osób i dla ich fantazji.

Chantal i Claire wróciły na dół. Amy Jane wysunęła się z objęć Maxa, by zapytać, czy może w czymś pomóc.

— Dokąd idziesz? — spytał, wypuszczając ją niechętnie.

— Jestem tu gospodynią. Nie mam czasu, żeby się bawić. Muszę pomóc Claire upewnić się, że wszyscy mają co pić i że dobrze się bawią.

Uśmiechnął się z satysfakcją.

— A więc przyznajesz, że dobrze się bawiłaś?

— Niczego nie przyznaję — odparła ratując się ucieczką.

— Może zjesz trochę lodów — spytała Chantal. — Nie wiem, jak jest z tobą, ale mnie czekolada zawsze poprawia humor.

— Brzmi wspaniale — zgodziła się Chantal. — Być może jak zjem, zdołam wreszcie podjąć decyzję, co mam zrobić ze swoim samochodem.

— Już się nim zająłem — oznajmił Corey, który właśnie wrócił, wnosząc ze sobą powiew chłodnego powietrza.

— O czym ty mówisz? — spytała Chantal. Wszystkie trzy kobiety popatrzyły na niego pytająco.

— Nawalił ci rozrusznik. Zadzwoń do warsztatu, żeby zabrali samochód i naprawili go.

— To można naprawić rozrusznik? — spytała Amy Jane.

— Nie, trzeba go wymienić.

— A ile kosztuje nowy? — spytała Chantal niepewnie.

— Nie martw się, nie musisz nic płacić. Są mi winni przysługę, więc zrobią to za darmo — zapewnił ją.

A teraz Chantal jest winna przysługę jemu, pomyślała Amy Jane, wręczając dziewczynie talerz z ciastem.

*

— Myślę, że przyjęcie się udało, a ty jak sądzisz? — spytała Amy Jane, gdy goście wyszli, a w domu pozostali już tylko wuj James, Bobby i Max.

Corey zaproponował Chantal, że ją odwiezie.

— Chyba rzeczywiście wszyscy dobrze się bawili — zgodziła się Claire. — Poza Bobbym. Nie wydaje mi się, żeby czuł się tu lepiej niż Richie. Może wróćmy do nich, zanim Bobby zacznie kłócić się z Maxem o to, dlaczego Richie wyszedł wcześniej.

— Nie martw się, wuj James ich powstrzyma — zapewniła Amy Jane.

— Bobby jest chyba wściekły, że zmusiłam go, by przyszedł.

Amy Jane podażyła za Claire do salonu, niosąc śmietankę i cukier do kawy.

— Czy ktoś chce kawy? — spytała, zakłócając panującą w pokoju ciszę.

— Ja poproszę — powiedział wuj James. Obaj pozostali odmówili.

Claire naląła wujowi filiżankę i usiadła obok Bobby'ego na kanapie. Wuj spróbował kawy:

— Doskonała, jak zwykle. Przysięgam, że będziesz doskonałą żoną dla jakiegoś faceta.

— Dlaczego nigdy nie mówisz tego o mnie? — spytała Amy Jane.

— Ponieważ wszyscy wiemy, że doprowadziłabyś tego biednego faceta do szaleństwa, chyba że byłby tak wyrozumiały jak ja.

— A gdzie się podziała Miranda? — spytała Claire, uświadamiając sobie dopiero teraz, że dziewczyny nie ma z nimi od jakiegoś czasu.

— Rozboliła ją głowa i pojechała z Coreym i Chantal.

— Ależ wuju! Skoro przyszła z tobą, powinieneś być odwieźć ją do domu.

— Ale nie chciałem jeszcze wychodzić, a poza tym skoro Corey jej to zaproponował, mogłem zostać.

— No cóż, nie ulega wątpliwości, że ty nigdy nie zostaniesz dobrym mężem — zaśmiał się Bobby.

— No cóż, tobie się udało, że masz Claire. Choć muszę przyznać, że dalej się dziwię, iż przegrałem zakład.

— Jaki zakład? — spytała Claire. Jej oczy zwięzły się.

— Noo...

— Wuju Jamesie...

— No, dobrze, założyłem się z Bobbym, że nigdy nie zgodzisz się pójść z nim na randkę.

— To dlatego się ze mną umówiłeś? — spytała Claire, patrząc na Bobby'ego.

Jego twarz zdradziła prawdę.

— Wynoś się!

— Daj spokój, Claire — zaczął wuj James, próbując naprawić sytuację.

— I ty także — dodała wybuchając płaczem. Zerwała się i pobiegła do swego pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

— Chyba już po przyjęciu — zauważył wuj James z miną winowajcy.

— Uważam, że lepiej będzie, jak sobie pójdziecie — zgodziła się Amy Jane.

— Piękne dzięki — rzucił Bobby pod adresem Jamesa i podążył za nim w stronę drzwi.

— Nie miałem zamiaru...

Dalsze słowa wuja zagłuszyło trzaśnięcie kuchennych drzwi.

— To przyjęcie zamieniło się w prawdziwą klęskę — powiedziała Amy Jane, spoglądając na Maxa.

— Nie powinnaś czuć się winna. I tak było to najwspanialsze urodzinowe przyjęcie, jakie miałem kiedykolwiek.

— I pewnie ostatnie... Po takich doświadczeniach — stwierdziła ponuro.

Max poklepał kanapę obok siebie.

— Chodź tu i usiądź koło mnie. Byłaś tak zajęta pełnieniem roli gospodyni, że przez cały wieczór nie miałem okazji spędzić z tobą ani chwili.

— Może lepiej zajrzę na górę i sprawdzę, co z nią.

Popatrzyła w stronę klatki schodowej, gdzie znikła Claire, gdy dowiedziała się, dlaczego Bobby się z nią umawiał.

— Wiedziałaś o tym zakładzie?

— Tak, byłem tam wtedy. Można powiedzieć, że ocaliłem cię przed podobnym losem.

— Nie rozumiem.

— No, wiesz, najpierw zakład miał dotyczyć którejkolwiek z was. Ale powiedziałem Bobby'emu, żeby nawet nie próbował umawiać się z tobą.

— A dlaczego to?

— Bo ciebie zostawiłem dla siebie. No, chodź tu wreszcie. Claire nic się nie stanie. Tak naprawdę to i tak chyba nie chciałyby związać się z kimś takim jak Bobby McQuaid. W gruncie rzeczy wuj James wyświadczył jej przysługę. Claire zasługuje na coś lepszego.

Amy Jane poddała się i usiadła obok niego.

— Czy już ci mówiłem, jak ładnie wyglądasz w tej sukience? — powiedział, obejmując ją ramieniem.

Zaczerwieniła się, czując jak zalewa ją fala gorąca, spowodowana jego bliskością.

— I twoje włosy też wyglądają inaczej. Zmieniłaś fryzurę, prawda?

— Po prostu je upięłam, to wszystko.

— Podoba mi się. Teraz łatwiej mi to robić. Zaczął całować jej szyję drobnymi dotknięciami warg, przesuwając usta w stronę ucha. Skóra Amy Jane płonęła, a rozsądek udał się na długie wakacje. Trzeba coś zrobić, i to szybko.

— Chyba lepiej posprzątam. Podaj mi rękę — poprosiła, zrywając się z sofy.

Max roześmiał się.

— No dobrze, możemy najpierw posprzątać...

Poszedł za nią do jadalni i pomógł pozbierać brudne plastikowe talerzyki i sztućce. Gdy Amy Jane wyszła do kuchni, by poszukać plastikowej torby, do której mogliby zapakować wszystkie te śmieci, zebrał palcem nieco czekoladowej polewy z tortu. Kiedy wróciła, właśnie ją zlizywał.

— Przylapałam cię.

— Jakbyś nie jadała ciasta w ten sam sposób — odparował, podsuwając jej palec do oblizania.

Zrobiła to bez namysłu, zdziwiona swoją reakcją. Nie знаła się od tej strony.

— Przeczyłaś jeszcze odrobinę — powiedział i rozsmarował smużkę czekolady na jej szyi, a potem zaczął zlizywać ją ciepłym językiem.

— Nie rób tego — jęknęła, choć jej hormony błagały o więcej.

— Dlaczego nie? — Nie miał zamiaru przestać.

— Bo jesteś klientem., Powiedziałam ci, że nie umawiam się z klientami. To nieetyczne.

— No to nie jestem już klientem. Zwalniam cię. Uważam, że ten ktoś przestał się mną interesować.

Zgarnął z tortu następną porcję czekoladowej polewy i podsunął jej palec, by go oblizała. Poddała się i powoli, z namysłem zlizwała czekoladę. Kiedy spojrzała w górę, spostrzegła, że Max się uśmiecha.

— O co chodzi? — spytała.

— Zastanawiam się, czy to mnie tak lubisz, czy czekoladę.

— Uwielbiam czekoladę — drażniła się z nim.

— A może byś tak mnie spróbowała? — zasugerował, przyciągając ją do siebie i pochylając głowę, by dosięgnąć jej warg.

To, co zaczęło się jako flirt i zabawa, szybko przekształcało się w coś o wiele poważniejszego, w uczucie pełne namiętności. Od jego pocałunku kręciło jej się w głowie. Odsunęła się.

— Kim ty właściwie jesteś? Przewodniczącym klubu dyskusyjnego? — spytała, próbując odzyskać równowagę i zapanować nad uczuciami. Tak miło byłoby się poddać...

— Czego właściwie się boisz? — spytał, jakby czytając w jej myślach.

— Siebie — odparła szczerze. — Nie jestem zbyt dobra w wybieraniu właściwych mężczyzn.

— Ja na pewno okaże się tym właściwym, wiem to. Tylko mi zaufaj.

Zaśmiała się.

— Zaufaj mi? Często się tym posługujesz?

— Ani często, ani w ogóle nigdy. Jesteś dla mnie kimś szczególnym. Nigdy dotąd nie spotkałem takiej kobiety. Masz w sobie odwagę.

— Co takiego?

— Odwagę. Jesteś jak twardy cukierek z miękkim nadzieniem. Nie popuszczasz mi cugli, lecz przeciwnie, stawiasz mi czoło. I nie okłamujesz mnie. Nie usiłujesz mną manipulować. To rzadka zaleta, wierz mi.

Czuła suchość w ustach. Jak miała mu na to odpowiedzieć? Czy poddać się i zrobić to, czego oboje pragnęli? Czy mu wierzyła? Nie grał fair. Pocałował ją znowu i znowu i robił to dotąd, aż zupełnie osłabła i stała bezwolna w jego ramionach. Tak bardzo pragnęła przytulić się do niego jeszcze mocniej. Pragnęła, by ją pieścił i głaskał.

— Zaufaj mi — szepnął przymilnie, pieszcząc kciukiem pulsującą tętnicę na jej szyi.

Przywarła do niego, przesuwając dłońmi po jego piersi i otaczając ramionami szyję. Uniosła twarz, poddając się pragnieniu.

— Amy, czy wszyscy już poszli?

Przepełniony łzami głos Claire wśliznął się pomiędzy ich rozgrzane ciała. Rozsądek Amy Jane powrócił wraz z siostrą.

16

Następnego ranka Max zasnął. Śnił mu się ślub. Wiedział, że to ślub, ponieważ dzwony kościelne dzwoniły i dzwoniły, a on stał przy ołtarzu, czekając na pannę młodą, która właśnie miała

się pojawić. Uporczywy dźwięk dzwonów przebił się przez warstwę głębokiego snu, aż w końcu zaczął miotać się po łóżku, zrzucając prześcieradło, którym był przykryty. Wzdrygnął się i po chwili obudził. To nie weselne dzwony słyszał przez cały czas, ale dzwonek do drzwi. Ktoś stał na ganku, naciskając ten cholerny dzwonek, który dzwonił bez przerwy.

— Już idę, idę — wymamrotał naciągając dżinsy i przeklinając, gdy uderzył palcem o framugę drzwi. Przez głowę przebiegła mu przyjemna myśl o stojącej przed drzwiami Amy, która zmieniła zdanie lub przynajmniej jej siostrze, która przyniosła mu śniadanie na znak, że zachowała dla niego odrobinę szacunku.

Otworzył gwałtownie drzwi akurat w momencie, gdy ten ktoś, kto naciskał dzwonek, przestał to robić. Nagła cisza była wręcz niepokojąca, podobnie jak osoba stojąca na jego progu. Nie była to Amy Jane ani nawet jej siostra z koszyczkiem Czerwonego Kapturka pełnym pyszności.

Za drzwiami stał roznosiciel. Bardzo młody zresztą, prawie dzieciak. Takich widuje się zwykle z aerozolową farbą w ręce. Dziś nie miał jednak przy sobie żadnego narzędzia zniszczenia, uświadomił sobie z ulgą Max. Dzień był zbyt piękny, by umierać.

— Już prawie straciłem nadzieję — powiedział, podsuwając mu do podpisania jakieś pokwitowanie.

— W taki dzień, jak dziś? — powiedział Max mało uprzejmie, lecz ta mało przyjemna uwaga spłynęła po chłopaku, jak woda po gęsi.

— Obudziłeś mnie... — spróbował ponownie.

Chłopak tylko skinął głową, znudzony i absolutnie nie zainteresowany.

Max przeczytał pokwitowanie, a potem przyjrzał się nalepce na paczce.

— Tu nie jest napisane, od kogo pochodzi przesyłka. A na paczce nie ma adresu zwrotnego.

Chłopak wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia, człowieku. Ja to tylko doręczam. Może to jakaś niespodzianka. Jeśli pan tego nie chce, mogę ją zabrać.

Max zdawał sobie sprawę, że właśnie tak powinien postąpić: kazać chłopakowi zabrać przesyłkę z powrotem.

Paczki bez adresu zwrotnego źle mu się kojarzyły. Jeśli ją przyjmie, Amy Jane wygarbuje mu skórę. Na pewno się wścieknie. Taki wspaniały powód. Uśmiechnął się. Gdy była zła, wyglądała jeszcze ładniej.

Podpisał pokwitowanie i dał dzieciakowi spory napiwek. Nie powinien był zachowywać się równie nie — grzecznie jak on.

— Hej, człowieku, wielkie dzięki — widok sporego napiwku podziałał wybitnie ożywiająco. — Życzę dobrego dnia?

Max odprawił go machnięciem ręki i wniósł paczkę do mieszkania. Postawił ją na ladzie w kuchni i sprawdził, czy coś w niej przypadkiem nie tyka. Nie mogąc się zdecydować, czy otworzyć ją samemu, czy też poczekać na Amy Jane, postanowił na razie wziąć prysznic.

*

Amy Jane wylegiwała się w łóżku, rozmyślając o przyjęciu. O tym, co mogło się zdarzyć, gdyby Claire nie zeszła na dół, by z nią porozmawiać.

Claire było przykro, że Bobby umawiał się z nią tylko z powodu zakładu, a kiedy Amy Jane zauważyła, że przecież umawiał się z nią także wtedy, gdy, technicznie biorąc, zakład został uznany za wygrany, Claire tylko parsknęła i stwierdziła, że dla kogoś pokroju Bobby'ego nie do zniesienia była myśl, że

pozostała dziewicą i że jej nie zdobył. Dopiero taki podbój uznalby za prawdziwe zwycięstwo.

Amy Jane skłonna była zgodzić się z opinią, że Bobby to świnia. I że Claire zasługiwała na kogoś lepszego. Wiedziała też, że jej siostra cierpi nie tyle z powodu złamanego serca, co zranionej dumy.

Claire chciała wyjść za mąż. Pragnęła tego, od kiedy zobaczyła pierwszą lalkę w ślubnym stroju. Ślęczała nad kolorowymi czasopismami dla nowożeńców. Gromadziła przepisy na ślubne torty i wykroje sukien. Jej wyobrażenia na temat małżeństwa były nader romantyczne. Dla Claire małżeństwo stanowiło miękki bawełniany kokon, chroniący ją przed zagrożeniami realnego świata, zaś mąż miał ją chronić i trwać przy niej. Wizja małżeństwa Claire była wyidealizowana niczym reklamówka diamentowej biżuterii.

Amy Jane z kolei była do małżeństwa wręcz uprzedzona. Jako zdecydowana realistka, obawiała się wpaść w pułapkę standardowego związku. Pragnęła małżeństwa, w którym pozostałaby sobą, i tylko takie mogło w ogóle wchodzić w grę.

A ostatniej nocy omal nie pozwoliła, by zawładnęła nią namiętność. Namiętność miała zaś u niej jak najgorsze notowania — kojarzyła się z pijanym marynarzem pozostawionym na brzegu, bezradnym wobec skutków emocji, nad którymi nie zapanował.

Ale któż mógłby ją winić, gdy namiętność wkradła się ukryta w silnych dłoniach i miękkich ustach Maxa. Ponieważ nie należała do typów, które lubią rozpamiętywać swoją winę, postanowiła raczej zająć się znalezieniem jakiegoś środka zaradczego, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, że gdy zbliży się zbyt blisko, by ogrzać się w promieniującym od Maxa cieple, płomień może okazać się zbyt gorący, by dłużej zaprzeczać jego istnieniu... i przyjemności, jaką sprawia jej przebywanie w jego pobliżu. I wszystkie postanowienia pójda na

marne. Powinna wreszcie nauczyć się myśleć, nie tylko czuć. Problem polegał na tym, że nie bardzo wiedziała, co ma myśleć.

Zdecydowała, że powie Maxowi, iż jego tajemniczy prześladowca bynajmniej nie zrezygnował, a nawet posunął się do uszkodzenia windy, ona zaś czekała na odpowiedni moment, żeby zacząć działać. Max musi dalej się pilnować. A ona musi pilnować jego. W ten sposób pozostanie jej klientem, co oznacza rezygnację z bardziej osobistych kontaktów. Jeśli którekolwiek z nich przestanie być czujne, Max znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Lekki wiaterek przewrócił strony magazynu, który rzuciła wczoraj na podłogę. Zmobilizowało ją to do opuszczenia ciepłego łóżka.

Gdy wstała, rozległo się ciche brzęczenie. Amy Jane uśmiechnęła się. Dźwięk wydawały srebrne bransoletki, które nosiła na przegubie. Lubiła spać ubrana jedynie w te bransoletki. Sprawiały, że czuła się rozpustna. Ciekawe, co też Max by na to powiedział, pomyślała.

Ściągnęła je z przedramienia i położyła na nocnym stoliku. Wyciągnęła z szafy dżersejową tunikę z kapturem, włożyła ją na siebie i podeszła do okna.

Zaciszna posiadłość Chadwicków tonęła w słonecznym blasku. Z okien roztaczał się rozległy widok, wydawałoby się, możliwy do uzyskania jedynie na wsi. Obramowany kamiennym ogrodzeniem, rozległy trawnik, otaczający dom w stylu Cotswold, mógłby stanowić sceneryę filmu z Katherine Hepburn.

Dzień wydawał się wręcz stworzony do przejażdżki odkrytym samochodem — rzucającą się w oczy maszyną o ozdobnych wlotach powietrza, pomalowaną na pastelowy kolor.

Będzie musiała zadowolić się zakurzonym dżipem. Ale zanim wyruszy, by nacieszyć się dniem, powinna zajrzeć do Claire i sprawdzić, jak czuje się po wczorajszym wieczorze. Kiedy już się upewni, że z Claire wszystko w porządku, będzie

mogła zejść do kuchni i zaspokoić swój apetyt na pączek. A potem zadzwoni do Maxa. Musi wyprostować ich wzajemne stosunki, to ważne.

Wyszła na korytarz i na bosaka podkradła się pod drzwi pokoju Claire. Szanowała prywatność siostry, nawet jeśli Claire nie zawsze odwdzięczała jej się tym samym. Zapukała. Żadnej odpowiedzi. Skonsternowana, nacisnęła klamkę i przekonała się, że drzwi są otwarte.

— Claire. wstałaś już? — zawołała zaglądając do wnętrza. Rozejrzała się po małej, wyłożonej drewnianą boazerią sypialni, wyposażonej w brzoskwiнового koloru pościel i także koronkowe zasłony. Musiało być później, niż sądziła, gdyż pokój był pusty, a łóżko posłane. Suknia, którą Claire miała na sobie wczoraj podczas przyjęcia nie leżała już na pokrytej brokatem sofie, a okazały zbiór flakoników z perfumami, ustawiony na królewskich rozmiarów toaletce, ozdobionej u góry koronką, został starannie uporządkowany.

Claire nie tylko już wstała, lecz zdążyła ogarnąć siebie i pokój, a teraz zapewne pracowała na dole. Fałsz Bobby'ego na pewno sprawił jej przykrość, ale uporała się z tym. Claire była twardsza, niż to na pozór wyglądało. Wręcz przeciwnie niż Amy, która robiła wszystko, by wydać się twardszą, niż naprawdę była.

Zamknęła za sobą drzwi i zeszła na dół w poszukiwaniu siostry, rozmowy i przesłodzonych pączków.

Znalazła Claire przy drewnianym stole w kuchni. Biał stółu zarzucony był katalogami kwiatów. Claire stawiała czoło problemom, kierując się hasłem: „kiedy jesteś w kłopotach, sadź rośliny”,

— Są może jakieś pączki? — spytała Amy Jane, wyjmując z lodówki karton mleka.

— Nie, ale zostało sporo tortu — odparła Claire, nie podnosząc wzroku znad arkusza.

Amy Jane wsunęła mleko z powrotem do lodówki i wyjęła pepsi.

— Jak się czujesz? — spytała. Podeszła do stołu i usiadła obok siostry. Chciała zobaczyć, co Claire zamawia.

— Dobrze, a dlaczego pytasz? — odparła Claire, spoglądając na nią. Jej oczy nie były czerwone ani spuchnięte. Prawdę mówiąc, wyglądała jak po dobrze przespanej nocy.

— Pomyślałam, że możesz czuć się kiepsko po wczorajszym wieczorze.

— Masz na myśli to, że Bobby umówił się ze mną ze względu na zakład, a ja się o tym dowiedziałam? Oczywiście, w pierwszej chwili rzeczywiście było mi przykro. Ale przecież zdawałam sobie sprawę, że to palant. Przemawiały za nim tylko jego pieniądze.

— Tak, około dwóch milionów samej pensji rocznie — powiedziała Amy Jane, pociągając solidny łyk pepsi, by się obudzić.

— Lecz brak mu kultury i dobrych manier, które ma Max. Chcę wyjść za mąż za faceta, który bardziej przypominać będzie dżentelmena, niż Bobby McQuaid. U niego imponowała mi tylko fizyczna siła i pieniądze. A to jeszcze nie wszystko. Uświadomiłam sobie, że muszę dalej szukać mężczyzny, który naprawdę będzie mi odpowiadał. A co z tobą i Maxem?

— Nie ma czegoś takiego, jak ja i Max. To przyjęcie było wyłącznie dla celów zawodowych — zaprotestowała Amy Jane. — Nie jesteśmy parą. Ja...

— Kiedy wczoraj wpadłam na was, jak przytulaliście się do siebie na sofie po wyjściu gości, wyglądaliście zdecydowanie, jak para, i to bardzo zaprzyjaźniona. I jak to wyjaśnisz, moja duża siostró?

Amy Jane pociągnęła solidny łyk pepsi.

— Nie wiem. Błąd w ocenie? — podsunęła.

Pożądanie, pomyślała.

Claire zamknęła katalog. Jej twarz przybrała poważny wyraz.

— Czy nie wydaje ci się czasem, że jesteśmy zbyt niezależne, zbyt samodzielne? — spytała.

— Tak, obie takie jesteśmy, prawda? — zastanawiała się przez chwilę. — Być może stało się tak dlatego, że nasi rodzice byli takimi dziećmi — zachichotała. — Pamiętasz, jak rodzice kiwali nad nami głowami i mówili, że w ogóle nie jesteśmy do siebie podobne?

Claire skinęła głową.

— Bo nie byliśmy. Pamiętasz nasze rowery?

Amy Jane wpatrywała się w okno, jakby spodziewała się, że je tam zobaczy.

— Twój był różowy z koszyczkiem na kierownicy, która na dodatek ozdobiona była białymi i różowymi wstążkami.

— Ty miałaś czarną wyścigówkę — zawtórowała jej Claire.

— Przyjaźniłaś się tylko z dziewczynkami.

Claire zaśmiała się.

— A ty tylko z chłopakami.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, zatopione we wspomnieniach z przeszłości, otoczone przez duchy dzieciństwa. Wreszcie Claire przerwała milczenie.

— Czy kiedyś zastanawiałaś się, jakie będą nasze dzieci?

— A czy ty kiedykolwiek pomyślałaś o tym, że możemy w ogóle nie wyjść za mąż i będziemy prowadziły ten pensjonat do emerytury jako dwie stare panny?

— Nawet o tym nie myśl. — Claire aż się wzdrygnęła.

— Sama nie wiem. To mogłoby być całkiem przyjemne. Nie powiedziałam przecież, że nie mogłybyśmy mieć zalotników. Mogłybyśmy być takimi skandalizującymi starymi pannami, prowadzącymi ten osławiony pensjonat.

— To zabrzmiało, jakbyśmy prowadziły burdel!

— To jest myśl...

— Ty możesz zachowywać się jak wuj James i być damskim odpowiednikiem myśliwego, ale ja nie. Ja zamierzam wyjść za mąż.

— Mówisz to z takim przekonaniem...

— Bo wiem, czego chcę. Prawdę mówiąc mam zamiar posadzić białe kwiaty na ślubny bukiet. Na pewno będzie piękny.

— A co ze mną? Masz też czarne kwiaty?

— Nie.

— A więc czerwone. Wybieram czerwone.

— Jeśli masz zamiar przyjść na mój ślub, będziesz trzymała białe róże.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś miała wyjść za mąż natychmiast.

— Mam taki zamiar. Planowałam to od dzieciństwa. Jest takie śliczne miejsce koło basenu z rybkami...

— Nie rozmawiacie chyba o tym, gdzie pochować moje zwłoki? — spytał Max, wtaczając się do kuchni z dwiema paczkami w rękach.

— To zależy, co tam masz w tych paczkach — zażartowała Amy Jane;

— Ta jest dla was — sięgnął po duże białe pudełko żółtawych cukierków, które cieszyły się miejscową sławą. W środku każdego cukierka znajdował się laskowy orzeszek, obłany karmelem i mleczną czekoladą. — Chciałbym wyrazić podziękowanie za wasz wysiłek w przygotowaniu przyjęcia.

Claire wzięła pudełko, a Amy Jane zaczęła ją popęczać, by szybciej rozwiązała ozdobne wstążki. Gdy Claire otworzyła wreszcie pudełko, pokój wypełnił bogaty aromat świeżej czekolady. Amy Jane chwyciła jednego „żółwia” i wbiła w niego zęby. Zamknęła oczy, rozkoszując się kremową, chrupką konsystencją cukierka. Rozkosz, czysta rozkosz.

— Chyba darujemy ci życie — powiedziała wreszcie z pełnymi ustami.

— Taak, przynajmniej na razie — dodała Claire, oblizując palce.

Amy Jane wiedziała, iż Claire ciągle ma żal do Maxa, że nie zaprotestował przeciwko zakładowi, przezornie zmieniła więc temat.

— A co jest w tym drugim pudełku?

— Coś osobistego. Czy moglibyśmy pójść na górę do twojego pokoju i otworzyć je?

— No, nie wiem... Nie jestem ubrana. — Zwróciła się do siostry: — Jak uważasz, czy to właściwe, żebym zapraszała mężczyznę, który uważa się za dżentelmena, do swego pokoju, kiedy nie mam na sobie bielizny?

Jeśli chciała zaszokować Claire, to w pełni jej się to udało.

— Amy Jane! — Claire zaczerwieniła się i potrząsnęła głową.

— Nie martw się, Claire. Jestem pewny, że ona tylko tak mówi — oznajmił Max, jak widać nader odporny na szok.

Amy Jane wiedziała, że ten komentarz dotyczy jej uporu w kwestii nieumawiania się z klientami i chwilowego złamania tej zasady wczoraj na sofie. Całe szczęście, że Claire w samą porę nadeszła. Jeśli o to idzie, Max Armstrong potrafił z pewnością nie tylko gadać.

— Wiesz, Claire — zaczęła, przyglądając się pilnie swoim paznokciom — pochowanie Maxa obok tego stawu nie wydaje mi się tak zupełnie pozbawione sensu. Nikt by nas nie podejrzewał.

Oczy błysnęły jej figlarnie.

— I pomyśl o tym potwornym skandalu, kiedy umarłybyśmy mając dziewięćdziesiątkę z okładem i ktoś znalazłby ciało. A znaleźliby je na pewno, ponieważ zostawiłybyśmy wszystkie pieniądze naszym siedmiu kotom i

zaznaczyły w testamencie, że pieniądze zakopane są obok stawu z rybkami. Przeszłybyśmy do legendy i...

— Chyba już widziałem ten film — wtrącił Max — nie uda ci się mnie przestraszyć. Muszę tylko pamiętać, żeby wystrzegać się wina.

— Czy ktoś już ci powiedział, że jesteś zbyt pewny siebie? Zupełnie jak kogut — burknęła Amy Jane wstając, by zaprowadzić go na górę.

Seksowny uśmiezek Maxa powiedział jej, że ma na końcu języka jakąś dwuznaczną aluzję, lecz jeśli nawet tak było, powstrzymał się przed jej wypowiedzeniem.

— Nie zapomnij swojej paczki, mańdralo — rzuciła za siebie. Pędziła po schodach, przeskakując dwa stopnie naraz, dopóki nie przypomniała sobie, że naprawdę nie ma na sobie bielizny.'

Max szedł tuż za nią, niosąc przed sobą paczkę. Wszedł do sypialni i zamknął drzwi.

— Czy to konieczne — spytała, podnosząc na niego wzrok.

— Nie jestem pewny. Może. Pamiętaj, mówiłem ci, że to sprawa osobista. Chyba nie chciałybyś, żeby Claire się w to wmieszała.

— Więc co takiego jest w tej paczce, że moja siostra nie może tego zobaczyć? — spytała, krzyżując przed sobą ramiona. — Nie może to być nic naprawdę dobrego, bo zawsze mówiono mi, że dobre rzeczy przychodzą w małych paczkach, a ta wygląda na całkiem okazałą.

— Chyba będziemy musieli ją otworzyć, żeby dowiedzieć się, co jest w środku, prawda?

— Daj spokój, Max, nie znoszę niespodzianek. Powiedz, co mi kupiłeś, a ja odegram zaskoczenie, tak jak ty wczoraj podczas przyjęcia. A jeśli już mowa o przyjęciu, czy musiałeś wykorzystywać sytuację i całować mnie przy wszystkich?

— Podobalo ci się, prawda? — powiedział, mrugając porozumiewawczo.

Spojrzała na niego. Było to spojrzenie zarezerwowane dla sprzedawczyń, które mówiły jej: „tak ci w tym ładnie, moja droga!”

— No dobrze — warknęła. — Zajmijmy się lepiej tą paczką.

— Świetny pomysł — zgodził się, przenosząc paczkę z biurka na łóżko. Usiadł na nim, moszcząc się wygodnie.

Amy Jane spojrzała na niego z ukosa. To, że tak swobodnie czuł się w jej sypialni, wydało jej się niewinne i podejrzane zarazem. Nie odezwała się jednak. Zamiast tego podniosła pudło, oceniając jego wagę.

— Dość lekkie. Co to takiego? Krażek hokejowy z twoim autografem?

— Sprytnie, bardzo sprytnie.

Przyłożyła do paczki ucho.

— Nie tyka... — oznajmiła.

— Wiem, już to sprawdziłem.

— Jak to już sprawdziłeś? Czy ty w ogóle wiesz, co jest w środku?

— Nie mam pojęcia.

— Czy chcesz powiedzieć, że tylko podrzuciłeś paczkę, którą ktoś ci dla mnie dał? Może Chantal? Próbowala nie dać po sobie poznać, lecz widać było, że jest zdenerwowana. Być może zresztą nie bardzo się starała.

— Nie rozumiesz. Ta paczka nie jest dla ciebie, lecz dla mnie — wyjaśnił pospiesznie.

— Ale powiedziałaś, że to coś osobistego, więc pomyślałam — poczuła, że żołądek podejżdża jej do gardła. Zastanawiała się, czy Max domyślił się jej rozczarowania. Na pewno tak. Czula się zażenowana.

— Bo to jest osobiste. Paczkę przyniesiono dziś rano do mojego mieszkania.

— Kto ci ją przysłał? — spytała, spoglądając na nalepkę z adresem. — I dlaczego sam tego nie otworzyłeś?

— Nie wiem, kto to przysłał. Dlatego ją tu przyniosłem. Pomyślałem, że będziesz chciała rzucić okiem, zanim ją otworzę.

— Ach tak. — Czuła się coraz bardziej zażenowana. Ależ z niej idiotka! Ona tu plecie rozkosznie na temat prezentu, który Max jej kupił, a on nawet o tym nie pomyślał... A co gorsza, kiedy o tym myślała, dochodziła do wniosku, że przecież tak naprawdę Max nie miał żadnego powodu, by kupować jej prezenty. Sama się o to postarała. Wyciągnęła zbyt pochopne wnioski.

Pragnąc ułatwić jej sytuację, powiedział:

— Zdajesz sobie sprawę, że mogę się potężnie wygłupić, jeśli to prezent urodzinowy od drużyny, lub coś takiego...

Amy Jane chciałyby mieć nadzieję, że to prawda. Łatwiej byłoby pośmiać się z własnego zażenowania, jeśli miało się towarzystwo. Ale przecucie mówiło jej, że to sprawka tajemniczego prześladowcy. Była tego pewna.

— No cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć — powiedziała, zdzierając brązowy papier z kwadratowego pudełka o boku długości trzech stóp. W środku znajdowało się następne pudełko, takie jakich używają w sklepach spożywczych. Nazwa i adres producenta nadal się na nim znajdowały. Ktoś nieźle się natrudził, by okleić pudło taśmą. Wyglądało jak opieczętowane.

— Nożyczki — rzuciła, wyciągając rękę niczym chirurg podczas operacji.

— Gdzie?

— W biurku. Środkowa szuflada.

— Nie ma — stwierdził, przejrzawszy starannie jej zawartość, składającą się z pogniecionych papierów i różnych innych dziwnych przedmiotów, takich jak skamieniałe cukierki

czy stare klucze. — Spróbuj w lewej górnej — zasugerowała, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć, kiedy używała ich po raz ostatni.

— Tu też nie ma.

— To pomyśl, gdzie mogą być. Bo ja nie mam pojęcia.

Po przeszukaniu wszystkich szuflad biurka Max znalazł wreszcie nożyczki. Leżały starannie ukryte pod stosem gazet na skraju biurka.

— Nożyczki — powiedział podchodząc do łóżka i wkładając je jej do ręki.

Amy Jane przecięła taśmę i zdjęła składający się z czterech części wierzch pudełka. Pod spodem zobaczyli kłęb pozwijanych papierów. Po odrzuceniu wierzchniej warstwy gazet ich oczom ukazała się leżąca pod spodem odpiłowana głowa dziecinnego drewnianego konika.

— No cóż, nie wydaje mi się, żeby to był zbiorowy prezent od drużyny, chyba że ci chłopcy mają nader dziwne poczucie humoru.

— A cóż to u diabła jest? — zdziwił się Max, wyciągając rękę po głowę.

— Sądzę, że to jest przesłanie. I chyba nie o urodzinowe życzenia tu chodzi.

— A ja sądzą, że masz rację — zgodził się Max, wrzucając głowę z powrotem do pudła.

— Nie podoba mi się to, Max. Bardzo mi się nie podoba. Uważam, że powinniśmy pójść z tym na policję. Mam przyjaciół w komisariacie, na pewno okażą się dyskretni, jeśli ich o to poproszę.

— Nie, żadnej policji.

— Max...

— Daj spokój, Amy. Odcięta głowa dziecinnego konika... Wyjdę na głupca.

— Masz może jakiś nowy pomysł, kto mógłby ci to przysłać?

— Przychodzi mi na myśl tylko Kerry Ashton. Ona ma cokolwiek spaczony poczucie humoru.

— Ale to w ogóle nie jest zabawne...

— Wiem.

— Przyjrzyjmy się tej paczce dokładniej. Może znajdziemy jakiś ślad, który przeoczyliśmy. Gdyby wskazywał na Kerry, moglibyśmy postarać się o sądowy nakaz trzymania się od ciebie z daleka.

— Poczekaj chwilę. A to co znowu? — spytał, wskazując na leżącą pomiędzy nimi na łóżku białą kartkę. Najwidoczniej upadła tam, gdy wyrywał Amy Jane głowę konia.

Podniósł papier i przeczytał:

Najdroższy Maxie: Należysz do mnie.

Kocham Cię

— Doprawdy, skóra mi cierpnie! — parsknął, wrzucając kartonik do pudła razem z odciętą głową.

— Czy nienormalne poczucie humoru to na pewno jedyny powód, dla którego Kerry mogłaby ci to przysłać?

— Ładne dziewczyny nie lubią, kiedy im się odmawia. Kerry nie jest do tego przyzwyczajona.

Chyba nikt, ładny czy nie, nie jest w stanie łatwo pogodzić się z odrzuceniem, pomyślała, przerzucając pozostałe papiery. Jednak niczego nie udało jej się znaleźć. Ktokolwiek przysłał paczkę, z pewnością był bardzo ostrożny. Nie mieli do czynienia z jakimś głupkiem. Ten ktoś był po prostu chory. Bardzo chory.

Zaznajomiła się z literaturą na temat tego typu ludzi. Charakteryzowały ich obsesyjne myśli w rodzaju: „Mam prawo do wszystkiego, czego zapragnę. Liczę się tylko ja. Mogę unicestwić każdego, kogo zechcę”. Max miał rację co do jednej rzeczy: nie byli w stanie pogodzić się z odmową. A czynnikiem,

który sprawiał, że w końcu przekraczali granicę i przechodzili od słów do czynów, była często zazdrość.

Urodzinowe przyjęcie Maxa zadziało. Czemu więc nie czuła żadnej satysfakcji? Zaczęła upychać papiery z powrotem do pudełka.

— Nadal uważam, że powinniśmy pójść na policję — spróbowała po raz ostatni.

— Nie. Żadnej policji. — Najwyraźniej nic nie mogło skłonić go do zmiany zdania.

— No cóż, z tym niewiele da się zrobić. Ta gazeta to „Post-Dispatch”. Nie sposób ją wyśledzić, podobnie jak pudełko. Może ten konik. Poczekaj chwilę, ubiorę się i zobaczymy, co dalej.

Odłożyła pudełko, wstała i podeszła do szafy.

— Chcesz, żebym poczekał na ciebie na dole?

— Nie, po prostu się odwróć — powiedziała, wyciągając z szafy dzinsy i wydekoltowaną bluzeczkę. Podeszła do komody, by wyjąć bieliznę z szuflady i w tym momencie uprzytomniła sobie, że nie ma już ani jednego czystego biustonosza. O, do diabła, obejdzie się bez biustonosza.

Dobry sposób, żeby odciągnąć myśli Maxa od końskiej głowy. Wyglądał na nieco przestraszonego.

Złapała parę majtek, lecz zobaczyła, że są poprute na szwie. Wrzuciła je więc z powrotem i sięgnęła po inne.

— Cholera! — krzyknęła i zaczęła wyrzucać za siebie majtki.

Max odwrócił się w samą porę, by jedna para wylądowała mu na twarzy.

— Co ty wyprawiasz — nie, żebym miał coś przeciw...

W panice otwierała kolejne szuflady mebla i przeszukiwała je.

— Co...

Zamknęła ostatnią szufladę i odwróciła się do Maxa, który stał, trzymając w dłoni jej majtki.

W poniedziałek wieczorem Amy Jane czuła się kompletnie załamana. Wypełniła stosowny formularz policyjny, ale rewolweru nie znaleziono. A ona nie była wcale bliżej rozwiązania zagadki, niż pierwszego dnia.

Kiedy leżała wyciągnięta na kanapie w bibliotece, oglądając pierwszy mecz drugiej rundy rozgrywek, pomyślała, że przynajmniej dwóch rzeczy może być pewna: po pierwsze, broń ukradł któryś z gości, obecnych na przyjęciu i po drugie, ten ktoś z pewnością zamierzał jej użyć.

Jej interesy z pewnością ucierpiałyby, gdyby pewnego dnia otworzyła gazetę i przeczytała wielki nagłówek: OFIARA ZASTRZELONA Z PISTOLETU PRYWATNEGO DETEKTYWA. I nie potrzebowała żadnych przeczuć, żeby domyślić się, że to Max miał być tą ofiarą.

Nawet drewniany konik okazał się ślepą uliczką, tak to określimy. Jeśli wkrótce nie wpadnie na jakiś przyzwoity ślad, nie uda jej się zakończyć sprawy, zanim ktoś nie ucierpi.

W tym momencie Lwy zdobyły decydującego gola. Drużyna prowadziła w meczu z Klonowymi Liśćmi dwa do zera.

— — Nie masz zamiaru oglądać meczu? — spytała siostrę, która leżała wygodnie zwinięta na bujanym fotelu z książką w ręku.

— Nie.

— Ależ to twój patriotyczny obowiązek — przymilała się Amy Jane. — Jeśli przegrają, to będzie twoja wina.

— Mam nadzieję, że przegrają.

— Claire!

— Nic na to nie poradzę.

Amy Jane wiedziała, że Claire przysłuchuje się transmisji, tylko udając brak zainteresowania. Jednak w ciągu ostatnich piętnastu minut nie przewróciła ani jednej kartki. Pozwoliła jej więc zachować złudzenia.

Każdy miał prawo do jakichś złudzeń. Te, którym oddawała się Claire, dotyczyły mężczyzny, który czeka gdzieś tam, aby uczynić ją szczęśliwą. Amy Jane wiedziała lepiej. Należało kochać samego siebie. Znalezienie kogoś, kto by cię kochał, to czysty fuks. A im byłeś starsza, tym sprawy miały się gorzej. W barach pełno było co najwyżej dwudziestopięciolatków, a na przyjęcia przychodziły prawie wyłącznie małżeństwa. Kobiety lat dziewięćdziesiątych cierpiały z powodu szerokich możliwości wyboru, co rodziło wysokie wymagania. Ona obniżyła swoje od „mężczyzny, który spełni wszystkie jej pragnienia” do „faceta, za którego nie trzeba się wstydzić w miejscach publicznych i który nie obślinia cię przy całowaniu”.

Max doskonale spełniał ostatni warunek, choć nie była pewna co do pierwszego. Czasami wręcz miała wrażenie, że zawstydzanie jej w miejscach publicznych sprawia mu przyjemność.

Usłyszały głęboki głos Maxa: „Nasi boją się pojedynków z utalentowanymi graczami Liści. Trener Tom Quinn ma więc pełne ręce roboty. Wydaje się, że w pierwszych trzech minutach tercji zachowywali się wręcz bojaźliwie. O, rany, McQuaid znów zostaje ukarany za zbyt wysokie trzymanie kija. Powinien pohamować swój temperament, gdyż w przeciwnym razie gotów zniszczyć szanse Lwów w tych rozgrywkach. To kara dwuminutowa. Korzystając z przerwy w grze...”

*

Max potrzęsnał głową.

— Ten McQuaid psuje robotę wszystkim — powiedział do Coreya i Chantal, siedzących wraz z nim w kabinie sprawozdawcy.

— Czy aby na pewno nie jesteś choć trochę zazdrosny? — spytała delikatnie Chantal, powtarzając oskarżenia Richiego.

— O co miałbym być zazdrosny?

— McQuaid jest piekielnie dobrym zawodnikiem — powiedział Corey.

— Owszem, kiedy gra. Lecz on przez większość czasu albo się bije, albo prowokuje bijatyki.

Jeśli Corey i Chantal potrzebowaliby następnych argumentów, był gotów przedstawić im kolejny. Bobby pragnął komuś przyłożyć, ponieważ nie umiał poradzić sobie z tym, co mu dolegało. Nie mógł pogodzić się z faktem, że można jedną decyzją zrujnować komuś życie. I dlatego tak się wściekał. Niczym ofiara przypadkowej strzelaniny pomstował, że nie zasłużył sobie na to, co go spotkało.

Gra została wznowiona, kibice nasilili doping. Chantal podała mu kopertę.

— Co to takiego? — spytał, unosząc brwi.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Jakiś dzieciak dał mi to dla ciebie, kiedy wracałam z toalety.

— Jak on wyglądał?

— Nie wiem. Po prostu dzieciak.

„Krażek został stracony w strefie neutralnej” — relacjonował Corey. „Numer pięć jest na spalonym w pobliżu prawego skrzydła. Dziesiąta minuta gry”.

Max ze strachem otworzył kopertę. Wyjął karteczkę i przeczytał:

Najdroższy Maxie:

Albo oznajmisz dzisiaj na antenie, że masz zamiar się zaręczyć, albo też...

Schował list z powrotem do koperty i wsunął ją do kieszeni rozpinanego swetra. Włączył się do relacji: „Lwy powinny to wykorzystać i popracować nad obrońcami Liści” — powiedział do mikrofonu.

Resztę meczu relacjonował rutynowo, nie poświęcając grze większej uwagi, niż to konieczne. Cały czas myślał o kartce ukrytej w kieszeni blezera. Nie pomogło nawet to, że Lwy rozgrywały dziś wyjątkowo ciężki mecz, a pod koniec trzeciej tercji doszło do bijatyki, która spowodowała ukaranie wielu zawodników. Ostatecznie Lwy przegrały z Liśćmi, nie strzelając nawet honorowej bramki.

W kabinie sprawozdawców panował ponury nastrój. Jeszcze gorzej było w szatni dla zawodników. Bobby i Richie unikali Maxa. Nawet tak zwykle rozmowny bramkarz nie chciał nic mówić na temat meczu. Max przeprowadził w końcu wywiad jedynie z obrońcą Lance Thomure.

Kiedy dotarł na parking przed Kopułą, gdzie zostawił swój samochód, przekonał się, że przegrany mecz to dopiero początek atrakcji wieczoru. Opony jego samochodu zostały przecięte. Wszystkie cztery. Z niedowierzaniem okrążył ponownie samochód.

Co tu się, do cholery, działo?

*

Stał obok samochodu, czekając na Amy Jane. Uznał, że może poprosić ją o pomoc, gdyż i tak byli później umówieni. Odrzucił już kilka ofert pomocy i wytrzymał sporo zdziwionych spojrzeń, nie wyjaśniając niczego.

W końcu zobaczył nadjeżdżającego dżipa. Oderwał się od swojego samochodu, przy którym tkwił w niedowierzaniu, i

podszedł do niej. Zaparkowała tuż obok. O tej porze parking był już pusty.

— Masz jakieś kłopoty z samochodem, tak? — spytała. Widząc pocięte opony, tylko pokiwała głową.

— Ktoś bardzo cię nie lubi.

— Czy musisz odgrywać sławnego detektywa, Amy Jane Chadwick? — mruknała, obchodząc wraz z nią samochód. Przykłąkli, by lepiej przyjrzeć się oponom.

— Na twoim miejscu byłabym dla mnie miłsza. W końcu to ja jestem jedyną posiadaczką całych opon w najbliższej okolicy. Co chcesz z tym zrobić?

— Zostawię go tutaj, zajmę się nim jutro. Gdybyś mogła podrzucić mnie do domu...

— Jedźmy.

— Może ja poprowadzę — zaproponował, wyciągając rękę po kluczyki.

Zachnęła się.

— Nawet mi nie mów, że jesteś jednym z tych facetów, którzy nie czują się mężczyznami, siedząc w fotelu dla pasażera, gdy prowadzi kobieta.

— Chcę prowadzić, gdyż jest coś, na co powinnaś spojrzeć, kiedy ja będę zajęty jazdą — wyjaśnił.

— Co to takiego? — spytała, wręczając mu kluczyki i okrążając samochód, by zająć miejsce dla pasażera.

Max poszedł za nią i otworzył drzwi. W samochodzie wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją Amy. Kiedy wyjeżdżali z parkingu, Amy Jane zapaliła światło i wyjęła ostatni list.

— O ile czegoś nie przegapiłam, to nie ogłosiłeś żadnych zaręczyn dziś wieczorem — powiedziała, chowając kartkę z powrotem do koperty. — Prawdę mówiąc, zdrzemnęłam się trochę.

— Masz rację, nie ogłosiłem — zgodził się Max, wprowadzając dżipa na wjazd na autostradę.

- I sądzisz, że pocięte opony to właśnie to „albo też...”
- A ty tak nie uważasz?
- Jest coś, o czym powinnam ci powiedzieć...
- Co takiego? — Max przyśpieszył i zmienił pas ruchu.

Dojeżdżali do pasażu Chesterfield.

- Pamiętasz, jak utknąłeś w windzie w klubie Missouri?
- Taak... nieprędko to zapomnę.
- To nie był przypadek.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ktoś majstrował przy tablicy kontrolnej. Ta osoba chciała, żebyś tam tkwił.
- Ale dlaczego?
- Żeby cię przestraszyć. Z tego samego powodu pocięto ci dzisiaj opony.

— Ale to nie ma sensu. Dlaczego wszystkie listy podpisane są KOCHAM CIĘ?

— Ze wszystkiego, co na ten temat czytałam, wynika, że ktokolwiek to jest, pragnie zachować kontrolę i nie udaje mu się to. Próbuje cię więc przestraszyć, ponieważ nie odwzajemniasz miłości, którą do ciebie czuje. A kiedy jego miłość zostaje odrzucona, taki maniak odczuwa przemożną potrzebę zademonstrowania swojej siły, co skłania go do przestępczych zachowań.

- To sytuacja bez wyjścia, prawda?
- Jest tylko jeden sposób. Musimy dowiedzieć się, kto to jest.
- Odzyskałaś swój pistolet? — spytał, zjeżdżając z autostrady.
- Nie.
- Cholera! — zaklął, uderzając dłonią w kierownicę.

Była zdziwiona jego wrażliwością na ciosy. Oto silny mężczyzna, zmuszony do okazania słabości przez przeciwnika, którego nie mógł pokonać. A ona tkwiła w tym po same uszy.

— Posłuchaj, jeśli chcesz wynająć kogoś innego...

— Nie, chcę ciebie.

Zatrzymali się przed jego mieszkaniem.

— Ale ja nie mam doświadczenia w takich...

— Chcę ciebie.

Pogłaskał ją po ramieniu.

W panice otworzyła szybko drzwi i wyskoczyła z samochodu. Podbiegła do drzwi od strony kierowcy i stanęła tam, oczekując, aż wysiadzie.

— Zadzwoń, jeśli będziesz chciał dokądś pojechać rano.

— Nie wejdiesz? — spytał wyraźnie rozczarowany, wysiadając z dżipa.

— Nie. A ty uważaj, przyjmując paczki i otwierając drzwi. Jeśli coś ci się stanie, znienawidzę cię na zawsze i...

— Uspokój się — powiedział, przesuwając palcem po jej wargach. — Nic się nie stanie. A potem wziął ją w ramiona i mocno przytulił.

— Och, Amy — westchnął, całując ją w czubek głowy. — Kiedy to wszystko wreszcie się skończy...

— Kiedyś się skończy — obiecała, odpychając go.

*

Amy Jane siedziała w swoim pokoju, obwiniając się. Powinna była to przewidzieć. Kiedy skończyły się głuche telefony, można było się domyślić, że ten ktoś zamierza zacząć działać. Nie było czasu do stracenia. Musi dowiedzieć się, kim jest ta osoba, zanim rzeczy zajdą za daleko. Coś związanego z tym, co usłyszała przez telefon Maxa, nie dawało jej spokoju. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć, co to takiego... Lecz im bardziej się starała, tym bardziej ów fakt wymykał się jej pamięci. Podeszła do szafy i zdjęła z niej książkę telefoniczną, zawierającą spis telefonów instytucji. Odnalazła sklepy z

zabawkami, wzięła z biurka ołówek i notes i zaczęła przygotowywać listę.

Rano zadzwoni do wszystkich i spróbuje ustalić, skąd pochodzi konik, którego odciętą głowę przysłano Maxowi. Nie zawiedzie oczekiwań Maxa. Nie wolno jej tego zrobić.

*

„Oglądacie państwo transmisję meczu hokejowego z St. Louis. W czwartej minucie, pierwszej sekundzie trzeciej tercji rezultat nadal bezbramkowy” — relacjonował Max, przerywając, gdy na ekranie ukazała się kolejna reklama piwa.

Przez całą noc nie zasnął ani na chwilę, nic więc dziwnego, że teraz piekły go oczy. Nawet relacjonowanie meczu nie pomagało mu zachować trzeźwego umysłu, zwłaszcza że był to z pewnością najnudniejszy mecz sezonu, prawie tak nudny, jak dopingowanie Ligi Amerykańskiej w rozgrywkach baseballowych All-Star Game.

Reklamówka dobiegła końca. Jeszcze raz spróbował skoncentrować się na tym, co robi, zamiast rozmyślać o swoim prześladowcy. Jego wysiłek doczekał się nagrody, gdyż wkrótce mógł z dumą ogłosić: „Błyskotliwa obrona bramkarza Lwów, Richie Allena! Mimo to Lwy przegrywają w jedenastej minucie, czterdziestej piątej sekundzie trzeciej tercji cztery do jednego”.

W chwilę później znów ziewał. A po upływie jeszcze jednej minuty na lodzie pokazała się krew. To Bobby McQuaid przycisnął jednego z zawodników Liści do bandy i mocno uderzył go pięścią. Była to ostatnia rozgrywka meczu, która z pewnością nie miała nic wspólnego ze zdobywaniem goli, za to wszystko ze zdobywaniem punktów.

Zawodnik Liści został wyniesiony na noszach, a Lwy zeszły z lodowiska pobite, nie strzeliwszy ani jednej bramki. Klonowe

Liście prowadziły tym samym dwa do zera w drugiej rundzie rozgrywek.

Nie okazujący cienia skruchy McQuaid podniósł w górę, pięść, niczym gladiator oczekujący aplauzu tłumów.

Maxowi z wściekłości zrobiło się czerwono przed oczami. Prawy sierpowy McQuaida na pewno przyczyni się do umocnienia opinii o hokeju jako najbardziej brutalnym zawodowym sporcie. Kiedy on grał, robił to czysto. Kochał sport i nie mógł pogodzić się z tym, że chuligani i rzezimieszki traktują go jako pretekst do znęcania się nad słabszymi.

Po meczu, gdy zawodnicy już się umyli i ubrali, Max oskarżył Bobby'ego, że przez niego drużyna przegrała mecz.

— Tobie nie zależy na graniu. Ani na zdobywaniu goli. Nie obchodzi cię zwycięstwo. Jesteś po prostu maszyną do bicia.

— Zamknij się, Armstrong. Nie wiesz, o czym mówisz. Jesteś tylko byłym zawodnikiem, który wypadł z gry i nie może się z tym pogodzić. Zabeczanym dzieciakiem. A może byś tak zacisnął pięści i poparł swoje słowa czynem, jak mężczyzna.

— Mężczyzna nie musi używać pięści, żeby go słuchano — odparł Max, cofając się, by uniknąć popchnięcia. Jednak jego ręka mimo woli przejechała po kurtce Bobby'ego i coś wypadło mu z kieszeni. Bobby błyskawicznie schylił się, podniósł leżący na podłodze przedmiot, schował go do kieszeni i szybko odszedł. Lecz Max zdążył już zobaczyć, co to było: zwinięty w rulonik banknot pięćdziesięciodolarowy. To wyjaśniało wiele. Bobby nie był po prostu chuliganem, był człowiekiem straconym.

Jadąc do domu nadal rozmyślał o Bobbym. Jego wysiłki, by skłonić Bobby'ego do grania czysto i wykorzystania swego talentu, spełzyły na niczym. Zdawał sobie sprawę, że to nie jego interes. To była sprawa dla trenera, lecz nie mógł znieść myśli, że ktoś tak uzdolniony, jak Bobby może tak łatwo zaprzepaszczać karierę, za którą on oddałby wszystko. Być może powinien porozmawiać z Richie Allenem. Richie był

najlepszym przyjacielem McQuaida. Ktoś powinien powiedzieć Bobby'emu, że branie kokainy nie było najlepszym sposobem na rozwiązanie jego problemów. I właśnie wtedy zorientował się, że ktoś za nim jedzie. Spojrzał w lusterko i zobaczył czarnego land rovera Bobby'ego, który niemal siedział mu na zderzaku. Przyspieszył, lecz Bobby przyspieszył także, nadal usiłując go zepchnąć.

Zwolnił. Bobby zjechał na pas dla wyprzedzających i zaczął nacierać na jego samochód. Musiał być nieźle naćpany, żeby próbować czegoś równie głupiego.

Max nagle uświadomił sobie, że naprawdę znajduje się w niebezpieczeństwie. Bobby McQuaid to bomba z opóźnionym zapłonem, czekająca, by ktoś ją nastawił. Musi się go pozbyć, zanim ktoś zostanie zabity.

Gorączkowo zastanawiał się nad sposobami wymknięcia się Bobby'emu i uniknięcia przy tym ogólnej katastrofy. Wyglądało na to, że w stanie, w jakim się znajdował, Bobby gotów był narazić na śmierć wiele niewinnych osób, byle tylko odegrać się na Maxie.

Znak zwiastujący zjazd z autostrady podsunął mu pewien pomysł. Przyspieszył, poczekał aż Bobby znajdzie się tuż za nim, po czym w ostatniej chwili skręcił. Poczul, że samochód przez chwilę dosłownie szybuje w powietrzu, a potem opada, ślizgając się na dwóch bocznych kołach. Zahamował gwałtownie.

Bobby'emu nie udało się powtórzyć tego manewru, musiał pojechać dalej autostradą. Nawet on nie był na tyle szalony, by zawrócić i stawić czoło pędzącej prosto na niego fali pojazdów. Odetchnął z ulgą. Pozbył się Bobby'ego nie tracąc samochodu. Skorzystał z czerwonego światła, by uspokoić oddech. Niebezpieczeństwo było zbyt blisko, żeby zachować dobre samopoczucie. Bobby'emu trudno będzie przemówić do rozsądku, a już na pewno nie on powinien tego próbować.

Dreńczyło go pytanie, czy należy powiedzieć Tomowi Quinnowi o flircie Bobby'ego z kokainą?

*

Amy Jane czuła się zawiedziona. Dzwoniła do wszystkich sklepów z zabawkami, lecz nigdzie nie mieli na składzie takich koników, jakiego głowę przysłało Maxowi. Ani teraz, ani w przeszłości. Wszystko wskazywało więc na to, że zabawka została wykonana domowym sposobem.

Zadzwoił telefon. Odruchowo podniosła słuchawkę, zastanawiając się w dalszym ciągu, czy byłoby możliwe wyśledzenie czegoś, co zostało wykonane w domu i jak ewentualnie należałoby się do tego zabrać.

— Udało mi się przetrwać wieczór bez nowych dowodów uczucia ze strony mojej wielbicielki — powiedział Max. — Wygląda na to, że atmosfera zaczyna się zagęszczać. A co u ciebie? Udało ci się może dowiedzieć, kto pragnie kochać mnie aż do śmierci?

— Nie, wszystko tak się wlecze. Zupełnie jak gra Lwów wczoraj wieczorem. Co za nudy! Cieszę się, że odradziłeś mi pójście na mecz. Wcale nie chciałabym oglądać na żywo, co Bobby zrobił temu zawodnikowi Liści. Widziałeś, ile było krwi? Mam nadzieję, że nic poważnego mu się nie stało.

— Na szczęście ma tylko złamany nos. Ale kiedy już mówimy o wyjściu z opresji, to właśnie mi się udało. Przed chwilą Bobby usiłował zepchnąć mnie z drogi — powiedział na pozór obojętnie.

— Co usiłował?

— Zwymyślałem go za to popisywanie się podczas meczu. Może nie powinienem był tego robić przy zespole, ale zasłużył sobie, by ktoś go wprawił w zakłopotanie. Zaprzepaścił parę ładnych okazji do strzelenia gola, ponieważ zbyt był zajęty

odgrywaniem twardziela. W każdym razie pojechał za mną i próbował zepchnąć mnie z autostrady.

— Nic ci się nie stało? I co właściwie się wydarzyło? — spytała, próbując zapanować nad głosem.

— Nic mi nie jest. Udało mi się go zgubić. Zjechałem z autostrady, kiedy się tego nie spodziewałem. Myślę, że pojechał do domu.

— Nie możesz być pewny, że nie będzie się starał dostać do twojego mieszkania. Upewnij się, że dobrze zamknąłeś drzwi i nie wahaj się dzwonić na policję, jeśli się pokaże. I zadzwoń do mnie.

— Jesteś pewna, że nie wolałabyś tu przyjechać, żeby mnie chronić? — spytał przymilnie, nadając swemu głosowi ciepłe, sugestywne brzmienie.

— Co takiego jest w was, mężczyznach, że niebezpieczeństwo tak was podnieca?

— Wcale nie powiedziałem...

— Dobranoc, Max.

*

Bobby dobijał się do drzwi wejściowych, powodując przy tym hałas, który mógłby obudzić umarłego.

— Wiem, że tam jesteś.

Żadnej odpowiedzi.

— No dalej, wpuść mnie — powiedział, uderzając ponownie w drzwi.

Kiedy i to nie poskutkowało, podszedł do swego samochodu, zaparkowanego przy krawężniku i nacisnął klakson. Tym razem osiągnął zamierzony skutek. Drzwi otworzyły się i Richie Allen wypadł na ganek, ubrany tylko w bieliznę.

— Co ty u diabła wyprawiasz, człowieku!? — zawołał, strącając rękę Bobby'ego z klaksonu. — Chyba nie chcesz, żeby sąsiedzi nas zlinczowali?

— Nie obchodzi mnie twoi cholerni sąsiedzi.

— Ale mnie obchodzą. Lepiej wejdź i powiedz mi co tu, u diabła, robisz — powiedział Richie wracając do mieszkania.

Bobby podążył za nim, przeklinając bez przerwy.

— Co to za awantura? — spytała Kerry. Wyszła z sypialni ubrana tylko w koszulę Richiego.

— Nic takiego. Wracaj do łóżka, zaraz przyjdę. Bobby chce o czymś pogadać.

Kerry usadowiła się na sofie, ignorując aluzję Richiego, by pozostawiła ich samych.

— Chcę, żebyś ze mną poszedł — upierał się Bobby.

— Dokąd?

— Do mieszkania Armstronga. Chcę mu skopać tyłek. Ten sukinsyn znowu się do mnie przyczepił.

— Uspokój się. Nawet nie wiesz, gdzie on mieszka — stwierdził Richie rozsądnie.

— Ja wiem — wtrąciła Kerry. — Mogę wam pokazać.

— Ty lepiej bądź cicho — powiedział ostrzegawczo.

— Ktoś wreszcie powinien dać mu nauczkę — rzuciła.

— Być może, ale nie dziś.

— Dlaczego nie dziś? — spytał wojowniczo Bobby, krążąc nerwowo po pokoju.

— Jestem zajęty — powiedział Richie wskazując na Kerry.

— A tak, racja. Wybacz, chłopie.

— No, już dobrze. Posłuchaj, a może przespałbyś się z tym problemem na naszym tapczanie — zasugerował Richie.

— Nie, dzięki. Wracam do domu.

*

James Chadwick właśnie zamykał bar. Był w dobrym nastroju, gdyż udało mu się poczynić postępy na drodze zdobycia Mirandy. Umówili się na randkę w pierwszy wolny dla obojga wieczór. James obiecał jej przejażdżkę na motocyklu.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, uśmiechnął się i pomyślał, iż widocznie Miranda znów zapomniała kluczy. Zawsze czegoś zapominała, a jednocześnie potrafiła zapamiętać nawet najbardziej skomplikowane zamówienia.

Poszedł otworzyć drzwi.

— O, to nie ty!

— Nie, to chyba ja — powiedziała Amy Jane z uśmiechem.

— Myślałem, że to Miranda wraca po klucze.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam.

— Nigdy nie czuję się rozczarowany, kiedy cię widzę — odparł, prowadząc ją do baru.

— Czy mogłabym naciągnąć cię na coś do picia? Chyba by mi się przydało...

— Jedna pepsi, proszę bardzo. Aż tak źle się rzeczy mają?

— Problem polega na tym, że w ogóle się nie mają.

Utknęłam w miejscu.

— Martwisz się, że cię wyleje?

— Nie, w ogóle się martwię — przyznała, pociągając łyk pienistego napoju.

— A właśnie, dobrze, że wpadłaś. Miranda powiedziała, żeby ci to dać.

— Co to jest?

— Nie wiem. Ktoś zostawił to na stole wraz z napiwkami.

— Nie pamiętała kto?

— Nie, to nie był ktoś, kogo obsługiwała. Po prostu znalazła to na stole, kiedy porządkowała lokal.

Amy Jane otworzyła zapieczętowaną kopertę opatrzoną swoim nazwiskiem i wyjęła znajdujący się w niej krótki list.

Jeśli nie przestaniesz próbować odebrać mi Maxa, możesz stać się następnym celem dla mojego noża.

— I co tam znalazłaś? — oczy wuja błyszcząły ciekawością.

— Dowód na czyjeś osobliwe poczucie humoru — odparła, nie chcąc go martwić. Wsunęła karteczkę z powrotem do koperty, uważnie przyjrzała się swemu nazwisku, napisanemu dużymi literami na maszynie, i schowała list do kieszeni dzinsowej kurtki.

— Posłuchaj, ktoś poprzebijał Maxowi opony wczoraj wieczorem. Będzie musiał kupić nowe — wszystkie cztery. Widziałeś, żeby ktoś kręcił się tu kiedyś z nożem?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

— Jedyne noże, jakiego tu kiedykolwiek ktoś używał, należy do Bobby'ego McQuaida. To duży scyzoryk — Bobby czyści nim czasem paznokcie.

— Boże, co za prostactwo...

— No cóż, pytałaś, to ci odpowiedziałem — wzruszył ramionami.

Przez chwilę zastanawiała się, sącząc ostatni łyk pepsi. Wreszcie podjęła decyzję. Pchnęła pustą szklaneczkę w stronę Jamesa i zapytała:

— Muszę wykonać pewien skok, nie przyłączyłbyś się do mnie?

— Czy bym się nie przyłączył?

Oczy pojaśniały mu na samą myśl o przygodzie.

— No to zamykaj tę budkę z piwem i w drogę!

Amy Jane udało się przedrzeć przez strażę pilnującą wejścia do Kopyły. Wykorzystała w tym celu swoją rzekomą zażyłość z

Maxem oraz, jakże mylący, szacowny wygląd wuja Jamesa. Strażnik uwierzył w końcu w bajeczkę o czymś ważnym, pozostawionym tu przez Maxa, co trzeba mu koniecznie natychmiast dostarczyć. Ocenivszy dziewczynę i starszego pana jako nieszkodliwych, z ulgą powrócił do lektury taniego kryminału.

— I co teraz — spytał wuj James, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem słuchu strażnika.

— Już ci mówiłam. Przeprowadzamy śledztwo. Zostałeś oficjalnym detektywem agencji A. J. Chadwick.

— Dobrze, dobrze... Ale o jakie śledztwo chodzi? I czego tu właściwie szukamy? Podejrzewam, że specjalnie nie chcesz zdradzić mi tego szczegółu, Słodziutka. Powinienem wiedzieć, bo inaczej jak mam kłamać, kiedy nas zaaresztują?

— Nikt nas nie zaaresztuje.

— No, dobrze — zgodził się z wyraźnym niedowierzaniem.

— Chodź, chcę, żebyś stanął na straży przed szatnią. Powiedziałam strażnikowi, że idziemy na górę do kabiny sprawozdawcy.

— Co masz zamiar zrobić, przeszukać szafki? — spytał wuj, stając tam, gdzie mu poleciła.

— W szatni nie ma szafek, tylko kabiny. Chciałabym po prostu trochę się rozejrzeć, może uda mi się coś znaleźć.

Była w szatni zaledwie przez chwilę, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Rozejrzała się szybko i nie dostrzegłszy żadnych śladów swojej działalności, skierowała się do wyjścia.

— Co jest? — spytała, wystawiając głowę za drzwi.

— Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas — szepnął wuj.

Przez chwilę nadśluchiwali oboje. Rzeczywiście, wyraźnie słyhać było odgłos zbliżających się kroków.

— Lepiej się stąd wynośmy — zaproponowała Amy Jane, ciągnąc wuja za sobą.

Kiedy mijali budkę strażnika, zobaczyli, że nie ma go w środku. Tylko odwrócona grzbietem do góry książka w miękkiej okładce pilnowała wyjścia, przez które bezpiecznie opuścili teren stadionu, nie niepokojeni już przez nikogo.

— I co, znalazłaś to, czego szukałaś? — spytał wuj, gdy wiozła go z powrotem do samochodu, zaparkowanego obok baru dla sportowców.

— Nie, miejsce było czyste. Żadnych śladów. Ciagle próbuję wyrwać się z tej miękkiej sieci niemożności, która mnie oplata, a przynajmniej tak właśnie się czuję — odparła zdegustowana.

— Nie martw się, jestem absolutnie przekonany, że ci się uda — zapewnił ją, wzmacniając słowa pociechy przyjacielskim uściskiem, i wysiadł.

— Aha, Słodziutka — dodał, wsadzając głowę do samochodu — koniecznie daj mi znać, jeśli znów będziesz potrzebowała mojej pomocy. To odgrywanie detektywa dziś wieczorem sprawiło mi wielką frajdę.

— Masz to jak w banku.

*

Prosto z baru Amy Jane udała się do mieszkania Maxa. Choć nie znalazła noża Bobby'ego, na co miała nadzieję, nadal pewna była, że facet z pewnością może być niebezpieczny. Może to nie on pociął opony Maxa, ale z pewnością stracił kontrolę nad tym, co robi. Osoba zdrowa na umyśle nie próbowałaby napadać nikogo na autostradzie. Powinna ostrzec Maxa, że sprawy tak się skomplikowały. Z niechęcią pomyślała o wyjeździe drużyny do Toronto, gdzie miały się odbyć kolejne rozgrywki.

Wieczór był chłodny. Widziała parę unoszącą się z ust, gdy stała przed domem, czekając aż Max zareaguje na dzwonek.

Podszedł do drzwi ze szklaneczką wina w ręce. Na widok stojącej na ganku Amy Jane jego twarz przybrała zdziwiony wyraz.

— Właśnie miałem się położyć — powiedział, tłumacząc swój niekompletny strój — miał bowiem na sobie wyłącznie dżinsy.

— Chyba mówiłam ci, żebyś uważał, komu otwierasz drzwi — mruknęła, wyjmując mu z dłoni szklaneczkę. — Mógłby to być ktoś niebezpieczny.

— Co masz na myśli, mówiąc „mógłby”? O tej porze ty jesteś wystarczająco niebezpieczna — powiedział, podążając za nią w kierunku sofy, na którą z westchnieniem ulgi opadła.

— Nie jestem niebezpieczna, jestem zmęczona — odparła, pociągając łyk wina.

— To ci raczej nie pomoże — pokazał na wino, które sączyła.

— Ale i nie zaszkodzi — wypila wino do końca i oddała mu pustą szklaneczkę. — Co za cholerny dzień!

— Dlaczego? Co się stało? — spytał zaciekawiony, pochylając się nad nią opiekuńczo.

Amy Jane sięgnęła do kieszeni dżinsów i wyjęła kopertę, którą dostała od wuja. Wręczyła kopertę Maxowi.

— Wygląda na to, że twojej prześladowczyni niezbyt spodobało się, że wchodzę na jej terytorium.

Oparła brodę na dłoni, przyglądając się, jak Max wyjmuje list i czyta go. Przez chwilę po prostu gapił się na nią. Nerwowo wciągnęła powietrze głęboko do płuc.

— A więc to tak. W porządku, idziemy na policję.

— Na policję? O czym ty mówisz? Wydawało mi się, że to ty za wszelką cenę pragnęłaś uniknąć rozgłosu.

— Zmieniłem zdanie.

— Dlaczego?

— Ponieważ pakowanie się w niebezpieczeństwo samemu to zupełnie co innego, niż narażanie ciebie. Nie chcę brać tego na swoje sumienie — stwierdził stanowczo.

— A co z rozgłosem?

— Mam to w nosie — sprawy zaszły za daleko.

— Ale nie dość daleko. System prawny nie zezwala na oficjalne ochranianie kogoś, dopóki prześladowca nie zacznie realizować swych gróźb.

— Nie mam zamiaru biernie czekać, aż ktoś cię skrzywdzi. Nie ma mowy.

— Nie mamy wyboru. W stanie Missouri nie ma praw zabraniających napastowania kogoś. Takie prawa są w niektórych stanach dopiero opracowywane. Także w Missouri nie możemy na razie spodziewać się niczego więcej, jak tylko bezużytecznego nakazu ochrony bez żadnych praktycznych konsekwencji.

Max popatrzył na nią. W jego oczach malował się upór.

— Obiecuj mi, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

Nie obiecał jej.

— Potrzebuję twojej pomocy, żebym mogła robić swoje. Włączenie w to policji tylko nagłośni sprawę.

Amy Jane widziała jasno, że jej argumentacja przestała do niego docierać. W obliczu grożącego jej niebezpieczeństwa, choćby potencjalnego, jego kariera zeszła na plan dalszy. Spróbowała z innej strony.

— Rozgłos na pewno wpłynie niekorzystnie na możliwości skupienia się Lwów na grze. Nie chciałbyś tego, prawda?

Widziała, że ten argument osłabił jego postanowienie, lecz tylko nieznacznie. Nadal bardzo się o nią niepokoił. Była tym poruszona.

— Zaufaj mi — poprosiła.

Uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że pamięta tę starą śpiewkę.

— Prześlę się z tym. To wszystko, co ci mogę obiecać — powiedział ziewając.

Amy Jane zastanawiała się, czy powinna powiedzieć mu o swoich podejrzeniach. Czy Max potraktowałby je poważnie? Do diabła, jej samej z trudem przychodziło traktować je poważnie. Ale instynkt podpowiadał jej, że coś w tym jest. Wzięła głęboki oddech. Raz kozie śmierć.

— Max...

— Uhm...

— Zanim mi tu padniesz i uśniesz, muszę koniecznie o czymś z tobą porozmawiać.

— Jasne, strzelaj.

Amy Jane usiłowała nie zwracać uwagi na mimowolny ruch, jakim pocierał nagą pierś, a potem przeciągał się, demonstrując koci wdzięk młodego atlety. Być może nie grał już w hokeja, lecz z pewnością potrafił utrzymać się w formie. We wspaniałej formie. Potrząsnęła głową, starając się wrócić do rzeczywistości.

— Chciałabym, żebyś się skupił i uważnie mnie wysłuchał, zanim powiesz, co o tym myślisz..

— No dobrze, słucham — zgodził się, opadając na sofę obok niej i odstawiając pusty kieliszek na stolik do kawy.

Odchrząknęła, oczyszczając gardło.

— Pamiętasz, jak ktoś przeciął ci opony na parkingu przed Kopułą?

Skinał głową.

— Nieprędko to zapomnę. Odholowanie auta do garażu i wymiana wszystkich czterech opon sporo mnie kosztowało.

— Wczorajem wpadłam do baru i zamieniłam parę słów z wujem.

— Założę się, że dziś, po drugiej z rzędu porażce Lwów, musiało to być bardzo wesołe miejsce — stwierdził sucho Max.

— Nie mam pojęcia. Kiedy tam dotarłam, nikogo już nie było, a wuj właśnie zamykał interes. Ale z pewnością masz rację. Nastroje w mieście nie są najlepsze.

— Byłoby inaczej, gdyby McQuaid...

Amy Jane powstrzymała go.

— Właśnie o nim chciałabym z tobą porozmawiać. Uważam, że to on poprzecinał ci opony.

— Ale dlaczego...

— Myślę, że to on jest tym tajemniczym prześladowcą.

Gwizdnął.

— A to dobre. Bobby McQuaid mnie prześladowuje.

— Mówię poważnie.

— Daj spokój, Amy Jane. Pewnie że Bobby z pewnością nie zalicza się do moich wielbicieli, ale...

— Wuj James powiedział mi, że Bobby nosi przy sobie wielki scyzoryk — oświadczyła, krzyżując ramiona na piersiach.

— Przypuszczam, że posłużył się właśnie nim.

— Zgoda, być może to zrobił. Lecz nie dowodzi to niczego, poza tym, jaki z niego narwaniec.

Amy Jane milczała. W końcu powiedziała:

— Obiecałeś, że mnie wysłuchasz...

— Wiem, ale przecież ustaliliśmy, że to musi być kobieta.

Pomijając wszystko inne, te listy były, no... były seksowne.

Amy Jane milczała dalej.

— No już dobrze, dobrze. Zamieniam się w słuch — zapewnił.

— Jeśli się nad tym spokojnie zastanowić, wiele wskazuje właśnie na Bobby'ego. Po pierwsze, stale krytykujesz na wizji Bobby'ego i Richiego za to, że zachowują się jak leniwi, przewrażliwieni gwiazdorzy.

— Bo tak jest. Richie poprawił się, odkąd spotyka się z Kerry, choć trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego tak się stało.

Lecz Bobby zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Myślę, że on bierze kokainę.

— Jeszcze lepszy powód, by go podejrzewać. Być może on i Richie specjalnie postarali się, by wyglądało to na damską robotę, bo chcieli się na tobie odegrać. Umawiając się z moją siostrą, Bobby posunął ten żart zdecydowanie za daleko. Na pewno słyszał kiedyś, jak omawialiśmy z Claire twoje męskie wdzięki i to jeszcze zwiększyło jego obsesję.

— Moje męskie wdzięki... — podchwycił Max z upodobaniem. Napuszył się niczym paw i uśmiechnął, rozbawiony i bardzo z siebie zadowolony.

Amy Jane trąciła go w ramię.

— Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Nasza lista przystojniaków jest bardzo długa i może zmienić się w każdej chwili, jak tylko przyjdzie nam fantazja.

Max z zakłopotaniem potarł ramię.

— Ty naprawdę myślisz, że to Bobby stoi za tym wszystkim...

— Tak. Wydaje mi się logiczne, że Bobby może być żądny zemsty, gdyż czuje się zakłopotany i zazdrosny. No i być może jest pedałem.

— Nie wiem... To wszystko jest takie...

— Wiesz, Max, kiedy tak teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że kobieta raczej nie majstrowałaby przy windzie... Nie dlatego, żeby nie potrafiła, ale...

— Z tego wszystkiego rozbolała mnie głowa. Prześpijmy się z tym, dobrze?

Skinęła głową. Zastanawiała się, czy jej podejrzenia, wypowiedziane na głos, nie zabrzmiały przypadkiem jeszcze bardziej groteskowo. Zdawała sobie jednak sprawę, że Bobby był jej najlepszym podejrzanym i miło było w końcu mieć jednego zamiast tysięcy.

— Prześpię się na tapczanie — oznajmiła swój zamiar pozostania.

— Nie ma takiej potrzeby. Nie sędzę, żeby dziś jeszcze cokolwiek mogło się wydarzyć. Jest już tak późno.

— Zostaję — upierała się.

— No dobrze, ale nie na tapczanie. Możesz spać w moim łóżku.

— Nie sędzę. Tapczan w zupełności wystarczy — zadeklarowała, kierując się rozsądkiem. Wiedziała aż za dobrze, że jeśli położy się w łóżku Maxa, nie będzie spała w ogóle. A snu potrzebowali oboje. I żadnemu z nich nie dane było go zaznać.

Nie zważając na jej protesty, Max zmusił ją, by zajęła jego łóżko, sam zaś ulokował się na tapczanie. Leżała teraz zupełnie przytomna, przysłuchując się odgłosom domu, zaznajamiając się z odgłosami pracującej lodówki, wentylatora czy tykaniem stojącego na nocnej szafce zegara. Czowała się pobudzona, niespokojna i dziwnie szczęśliwa. Poduszka pachniała Maxem, a jej kręciło się w głowie, niczym studentce pierwszego roku w sali gimnastycznej, udekorowanej z okazji wieczorku zapoznawczego. Wyczekiwała. Była gotowa i na coś czekała. Co za głupota! Miała na głowie nierozwiązaną niebezpieczną sprawę, jej klient zaś spał prawdopodobnie twardo w pokoju obok. Ciekawe, co by sobie pomyślał i czy spałby spokojnie, gdyby wiedział, że ona leży w jego łóżku naga?

*

Max leżał na tapczanie, wpatrując się w sufit. Zastanawiał się, czy Amy Jane zawsze śpi nago, tak jak wtedy, gdy wtargnął rano do jej pokoju w pensjonacie. Zamknął oczy. Powinien trochę się przespać. Jutro wyjeżdżał z drużyną do Toronto na kolejne rozgrywki. Przed oczami zobaczył jakże zachęcający

obraz Amy Jane, owiniętej tylko w swój gniew i w prześcieradło. W marzeniach widział, jak prześcieradło opada...

Oooooo, kochanie!

*

Claire zamruwała oczami, gdy ciężar czasopisma spowodował, że zdrętwiała jej ręka. Czekając, aż Amy Jane wróci do domu, na przemian budziła się i zapadała w drzemkę. Woda w wannie wystygła, bąbelki piany niemal znikły z powierzchni. Świece nadal się paliły, napelniając łazienkę specyficznym zapachem.

Claire odkręciła kurek z gorącą wodą i strząsnęła krople wody z nowego magazynu dla nowożeńców. Z uwagą przyjrzała się błyszczącej fotografii panny młodej z białymi ogrodowymi różami we włosach. Modelka była blondynką, więc Claire nietrudno było wyobrazić sobie na jej miejscu siebie.

Dlaczego innym tak trudno jest wyobrazić ją sobie jako pannę młodą, pomyślała? Łza spłynęła jej po policzku i upadła na stronę czasopisma. Claire pociągnęła nosem i rzuciła błyszczącym, grubym magazynem przez całą łazienkę.

*

Kerry Ashton stała przed lustrem swojej sypialni w domu rodziców. Richie nie mógł się nadziwić, jak udało jej się namówić go, by się tu zakradli, mimo że jej rodzice spali na dole. Kerry umiała postawić na swoim. Poza tym musiał przyznać, że takie „nielegalne” przebywanie w pokoju Kerry podniecało go.

Jej sypialnia wyglądała jak pokój małej dziewczynki ze ścianami obitymi tapetą w biało-różowe paski i pastelową pościelą, ozdobioną wstążkami i koronką. Przez chwilę

przyglądał się swemu ramieniu, spoczywającemu na bladoróżowym prześcieradle, podziwiając kontrast swojej oliwkowej skóry z delikatną pościelą. W tym dziewczęcym pokoiku tym wyraźniej uwydatniała się jego męskość.

Na ścianie nad łóżkiem kołysały się zawieszona na błyszczącej wstążce baletki. Nie zdziwiło go, że Kerry była kiedyś tancerką — miała takie gibkie i prężne ciało.

Popatrzył na nią. Stała przed lustrem, podziwiając swój wygląd w majteczkach, wykończonych koronką, która przypominała miniaturową spódniczkę baletnicy. Taak, z pewnością był zadowolony, że dał się jej namówić na przyjście tutaj. To było naprawdę podniecające.

— Chodź tu i weź ze sobą te baletki — powiedział, opierając się o wymoszczone plisowanymi poduszczkami, malowane oparcie łóżka.

— Po co? Nie pasują na mnie.

— I nie muszą...

Kerry wzruszyła ramionami, zdjęła baletki z haczyka i podeszła z nimi do łóżka.

— Czy uważasz, że jestem ładna? — spytała wdrapując się na niego.

— O tak, bardzo ładna — odparł przewracając się tak, by mieć ją pod sobą.

— Ładniejsza niż Amy Jane — co ty wyprawiasz?

— Upewniam się, że tym razem dostanę to, na co mam ochotę — powiedział, mocno przywiązując jej nadgarstek do słupka baldachimu wstążką od baletki.

— Wcale nie jestem pewna, czy mi się to podoba — protestowała.

— Ja wkładam dla ciebie maskę bramkarza... — przypomniał swoje zasługi Richie, przywiązując jej drugi nadgarstek. Końce różowej wstążki opadły powiewając.

Pochylił się i zaczął lizać jej pachy.

— To laskocze — zachichotała, próbując się wyrwać, co spowodowało, że węzły na wstążkach mocniej się zacisnęły.

— Na miłość boską, cicho bądź. Nie chciałbym, żeby twoi rodzice tu wparowali — ostrzegł Richie.

Przesunął usta na jej pierś, pieszcząc ją powoli, leniwie językiem, co sugerowało, że ma zamiar zadbać przede wszystkim o swoją przyjemność.

— Richie...

Popatrzył na nią, nie przestając pieścić jej wilgotnej już teraz sutki kolistymi ruchami języka.

— Uważam, że Bobby ma rację. Powinieneś pomóc mu dać Maxowi wycisk. On nie traktuje was tak, jak na to zasługujecie. Innych graczy jakoś nie czepia się tak jak was.

— Nie chcę o tym teraz mówić. — Richie wsunął dłoń do majteczek, aby odwrócić jej uwagę.

Zaczęła jęczeć i napierać na jego rękę. Jęczała coraz głośniej, aż wreszcie Richie nakrył jej usta swoimi, kradnąc okrzyki rozkoszy i zastępując rękę twardym jak skała członkiem.

*

Chantal Perry nie mogła zasnąć. Po jakimś czasie poddała się, włożyła szlafrok i zapaliła światło przy stojącym w sypialni biurku. Wyciągnęła środkową szufladę i wyjęła plik niezapłaconych rachunków, gruby od kolejnych ponagleń. Jej wymówki i przeprosiny odnosiły coraz mniejszy skutek i zachodziła uzasadniona obawa, że wkrótce pracodawca dowie się o wszystkim. Nie wyobrażała sobie, jak zniesie ten wstyd.

To nie było w porządku. Po prostu nie było w porządku. A przecież tak się starała — dawała z siebie wszystko, a nawet więcej, by tylko samej utrzymać się na powierzchni. Wiedziała, że Corey chętnie pożyczycy jej pieniędzy, jeśli tylko poprosi. Tak

łatwo byłoby je przyjąć. Lecz o wiele trudniej zwrócić. Pożyczki sprawiają, że stajesz się zależna i podatna na ciosy, a ona nienawidziła czuć się w ten sposób.

Wyjęła kalkulator i zaczęła jeszcze raz podliczać stan posiadania. I oto miła niespodzianka — ku swemu zdumieniu odkryła, że ma więcej pieniędzy, niż przypuszczała, ponieważ zupełnie zapomniała o depozycie. Odkrycie to jeszcze bardziej umocniło postanowienie poradzenia sobie samej. Nie tylko nie będzie nikomu nic winna, lecz przeciwnie, odbierze wreszcie pieniądze, które inni są jej winni. Albo wydusi z Lwów więcej forsy za ciężką pracę, którą dla nich wykonywała, albo znajdzie inny sposób, by dostać to, co jej się należy. Żaden facet nie stanie jej na przeszkodzie — ani jej nie kupi. Cena byłaby o wiele za wysoka.

*

— Halo?

— Śpisz, Mirando?

Przetarła oczy i spojrzała na stojący na nocnym stoliku zegarek.

— Jest pierwsza w nocy, o tej porze wszyscy śpią.

— Ale nie ci, którzy chcą gdzieś pojechać i coś zobaczyć.

— James, co ty bredzisz. Piłeś? — spytała, siadając na łóżku ze słuchawką w zagłębieniu szyi. Przeciągnęła się.

— Nie, nie piłem. Rozmyślałem.

— Równie niebezpieczne zajęcie — powiedziała ze śmiechem, nurkując z powrotem do ciepłego, wygodnego łóżka, ubrana w golf z emblematem Lwów.

— A o czym tak myślałeś? — dała w końcu upust ciekawości.

— O tym, że powinniśmy pojechać to Toronto, kibicować Lwom.

— Naprawdę? Naprawdę o tym myślałeś? To może wymyśliłeś też, jakby tu zdobyć dla nas bilety, skoro wszystkie miejsca zostały wyprzedane?

— Czy to znaczy, że pojechałabyś ze mną, gdyby udało mi się zdobyć bilety?

— Może gdybyś dał mi wolny wieczór — i napiwki — droczyła się z nim.

— Mirando...

— Mmmmm...

— Zacznij się pakować.

— Żartujesz — pisnęła, siadając na łóżku.

— Absolutnie nie.

— Ale jak...

— Max wpadł i...

— Oczywiście. Oczywiście, Max mógłby to załatwić. On chodzi z twoją siostrzenicą...

— A więc zgadzasz się, tak? — upewniał się James.

— Tak, tak, tak! Kiedy wyjeżdżamy? Czy polecimy z Maxem i...

— Nie, już nie było miejsc, więc musiałem zarezerwować bilety na późniejszy lot.

— James...

— Słucham?

— To jest ekstra. Wspaniale.

— Dobrze już, wracaj do łóżka, a ja zajmę się resztą.

— Do łóżka? Za skarby świata nie zasnę!

James zaśmiał się.

— Za to ja jak najbardziej. Dobranoc, Mirando.

*

Telefon dzwonił. I dzwonił. I dzwonił. No rusz się, człowieku, odbierz. Lecz telefon nie przestawał dzwonić. Bobby z trzaskiem

rzucił słuchawkę na widelki. Gdzie, do diabła, był Richie i dlaczego nie odbierał telefonu? Ta myśl sprawiła, że wściekł się jeszcze bardziej.

Pociągnął następny łyk piwa i postawił puszkę obok całego rzędu innych, które opróżnił w ciągu nocy. Kończyło mu się piwo. A pieniądze skończyły się już jakiś czas temu. Podobnie jak cierpliwość względem Maxa Armstronga. Nadeszła pora, by sprawozdawca udławił się swoimi słowami i przyznał, że on, Bobby, jest lepszym zawodnikiem. Zmuszenie Maxa, by to powiedział, na pewno sprawi mu mnóstwo radości i będzie stanowiło jakąś odmianę od tego ciągłego czepiania się.

Lwy na pewno wygrają w Toronto, a potem wrócą do domu i tu złożą wreszcie skórę Klonowym Liściom. Miasto oszaleje. A oni ruszą i zdobędą upragniony Puchar Stanleya, przynosząc miastu honor.

Bobby McQuaid miał zamiar zostać najbardziej uwielbianym i honorowanym hokeistą, jakiego kiedykolwiek St. Louis widziało. A Max Armstrong będzie musiał zaśpiewać, jak mu zagra.

*

— Tak, tak, tak!

Corey wpatrywał się w błyszczące radością oczy podekscytowanej Chantal. Iskierki w jej oczach odpowiadały błyskom rzuconym przez zaręczynowy pierścienek z pięciokaratowym brylantem, który właśnie wsuwał jej na palec.

— Czy mogę pocałować swoją narzeczoną? — spytał, przyglądając się, jak odwraca do światła dłoń, by podziwiać błyski światła odbite od klejnotu.

— Oczywiście, kochanie. — Chantal otoczyła go ramionami, a on przykrył jej wargi ustami, wzdychając z długo powstrzymaną erotyczną tęsknotą. Teraz wreszcie będzie

mógł spać. I właśnie wtedy się obudził, trzymając w objęciach jedynie swoją poduszkę i swoje marzenia.

19

Amy Jane budziła się powoli, zdezorientowana obcym otoczeniem. Czuła suchość w ustach, a oczy szczypały ją, jakby nasypano jej pod powieki piasku. Zamrugła, zorientowawszy się, gdzie się znajduje. Sypialnia Maxa była niczym ciepły, wygodny kokon. Inaczej mówiąc, pułapka. Nigdy nie ufaj zbyt niemu komfortowi — cóż za dobra życiowa zasada dla prywatnego detektywa. Niestety, komfort plasował się wysoko na jej liście priorytetów.

Odrzuciła przykrycie i wstała, nasłuchując dobiegających z głębi domu odgłosów. Nie usłyszała niczego, doszła zatem do wniosku, że Max z pewnością smacznie jeszcze śpi.

To dobrze, będzie miała czas na prysznic, umycie zębów palcami i ubranie się. Pamiętała aż za dobrze, jaka onieśmielona się czuła, rozmawiając z Maxem, gdy była naga. Prawie zapomniała języka w gębie, gdy wtargnął wtedy do jej sypialni w pensjonacie.

Przekonanie, że Max jeszcze śpi, dodało jej odwagi. Postanowiła, że teraz jej kolej, i ruszyła do saloniku owinięta tylko prześcieradłem. Przekradła się przez hol i po cichu weszła do pokoju, gdzie na tapczanie spał Max. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by w dorosłym Maxie dostrzec chłopca, jakim był niegdyś. Ciemne frędzelki rzęs ocieniały policzki, a na wargach igrał niewinny półuśmiech. Oddychał płytko, z zamkniętymi ustami. Schowane pod głową ręce złożone były jak do modlitwy, co nasuwało myśl o niewinnym ministrancie.

Jego naga pierś na przemian podnosiła się i opadała. Amy Jane przywarła wzrokiem do ciemnej linii włosów w dole

brzucha, tworzących prawdziwą gęstwinę w miejscu, gdzie kończyły się rozpięte teraz dżinsy. Czując gwałtowny przyływ pożądania, z poczuciem winy wciągnęła powietrze głęboko w płuca.

Horoskop mówił co prawda, że to nie był mężczyzna dla niej, lecz ona za Boga nie potrafiła wymyślić po temu żadnego powodu. Nie, żeby się zbyt starła, zwłaszcza w tym momencie. W tym momencie jej myśli były zgoła bluźniercze.

Z trudem odwracając wzrok od tej uczyty dla oczu, którą przedstawiał śpiący Max, zmusiła się do opuszczenia pokoju. Nie chciała, żeby się obudził i przyłapał ją na tym, jak poządlawie przygląda się jego ciału. Sprawiłoby mu to zbyt wielką satysfakcję.

W łazience odkręciła kurki, zastanawiając się, czy przypadkiem woda nie powinna być lodowato zimna.

Wzięła prysznic i podeszła do umywalki. Szorując palcami zęby, rozmyślała o Bobbym McQuaidzie. Na pewno był w to zamieszany, lecz ona potrzebowała jakiegoś przekonującego dowodu. Na przykład jego noża.

Wszystko bardzo dobrze się składało. Kiedy drużyna będzie w Kanadzie, ona dostanie się do mieszkania Bobby'ego i poszuka noża, a także innych ewentualnych dowodów, które pomogą go oskarżyć.

Uśmiechnęła się do lustra z ustami pełnymi piany. Trzeba będzie znowu zadzwonić do nowego asystenta, czyli wuja Jamesa. Klepnęła się w czoło, uświadamiając sobie, że przecież wszyscy, włączając w to ją samą i wuja Jamesa, także jadą do Toronto.

Płucząc usta wpadła na pewien pomysł. Wuj James leciał późniejszym samolotem, o ile Miranda zgodziła się polecieć z nim. Będzie musiała znaleźć jakąś wymówkę i polecieć z nimi. Da jej to czas na przeszukanie mieszkania Bobby'ego.

Może warto byłoby zajrzeć też do Richiego. Richie także mógł tkwić w tym po uszy, zwłaszcza mając przy sobie Kerry, która go z pewnością podpuszczała.

Wróciła do sypialni Maxa. Chwilę nasłuchiwała, lecz w domu nadal panowała cisza. Podeszła do szklanych drzwi i odsunęła zasłony, przyglądając się delikatnym barwom jutrzeńki. Kiedy jej oczy syciły się pięknem poranka, żołądek niedwuznacznie sugerował, że powinna natychmiast pomyśleć o zjedzeniu swojej codziennej porcji słodkich paczków.

Pozwoliła opaść zasłonie i zaczęła się ubierać, z konieczności wkładając to, co miała na sobie wczoraj: dżinsy, biały podkoszulek i kamizelkę z dzianiny w kolorze wanilii. Wsunęła stopy w czarne skórzane klapki i już była gotowa wyruszyć na poszukiwanie sklepu z paczkami. O przygotowaniu czegoś dla Maxa nawet nie pomyślała.

Znalezienie cukierni Dunkina i dokonanie zakupu nie zajęło jej wiele czasu. Wybrała dla siebie dwie słodkie strucle, chwilę zastanawiała się, co smakowałyby Maxowi, po czym kupiła jeszcze dwie lukrowane okrągłe bułeczki i dwa czekoladowe ciastka. Ponieważ zapomniała przed wyjściem zajrzeć do lodówki, w ostatniej chwili wzięła jeszcze dwa kartony mleka. Wracając z zakupami zatrzymała się, by kupić gazetę, uznała bowiem, że już najwyższy czas zajrzeć do horoskopu. Jeśli Max nie był odpowiednim dla niej facetem, chciała wiedzieć dlaczego. Czekając na zmianę świateł, otworzyła gazetę i przeczytała:

Cokolwiek się stanie i kogokolwiek poznasz, sprawa jest poważna.

Zmarszczyła brwi. Cóż to, u diabła, miało znaczyć? Brzmiało obiecująco i złowieszczo zarazem. Czy horoskop na pewno mówił o Maxie? A może o Bobbym? Lub o nich obu? A może chodziło o coś zupełnie innego...

Światła zmieniły się, więc odłożyła gazetę na siedzenie pasażera. Niemile przecucie, wywołujące nieprzyjemne ściskanie żołądka, kazało jej mocniej nacisnąć pedał gazu.

*

Max obudził się niewyspany i z zeszywniała szyją. Czyżby zasnął na tapczanie, zastanawiał się, rozglądając się po pokoju. Lecz jeśli nawet zdrzemnął się, oglądając telewizję, to aparat powinien być włączony, a nie był. Przetarł i oczy i wtedy sobie przypomniał. Amy Jane. Nocowała u niego. Na pewno śpi jeszcze w jego sypialni — w jego łóżku. Spojrzał na zegarek, stojący na odtwarzaczu wideo. Było jeszcze wcześniej. Lecz on był już głodny. A w lodówce nie było nic do jedzenia.

Pozwoli Amy Jane się wyspać, a w tym czasie wyjdzie i zdobędzie dla nich coś na śniadanie. Jeśli będzie miał szczęście, może uda mu się zorganizować świeże kwiaty na stół. To by dopiero była niespodzianka! Na pewno nie uda mu się przygotować niczego, co można by porównać z ucztą, jaką urządziła mu wtedy Claire, ale z tym nic nie mogłoby się równać.

Sprawy pomiędzy nim a Amy Jane komplikowały się. Te, o których nie chciała rozmawiać, dopóki był jej klientem. Sprawiało to, że jeszcze bardziej pragnął rozwiązania zagadki, gdyż pozwoliłoby mu to przekonać się wreszcie, jak to z nimi jest. Ta gra, którą uprawiali, doprowadzała go do szaleństwa. Nie starał się jednak przekonać jej, by pozbyła się oporu, jaki budziło w niej to, co się między nimi zaczynało, gdyż nie był pewny, czy na ich wzajemne pożądanie nie wpływa przypadkiem zagrożenie i poczucie niebezpieczeństwa. Słyszał już o czymś takim. Mogło tak być i w tym przypadku, choć przecucie mówiło mu co innego.

To było więcej niż pożądanie. Chodziło tu także o jego rodziców, którzy pragnęli wnuków. I o to, że ta myśl w odniesieniu do Amy Jane nie budziła w nim oporu. A także o wewnętrzne przekonanie, że postępuje słusznie, nie mówiąc już o uczuciu psychicznego komfortu, a zarazem podekscytowania, którego doświadczał, ilekroć przekraczał próg pensjonatu Chadwick — uczucia, którego tak śmiertelnie się przestraszył już pierwszego wieczoru, kiedy tam trafił. Stanowczo nie był domatorem. A przynajmniej tak mu się dotąd wydawało.

Przesunął dłonią po szczęce, stwierdzając, że kłuje straszliwie. Być może powinien zakraść się po cichu do łazienki, nie budząc Amy Jane, by się ogolić i wziąć prysznic. Na palcach przebiegł korytarz, starając się zachowywać jak najciszej, lecz nie był aż takim dżentelmenem, by nie zerknąć na łóżko, gdyż pamięć o jej zwyczaju sypania w stroju adamowym nie dawała mu spokoju.

Widok pustego, zasłanego łóżka sprawił, iż gwałtownie zatrzymał się w progu. Tak bardzo spodziewał się zobaczyć głowę Amy Jane na poduszce, że jej nieobecność sprawiła mu niemal ból. Przeszedł przez pokój i dotknął poduszki dłonią. Była jeszcze ciepła, a może tak tylko mu się wydawało. Zajrzał do łazienki, lecz nietrudno było stwierdzić, że tam także jej nie było. Pomyślał więc o balkonie w sypialni. Być może przysiadła tam, by podziwiać wschód słońca. Lecz gdy odsunął zasłony, zobaczył tylko pusty balkon i blaknące barwy świtu w kolorze owocowego sorbetu.

Gdzieś jednak być musiała, pomyślał, zasuwając z powrotem zasłony. Może postanowiła zrobić mu śniadanie. Tak mogło być. Lecz kiedy pomyślał o Amy Jane, stwierdził, że to bardzo mało prawdopodobne.

Zajrzał jednak do kuchni, zastanawiając się, dlaczego wstała tak wcześnie, ona, która przepada za wylegiwaniem się w łóżku do południa. W tym momencie przyszło mu na myśl, że

być może Amy Jane nie spała wcale, martwiąc się o Bobby'ego... lub nawet o niego.

Kuchnia, oczywiście, też była pusta. Prawie przeoczył wiadomość, którą mu zostawiła i gdyby nie dostrzegł karteczki kątem oka, gdy wychodził z kuchni, nie wiedziałby nawet, że tam była. Podszedł do lodówki i przeczytał wiadomość, zapisaną na firmowej reklamówce Lwów:

Najdroższy Maxie, nie wychodź. Pojechałam po paczki.

Lubię Cię

Zaśmiał się głośno, choć w pierwszej chwili widok liściku porządnie go przestraszył. Amy Jane ma z pewnością specyficzne poczucie humoru. Kiedy to się skończy, już on odpłaci jej pięknym za nadobne.

Zdecydowany wykonać, co zamierzył, włożył koszulę i klapki, po czym wyszedł do ogródka, by zerwać trochę kwiatów w ogrodzie sąsiadów. Później z pewnością znajdzie sposób, by im się odwdzięczyć.

Włożył kolorowe kwiaty do szklanego wazonu i ustawił go na środku stołu, po czym pomaszerował do łazienki, by wziąć prysznic i pozbyć się kłującej szczeciny. Gdy skończył, cały pachniał drzewem sandałowym. Miał nadzieję, że nie jest to zapach, którego Amy Jane nie cierpi.

Przeszukał szafę, by znaleźć coś wygodnego, i wyciągnął luźne spodnie oraz koszulę bez kołnierzyka. Do tego doskonale pasowała lniana marynarka i para znoszonych zamszowych półbutów.

Ubrany, zszedł do kuchni, by przygotować kawę. Zmiał ziarna — jedną z niewielu jadalnych rzeczy, które trzymał w domu — i nastawił ekspres, po czym zaczął się rozglądać za czystymi filiżankami. Nie znajdując żadnej na wierzchu, wyciągnął dwie brudne ze zmywarki i umył je własnoręcznie. Ustawił filiżanki na stole i położył obok kilka papierowych ręczników, które miały pełnić rolę serwetek. Jeszcze tylko

łyżeczki, cukier, śmietanka i stół był już gotowy na przybycie Amy Jane — wraz ze świeżymi paczkami.

Pozostał już tylko jeden problem. W domu nie było ani kropli mleka. Dla niego nie miało to znaczenia, gdyż i tak pijał wyłącznie czarną kawę, lecz jeśli Amy Jane woli białą? Pomyślał, że mógłby pójść do sąsiadów i pożyczyć od nich trochę mleka, lecz kiedy spojrzął na zegarek, pomysł nie wydał mu się już taki dobry. Było stanowczo za wcześnie, by narzucać się sąsiadom.

Będzie musiał przedsięwziąć szybką wyprawę do pobliskiego sklepu. Jeśli się pospieszy, zdąży przed powrotem Amy Jane. Podjąwszy decyzję, złapał portfel i skierował się do wyjścia, ignorując prośbę Amy Jane, by pozostał w domu.

Drogę do sklepu odbył biegiem, ponieważ chciał uniknąć awantury i oskarżeń o nieostrożność jakich niewątpliwie nie szczeniłaby mu Amy Jane, gdyby go przyłapała. Choć liczył się z jej opinią, to w głębi duszy nadal nie wierzył, że Bobby McQuaid jest czymś więcej niż tylko zwykłym narwańcem, zepsutym, choć utalentowanym zawodnikiem, który nie znosi, gdy wytyka mu się lenistwo i brak opanowania. Być może w przyływie gniewu pociął mu opony, lecz z pewnością nie był niebezpieczny. Potrafił tylko gadać.

Już miał zejść z chodnika na jezdnię, gdy zobaczył nadjeżdżającą Amy Jane. Zaparkowała przy krawężniku.

Pomachał do niej i wszedł na jezdnię, gdy nagle nie wiadomo skąd pojawił się jakiś czarny samochód i niczym pocisk z pełną szybkością ruszył prosto na niego.

Widząc kierowcę ubranego w maskę bramkarza Max przystanął na chwilę, skonsternowany. Co ten Richie wyprawia? Dlaczego on...

Wszystko działo się niczym na zwolnionym filmie. Amy Jane z całej siły wdepnęła pedał gazu. Dżip ruszył gwałtownie w stronę nadjeżdżającego samochodu. Najwidoczniej Amy

zamierzała zderzyć się z nim, by w ten sposób zatrzymać nadjeżdżający pojazd i tym samym uchronić Maxa przed niechybną śmiercią.

— Nieee — krzyknął Max, pędząc w stronę dżipa.

— Amy... Amy! — wołał, otwierając siłą drzwi, by się do niej dostać.

Ciało dziewczyny zwisało bezwładnie na kierownicy.

— Powiedz coś, Amy, proszę — błagał, przytulając ją i kołysząc w ramionach.

Po chwili jej powieki zadrżały i oczy otworzyły się powoli.

— Nie bądź idiotą — mruknęła.

Max zaśmiał się głośno, czując niewyobrażalną ulgę i radość.

— Niezupełnie o to mi chodziło, ale niech ci będzie.

— Mówiłam ci, żebyś nie wychodził — powiedziała Amy Jane, rozcierając ramię. — Mogłeś zginać.

— Wyszedłem tylko po śmietankę dla ciebie — usprawiedliwiał się.

— Nie pijam kawy ze śmietanką.

— Taak, racja, twardy z ciebie facet. Oczywiście — pijasz wyłącznie czarną.

— Puść mnie — odepchnęła go. — Zobaczmy może, co z Richiem.

Pochłonięty troską o Amy Jane, Max zupełnie zapomniał o drugim kierowcy. Prawdę mówiąc wątpił, czy kiedykolwiek zapomni przeraźliwy zgrzyt rozrywanego metalu, gdy samochody zderzyły się. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bał, nawet kiedy ten wariat pędził prosto na niego.

— Jesteś pewna, że wszystko z tobą w porządku? — spytał, podążając za nią w kierunku czarnego samochodu, niemal zespawanego z dżipem.

— Tak, ramię trochę mnie boli od uderzenia, ale poza tym tylko się potłukłam i poobijałam, to wszystko. Co prawda jutro na pewno będzie gorzej, ale dziś miałam wiele szczęścia.

Max odciągnął ją.

— Zaczekaj.

Widząc zbierający się, zwabiony wypadkiem tłum gapiów zasłonił ją sobą.

— Niech ktoś wezwie karetkę — krzyknął w stronę tłumy.

Amy Jane zdażyła tymczasem wysunąć się zza niego i zbliżyć do samochodu. Drzwi pojazdu zwisały otwarte. Kierowca, który najwidoczniej nie zapiął pasów, leżał wysunięty na zewnątrz, z szyją wykręconą w sposób, który nie wróżył nic dobrego.

— Myślę, że już za późno — powiedziała Amy Jane, schylając się nad leżącym i sprawdzając puls.

Ale pulsu nie było. Amy Jane wyprostowała się i potrząsnęła głową, dając w ten sposób Maxowi znak, że jej przewidywania się sprawdziły.

— Pozwól, że zdejmę mu tę maskę, zanim przyjedzie policja — powiedział słysząc zbliżający się dźwięk syren.

Kiedy to zrobił, Amy Jane gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Ależ to nie Richie, to Bobby!

— Miałaś rację co do niego — przyznał Max, kompletnie oszołomiony.

Dźwięk syren nasilał się, więc Amy Jane przyklękła, włożyła rękę do kieszeni Bobby'ego i wyciągnęła z niej to, co spodziewała się tam znaleźć: duży scyzoryk, o którym wspominał wuj James. Ujęła go ostrożnie, pamiętając o odciskach palców. Otworzyła nóż i pokazała go Maxowi. Na ostrzu widać było resztki gumy i oleju, co mówiło samo za siebie.

Max skinął głową.

— No więc dobrze, rzeczywiście przeciął nim moje opony. Ale dlaczego próbował mnie zabić? Co go do tego skłoniło?

Amy Jane włożyła nóż z powrotem do kieszeni Bobby'ego. Jej uwagę przyciągnęła leżąca na przednim siedzeniu poranna gazeta, otwarta na stronie z wiadomościami sportowymi.

— Myślę, że to jest odpowiedź — powiedziała, podnosząc gazetę i podając ją Maxowi.

Wielkie nagłówki na pierwszej stronie poświęconej sportowi głosiły:

BOBBY MCQUAID SPRZEDANY!

Max przeniósł spojrzenie z gazety na Amy Jane.

— Nic o tym nie wiedziałem.

— Lecz Bobby na pewno sądził, że jest inaczej, i przypisywał winę tobie, a nie własnej porywczoci i niedojrzałości.

Syreny umilkły: znaczyło to, że policja i karetka dotarły na miejsce wypadku.

— No dobrze, co my tu mamy? — spytał starszy ranga oficer policji, podchodząc do szczepionych ze sobą wraków.

Max popatrzył na Amy Jane.

— Prawdę mówiąc, panie komisarzu, mamy tu bohatera.

*

— Jesteś pewna, że nic ci nie będzie? — dopytywał się troskliwie Max, siedząc przy łóżku Amy Jane i głaszcząc ją po rękę.

— Tak, wszystko w porządku. A teraz może byś już poszedł i postarał się złapać ten samolot? Ciebie to też dotyczy, wuju Jamesie. Lwy potrzebują całego dopingu, jaki tylko jest możliwy. Zwłaszcza teraz, gdy...

— Wiesz, Max, ciągle nie mogę uwierzyć, że Bobby usiłował cię zabić — powiedziała Claire, uklepując poduszki Amy Jane.

— Ja też nie. Miałem szczęście, że byłem pod opieką twojej siostry — uścisnął dłoń Amy Jane. — Wiesz, ona uratowała mi życie. I zwracając się do wuja Jamesa, dodał: — Miałeś rację, stary rozpustniku. A. J. Chadwick jest najlepszym prywatnym detektywem w tym mieście.

— Z pewnością zmienisz zdanie, kiedy otrzymasz rachunek. — Amy Jane zachichotała, lecz zaraz przestała i skrzywiła się, gdyż śmiech sprawiał jej ból.

— Z przyjemnością zapłacę każdy rachunek, który mi przyślesz — zapewnił ją Max.

— Hmmmm... — Amy Jane zaczęła odginać palce, niby coś licząc.

— Co robisz? — spytał Max.

— Usiłuję jakoś zmieścić fundusze na nowy samochód na mojej liście wydatków.

— Wiesz co, chyba już rzeczywiście czujesz się lepiej — powiedział Max, wstając. Podniósł dłoń Amy Jane do ust i ucałował ją szarmancko. — Lepiej już pójdę, jeśli mam złapać ten samolot. Muszę wziąć się do pracy, żeby mieć z czego zapłacić rachunek u mego detektywa.

— A właśnie, to mi coś przypomina. Muszę przedstawić ci moją listę wydatków — powiedział wuj James.

— Jakich wydatków? — dopytywała się Amy Jane.

Wuj James tylko się uśmiechnął.

— Jeśli się postaram, na pewno jakieś się znajdą.

— Pracujesz dla Amy Jane — krzyknęła Claire. — No nie, tylko tego nam brakowało! Sama Amy Jane to już kłopot, lecz we dwójkę stanowicie prawdziwe nieszczęście!

— Wybaczcie, ale sprawy rodzinne możecie omawiać w każdej chwili, a ja wyjeżdżam i chciałbym się upewnić, że Amy Jane niczego nie potrzebuje.

— Jedź — poganiała go Claire. — I nie martw się, dobrze się nią zaopiekuję.

— Dobrze, dobrze, już lecę. Zadzwoń do ciebie z Toronto — obiecał, szybko pocałował ją w czoło i wyszedł.

— Cieszę się, że znów ze sobą rozmawiacie — powiedziała Amy Jane, spoglądając na wuja i Claire. — Nawet jeśli trzeba było niemal mnie zabić, żeby do tego doprowadzić.

— O, to nie było wcale potrzebne, Słodziutka. Claire na pewno by mi już wybaczyła, jest tylko po prostu uparta. W głębi serca jednak na pewno czuła, że za nic na świecie nie zrobiłbym niczego, by ją zranić. Ten zakład był niemądry, lecz za skarby świata nie przysłoby mi do głowy, że Claire może umówić się z kimś takim, jak Bobby McQuaid.

— Bo normalnie na pewno bym się nie umówiła. Możesz podziękować Amy Jane za ten błąd w ocenie. To ona zawsze wbijała mi do głowy, że potrzebuję czegoś bardziej ekscytującego. Zgodziłam się na tę randkę ze względu na nią.

— Zaraz, zaraz, to ja tu jestem pacjentką. Macie być dla mnie mili. No wiecie, karmić mnie czekoladą i poprawiać poduszki.

Wuj James tylko na nią popatrzył.

— Tak jakbyś miała zamiar zostać w łóżku na tyle długo, żeby ktoś zdążył poprawić ci poduszkę.

— I bardzo dobrze — drażniła się z nią Claire. — Pensjonat jest pełen gości, trzeba na okrągło słać łóżka, czyścić srebra, froterować podłogi... Pomoc bardzo by mi się przydała.

— Widzę, że muszę szybko postarać się o następne zlecenie — powiedziała Amy Jane, siadając na łóżku i odrzucając do tyłu włosy. — Czy są dla mnie jakieś wiadomości

na automatycznej sekretarce? Może ktoś potrzebuje moich usług? Przynieście mi moją sekretarkę.

— O nie, tylko nie to. Obiecałaś, że ograniczysz się do spraw ubezpieczeniowych.

— Przeżyłam wstrząs. Widocznie nie wiedziałam, co mówię...

— Amy Jane...

— Ale, Claire, potrzebuję czegoś podniecającego. Doprowadzę was do szaleństwa, jeśli będę musiała cały czas pętać się wam pod nogami.

— Chodź, wuju, mam parę spraw do załatwienia, pomożesz mi — powiedziała Claire, wyciągając Jamesa z pokoju. — Amy Jane potrzebuje odpoczynku.

— Ale — protestował, patrząc błagalnie na Amy Jane, by wybawiła go od tego, co zaplanowała Claire, cokolwiek to było.

Amy Jane odprawiła go machnięciem ręki.

— Świetny pomysł, wuj James może ci pomóc. A ja sobie odpocznę — dodała, ujmując automatycznego pilota.

*

Amy Jane nie znosiła mieć racji. Jednak miała ją i tym razem, gdyż następnego dnia rzeczywiście czuła się znacznie gorzej. Każdy ruch przypominał jej o wypadku. Odrzucenie kołdry ujawniło potężny siniac na biodrze w miejscu, którym uderzyła o kłamkę drzwi dżipa.

Jakiś ruch przy drzwiach przyciągnął jej uwagę. Spojrzała w tę stronę i zobaczyła przyglądającą się jej małą dziewczynkę.

— Cześć, jak masz na imię? — spytała.

— Tessa... — Duże niebieskie oczy obserwowały ją uważnie, podczas gdy palce skręcały blond loki. Amy Jane oceniła jej wiek na około cztery lata.

— Przyjechałaś do St. Louis z mamą i tatą? — spytała, domyślając się, że mała musi być jednym z gości, o których przyjeździe słyszała wczoraj wieczorem.

Tessa skinęła potakująco.

— Mamusia powiedziała, że jesteś chora i nie należy ci przeszkadzać — oświadczyła, dalej stojąc w progu.

— Wszystko w porządku, to było tylko takie małe bum — wyjaśniła Amy Jane. — Nic zaraźliwego. Możesz wejść, jeśli chcesz.

Dziewczynka zawahała się. Widać było że bardzo chce wejść, lecz boi się wpaść w tarapaty.

— Co oglądasz?

— „Piękną i Bestię” — odparła Amy Jane. To Claire przyniosła jej tę kasety, nalegając, by ją obejrzała. Był to film animowany, jeden z ulubionych Claire. — Chciałabyś pooglądać ze mną?

— Pewnie — dziewczynka podbiegła w podskokach do łóżka i wdrapała się na nie, sadowiąc się jak najbliżej telewizora. Jej szeroko otwarte oczy wpatrywały się w animowane postacie.

— Jak myślisz, Tessa, czy mogłabym dostać trochę tego? — spytała Amy Jane, wskazując na pączek, który dziewczynka ścisnęła w wolnej ręczce.

Tessa skinęła głową i Amy Jane sięgnęła po ciastko.

— Amy Jane!

Szybko ugryzła kawałek pączka, nie przejmując się Claire, która stała w drzwiach z rękami na biodrach i gniewnym wyrazem twarzy.

— No cóż, byłam głodna i chciałam tylko spróbować — wyjaśniła, oddając pączek Tessie.

— Na dole jest mnóstwo pączków. Nie mogę w to uwierzyć — podkradasz dzieciom słodycze!

— Zawsze ci to robiłam, nie pamiętasz?

Tessa wpatrywała się w ekran, obojętna na wszystko, co działo się w pokoju.

Claire uśmiechnęła się słodko.

— Pamiętam, a jakże. I dlatego ty miałaś pryszczę, a ja nie.

20

— Halo — powiedziała Amy Jane słabym głosem.

— Oglądałaś mecz? — spytał Max.

— Oczywiście — skłamała. Prawdę mówiąc, zasnęła zaraz na początku.

— Nie wygląda na to, żebyś cieszyła się zbyt z naszego zwycięstwa.

— Więc wygraliśmy? A tak, to było wspaniałe.

— Brałaś środki uśmierzające ból?

— Nie mam pojęcia. Claire przyniosła mi jakieś pigułki razem z zupą i upierała się, żebym je zażyła.

— A ty je naprawdę zażyłaś? Żadnych sztuczek z chowaniem tabletek pod poduszkę? — spytał Max ze śmiechem.

— Stała nade mną, dopóki ich nie połknęłam — oświadczyła Amy Jane. — Prawdziwy tyran z tej Claire. Chyba zacznę ją nazywać siostrą Ratched.

— A więc nie wstałaś, żeby czyścić i froterować?

— Żartujesz? Auuu... Ojej... czy to nie brzmi jak głos osoby absolutnie niezdolnej do pracy?

— Amy, powinnaś się wstydzić.

— No tak, być może, ale się nie wstydzę. Claire uważa kurz za swego osobistego wroga. A ja lubię te puszyste kłębki. Tym pod moim łóżkiem nadałam nawet imiona. To moje domowe zwierzątka. Nie trzeba ich karmić ani wyprowadzać,

czyż to nie wspaniałe? A tak przy okazji, pomagam Claire, kiedy naprawdę tego potrzebuje.

— A mówiąc serio, jak naprawdę się czujesz? — spytał z troską w głosie.

— Wszystko w porządku. Jestem trochę obolała, ale poza tym wszystko gra. A co z drużyną? Domyślam się, że trudno im było zmusić się do grania.

— Wszyscy są w szoku. Zwłaszcza Richie. Ale dziś dał z siebie wszystko. Bronił jak szatan. Posłuchaj, ktoś inny chciałby skorzystać z telefonu, więc muszę kończyć. Masz zamiar oglądać następny mecz?

— Oczywiście — obiecała.

— Dobrze, nie zapomnij, prześlę ci pozdrowienia na antenie.

— Na pewno nie zapomnę.

*

I oczywiście zapomniała. No, może niezupełnie. To przez Claire i jej cholerne tabletki przeciwbólowe.

— Halo — powiedziała do słuchawki, sięgając po pilota, by przyciszyć dźwięk w telewizorze.

— To ja — powiedział Max. Jego głos miał w sobie odcień wyczekiwania.

— Wiem.

— I co? — spytał tym samym wyczekującym tonem.

— To znaczy z czym? — spytała, przecierając oczy i ziewając bezgłośnie.

Max westchnął tak głośno, iż słyhać to było po tej stronie telefonu.

— O co chodzi? — dopytywała się Amy Jane.

— O nic.

— Max? Co jest?

— Zastanawiałem się po prostu, czy słyszałaś moje pozdrowienia, to wszystko.

— Oczywiście, że słyszałam. Bardzo ci dziękuję. To było miłe z twojej strony. — Czula się podle.

— Słodziutka?

— Mhmmm.

— Czy jest coś, o czym chciałabyś mi powiedzieć?

— Nie, tu wszystko już się uspokoiło. Oczywiście, rozmawiałam z policją. Nie ma problemu. Powiązali to wszystko z Bobbym. Bardzo się cieszę, że mamy to już za sobą.

— Tak, ja także. No cóż, odpoczywaj i dbaj o siebie. Wychodzę teraz z chłopcami, żeby to uczcić.

— Masz na myśli zwycięstwo? — uzupełniła szybko.

— Tak, zwycięstwo.

— No dobrze, zobaczymy się, kiedy wrócisz. Dobranoc, Max.

Amy Jane odłożyła słuchawkę z uczuciem, że część rozmowy jej umknęła. Coś z Maxem było dziś stanowczo nie tak. Może to wynik szoku. Widocznie dotarło do niego, że Bobby naprawdę zamierzał go zabić. Położyła się z powrotem i już po chwili smacznie spała.

*

Nazajutrz rano czuła się świetnie. Sińce zbladły i mogła już się poruszać, nie krzywiąc się za każdym razem. Długi, gorący prysznic jeszcze poprawił jej nastrój. Znów była sobą, gotowa zawojować świat. Wbiegła do kuchni, podskakując radośnie.

— Chyba nie muszę pytać, jaka była twoja odpowiedź? — spytała Claire, która siedziała za kuchennym stołem z filiżanką kawy i poranną gazetą.

Amy Jane przestała nucić szlagier wytwórni Motown i popatrzyła na Claire zaintrygowana.

— O czym ty mówisz? — spytała niewyraźnie, gdyż właśnie włożyła głowę do lodówki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Wyjęła puszkę pepsi i zamknęła drzwiczki. Otworzyła puszkę, odczekała, aż gaz nieco się ulotni, i wypila pierwszy poranny łyk ulubionego napoju.

— Zostały może jakieś paczki? Mogą być nawet nieświeże. Od tygodnia mam na nie ochotę.

— Nie jesteś w ciąży, prawda?

— A cóż to za pomysł? Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? — spytała, kontynuując poszukiwania.

Claire wzruszyła ramionami.

— Pomyślałam, że może dlatego Max ci się oświadczył.

— Co takiego? — Amy Jane zamarła, wpatrując się w Claire. — Coś ty powiedziała?

— Powiedziałam, że może wychodzisz za Maxa, ponieważ jesteś w ciąży.

— Skąd w ogóle przyszedł ci do głowy równie niedorzeczny pomysł? Nie wychodzę za Maxa ani za nikogo innego. I nie jestem w ciąży. Chyba że można zająć w ciążę całując się. Ale to raczej niemożliwe, prawda?

— Czy Max już wie? — spytała Claire, pochmurniejac.

— Że nie jestem w ciąży? Nie mam pojęcia, nie ogłaszam tego co miesiąc każdemu mężczyźnie w zasięgu słuchu. A poza tym wątpię, czy Max byłby tym zainteresowany.

— Nie, chodzi mi o to, czy on wie, że nie masz zamiaru za niego wyjść — wyjaśniła Claire.

— Ależ my nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie było powodu.

— Czy chcesz powiedzieć, że do ciebie nie zadzwonił? — spytała zaskoczona Claire, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

— Tak, dzwonił wczoraj po meczu. Pytał, jak się czuję i czy oglądałam mecz. Nie rozmawialiśmy o małżeństwie. Przykro mi, że cię rozczarowałam. Proszę cię, postaraj się choć na chwilę zapomnieć o ślubach i małżeństwach.

— Nie oglądałaś wczorajszego meczu, prawda? — upierała się Claire.

— Nie, ale słyszałam, że Lwy wygrały, więc dalej biorą udział w rozgrywkach. Domyślam się, jakie podniecenie panowało wczoraj w barze wuja. To bardzo miło z twojej strony, że zgodziłaś się pomóc wujowi, kiedy Miranda złamała nogę w kostce, towarzysząc mu w skokach.

— Amy Jane, Max poprosił cię o rękę — powiedziała Claire, tracąc cierpliwość.

— Nie, nie poprosił. Przysięgam ci, że takie coś na pewno nawet ja bym zapamiętała. Rozmawialiśmy o moim samopoczuciu i o zwycięstwie Lwów, to wszystko. Temat małżeństwa w ogóle się nie pojawił.

— Ależ owszem — upierała się Claire.

— Nawet nie było cię w domu, kiedy zadzwonił. Pomagałaś w barze. Dlaczego więc utrzymujesz...

— Max poprosił cię o rękę na antenie, kiedy udzielał wywiadu podczas pomeczowego programu.

— Co zrobił?! — krzyknęła Amy Jane, podchodząc do stołu i opadając na krzesło.

— Poprosił cię o rękę, na antenie.

— Ty mnie nabierasz, prawda? — uśmiechnęła się przymilnie.

Claire upiła łyk kawy i potrząsnęła głową.

— To dlatego tak dziwnie ze mną rozmawiał... Na pewno pomyślał, że słyszałam jego oświadczenia i rozmyślnie unikam odpowiedzi. O, do licha, Claire, ależ ze mnie idiotka!

— I co masz zamiar z tym zrobić? — spytała Claire, nie wypowiadając się na temat surowej samooceny Amy Jane.

— Nie mam pojęcia.

*

— Czy bardzo mnie nienawidzisz? — spytała Amy Jane.

— Nie mam zwyczaju prosić o rękę kobiet, których nienawidzę — odparł Max, stojąc przed nią z bukietem białych róż w ręce.

— Max, nie mogę uwierzyć, że straciłam twoje oświadczenia na antenie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobiłeś.

— To był taki impuls...

— Bardzo romantyczny — uśmiechnęła się.

— Nie powiedziałaś „tak” — zauważył.

— Nie powiedziałam też „nie”.

Wręczył jej bukiet.

— Próbujesz mnie przekupić? — spytała, wtulając twarz w różę i z rozkoszą wdychając ich niebiańsko słodki zapach.

— A czy to by poskutkowało?

— Niewykluczone — odpowiedziała wymijająco. — Lepiej włożę je do wazonu.

Max podążył za nią do kuchni.

— A gdzie Claire?

— Na górze, siedzi z książką w wannie. Praca w pensjonacie i opieka nade mną zmęczyły ją. Pewnie już jej dzisiaj nie zobaczymy, bo Claire uwielbia moczyć się godzinami. O, tak będzie dobrze — powiedziała, zadowolona z ułożenia róż w wazonie. Postawiła kwiaty na środku stołu i odwróciła się w stronę Maxa.

— Czy kupił pan już pierścionek i całą resztę, panie Impulsywny?

— Nie powiem, dopóki nie usłyszę „tak”.

— To może chwilę potrwać — uśmiechnęła się przewrotnie.

— Zaryzykuje.

— Złamię serca wszystkim pozostałym zalotnikom...

— No tak, należy wziąć to pod uwagę.

— Max... — podeszła do niego i otoczyła ramionami jego szyję.

— Uhuuuu... — mruknął, pieszczotliwie ocierając twarz o jej ucho.

— Chodźmy się wykapać.

— Teraz?

— Oczywiście, że teraz.

— Ale na dworze jest zimno. Przeziębisz się...

— Basen jest ogrzewany. No chodź, poddaj się impulsowi.

— Już raz próbowałem i nie poskutkowało. Wygląda na to, że zrobiłem z siebie głupca przed milionami ludzi.

— Przykro mi cię rozczarować, Max, ale dziś wieczorem nikt nie będzie cię oglądał.

— To dobrze, bo nie mam spodenek kąpielowych. Jakoś nie myślałem dziś o pływaniu.

— Naprawdę? A o czym myślałeś?

Max zacieśnił uścisk.

— Chciałem popracować trochę nad przekupywaniem.

Amy Jane wysunęła się z jego objęć i oddaliła tanecznym krokiem.

— Zastanów się nad tym, a ja pójdę przebrać się w kostium kąpielowy — poinstruowała go, po czym pomknęła na górę.

Jak dobrze, że nie folgowałam zbyt swojemu namiętności do paczków, pomyślała, wyskakując z kłapek i swetra. Dziś była najlepsza z możliwych okazja, by włożyć czarne bikini. Nie była pewna, czy chce wyjść za Maxa, czy za kogokolwiek innego zresztą, lecz bardzo podobała jej się myśl, że Max pragnie ją

poślubić. Tak, sprawiało jej to wielką przyjemność. Nogi miała świeżo ogolone, paznokcie pomalowane, a brwi wyregulowane. Rekonwalescencja to taka nudna rzecz. Przez chwilę przyglądała się swojemu nagiemu odbiciu. No cóż, i tak wkrótce się ściemni.

Wciągając czarne majteczki, patrzyła na siebie w lustrze. Taką właśnie siebie lubiła. A może by tak zaszokować Maxa i zejść na dół tak ubrana, a raczej rozebrana? Podobało jej się, jak piersi podskakują, nie skrępowane stanikiem. To było coś naprawdę radosnego, przywodzącego myśl o szczęściu i swobodzie, jakiś rodzaj buntu przeciwko mężczyznom. To na pewno oni wynaleźli staniki — ponieważ nie musieli ich nosić.

Czując się osobą seksowną i nieco zbuntowaną, postanowiła poimprowizować. Wyciągnęła więc z szuflady kolorową chustę pareo i owinęła ją wokół siebie, zawiązując najpierw na przedzie, a potem wokół szyi. Odeszła parę kroków w głąb pokoju i popatrzyła w lustro, oceniając efekt. Doskonale. Strój wiele ukrywał, lecz jeszcze więcej obiecywał, podkreślając kształt ukazujących się w rozcięciu nóg i przywierając do nągich, pełnych piersi.

— Do diabła, sama też bym się sobie oświadczyła — zaśmiała się i pospieszyła na dół, do Maxa.

— Trochę czasu ci to zabrało — ale nie szkodzi, warto było poczekać — powiedział, odwracając się na dźwięk kroków.

— Czy nie jesteś trochę za bardzo ubrany? — spytała, wskazując na dżinsy i marynarkę, które nadal miał na sobie.

— Daj mi trochę czasu, jestem nieśmiały — powiedział z uśmiechem, który dowodził wszystkiego poza nieśmiałością.

— Taak, akurat — wzięła go za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. — Wcale nie jest tak zimno, właściwie jest całkiem przyjemnie.

— Wystarczająco przyjemnie. — Max gapił się na jej piersi i kiedy spojrzała w dół, spostrzegła, że sutki stwardniały jej i sterczą pod cienkim materiałem chusty niczym dwa guziki.

— Chodź tu. — Przytulił ją mocno do siebie, otoczył ramionami jej plecy i przesuwając dłoń na kark, zebrał włosy, odchylił głowę do tyłu, po czym nader namiętnie ją pocałował.

— Nie musisz od razu wyciągać najcięższej broni — jęknęła, czując jak miękną jej kolana.

— Skąd wytrzasnęłaś to powiedzonko?

— Nie wiem, chyba wyczytałam w jakimś magazynie dla nastolatek. Było tam jeszcze napisane, że należy wystrzegać się facetów, którzy sprawiają, że tracisz oddech już przy pierwszym pocałunku.

— Ale przecież jesteś już dużą dziewczynką. Teraz ty mnie pocałuj.

Usta Maxa pieściły jej wargi, a ciało napierało coraz bardziej zdecydowanie. Przytulił ją jeszcze mocniej.

Pocałunek, jakim go obdarzyła, nie pozostawiał wiele niedomówień. Teraz Max odchyłał się do tyłu, zaś ona przestała wreszcie żałować randek z tymi niegrzecznymi chłopcami, z którymi się umawiała, a którzy pomogli jej uzbroić arsenał i przygotowali ją na noc taką jak ta.

Max chrząknęła.

— Może rzeczywiście powinniśmy się wykapać.

— Doskonale — zgodziła się natychmiast, zadowolona z efektu, jaki jej pocałunek wywarł na Maxie.

Otoczył ją ramieniem i ruszyli ścieżką prowadzącą do basenu. Nocne niebo pełne było błyszczących gwiazd, odbijających od ciemnogrnatowego tła. Wkrótce po zachodzie słońca wzeszedł księżyc, oświetlający teraz ciemną wodę stawu z rybkami.

— Co mam zrobić, żeby zasłużyć na następny pocałunek? — spytał, kiedy stanęli nad brzegiem.

— Może pełny skok z półobrotem?

— A nie wystarczy salto z brzegu...?

— Potrafisz to zrobić?

— Dla mnie to bułka z masłem. I, Amy Jane — obejrzał się na nią przez ramię, ściągając dzinsy.

— Co takiego?

— Patrz, kiedy ci mówię, że masz patrzeć.

Tak jakby mogła nie patrzeć. Nie, on dawał jej do zrozumienia, że nigdy nie zdoła wynagrodzić mu tego, że nie oglądała jego oświadczyn.

— Teraz — powiedział, kiedy nie miał na sobie już nic poza jedwabnymi spodenkami. Odbił się mocno i fikając koziołka do tyłu, wylądował w basenie, wzbudzając fontanny wody i dziki aplauz ze strony Amy Jane.

— To było miłe, ale dalej należy mi się pocałunek — powiedział, przecinając wodę pewnymi ruchami rąk. Płynął do Amy Jane, czekającej na brzegu basenu.

— Woda jest wspaniała. Wystarczająco ciepła, żeby nie marznąć.

Amy Jane uklękła, ujęła w dłonie twarz Maxa, i zaczęła całować go na pozór czule i delikatnie, lecz efekt tego pocałunku przypominał jazdę w dół serpentyną przy całkowicie otwartej przepustnicy.

— Chyba lepiej wyjdę z tego basenu, zanim woda zacznie się gotować — powiedział Max, zręcznie wciągając się na betonowe obramowanie.

Serce zabiło jej gwałtownie, gdy zobaczyła, jak się do niej uśmiecha — uśmiechem, który rozświetlał mu oczy i wyrażał tyle uznania, wdzięczności i aprobaty.

Oto mężczyzna, który potrafi rozpoznać ucztę, kiedy poczuje jej przedsmak. Uwodzicielsko pewny siebie i swobodny zarazem. Wystarczająco pewny siebie, by jej nie przytłaczać. By dać jej czas. Wyciągnęła rękę i przegarnęła palcami krótkie, ciemne włosy Maxa, przesuwając dłoń po jego kształtnej głowie. Złapał ją za nadgarstek.

— I co, Amy, nie masz zamiaru przekonać się, jaka dziś woda? Chyba nie boisz się, że cię zamoczę?

Błądził wzrokiem po jej ciele. Nie można było nie dostrzec widocznego w jego oczach erotycznego zaproszenia. Z dumą ukazywał jej swoje pożądanie, by mogła mu się przyjrzeć.

— Już nie mogę się doczekać — powiedziała stanowczo. Rozwiązała pareo na szyi i biuście i zasłaniając się nim jak tarczą błyskawicznie wśliznęła się do wody, po czym zwinęła chustę w kulę i cisnęła mu ją niczym rękawicę.

Jej białe piersi kołysały się na wodzie, doskonale w swoim kształcie i fakt ten podniecał ją bardziej niż cokolwiek innego. Teraz ona mogła uśmiechać się do Maxa. Przywoływać go. Przykucnął. Wilgotny jedwab spodenek ujawniał jego pożądanie, podkreślał je. Wskoczył do basenu.

Napawała się widokiem jego szerokich ramion i smukłych nóg, perfekcyjnego ciała doskonałego kochanka. Zanurkował i na chwilę zniknął jej z oczu, a potem poczuła jego głowę pomiędzy swoimi udami. Wyprostował się, unosząc ją na ramionach. Co za podniecające uczucie!

— Postaw mnie — pisnęła, czując się bardzo naga tak wysoko nad wodą.

Kiedy nie zareagował, zaczęła się kręcić, chlapać wodą i piszczeć coraz głośniejsze. Wreszcie przewrócili się oboje, wpadając do wody z głośnym pluskiem. Wyciągnął ramiona i przycisnął ją do piersi. Pozostała w tej pozycji, starając się odzyskać oddech.

— Czy wiesz, że istnieją cztery typy orgazmu? — spytała.

— Naprawdę, cztery?

— Tak, cztery. Chcesz wiedzieć, jakie?

— Pewnie, czemu nie.

— No więc pierwszy, to orgazm typu „w porządku”. To ten och... och... och... Drugi to orgazm potakujący. To ten z tak... tak... tak... Trzeci jest religijny — o, Boże, o, Boże, o, Boże! A

czwarty to orgazm udawany — och, Max, och, Max, och, Max!
Wybuchnęła śmiechem, widząc zagadkowy wyraz twarzy Maxa.

— No tak, domyślam się, że zostałem wyzywany.

— Ależ nie, ja po prostu uważam, że seks na wesoło jest najlepszy. A ty nie?

— Czy to znaczy, że powinienem bardziej zatroszczyć się o znalezienie miejsc, gdzie masz laskotki, niż twojego punktu G?

— No dalej, proszę bardzo — podniosła ręce w geście poddania.

Zaproszenie spotkało się z natychmiastowym odzewem. Max pochylił głowę i zaczął delikatnie pieścić jej pierś językiem. Wciągnęła gwałtownie powietrze, a wtedy on położył dłoń na piersi, którą ssal i zaczął delikatnie ją ugniatać.

— Max...

Popatrzył na nią, nie przerywając pieszczot, sprawiając, że nogi miękły jej w kolanach i z trudem mogła oddychać.

— Chyba powinniśmy wyjść z tego basenu.

Widząc pytający wyraz jego twarzy, dodała:

— Bo inaczej zaraz się utopię.

— Nie możemy do tego dopuścić. — Max wziął ją w ramiona i poniosł w kierunku płytkiej części basenu, cały czas obdarowując ją lekkimi, czułymi pocałunkami.

Po wyjściu z wody ułożył ją na trawie, położył się obok niej i wtulił twarz w jej włosy. Był to moment prawdziwej bliskości pośród otulającej ich spokojnej nocy. Amy Jane poczuła gwałtowny przypływ czułości. Nie wahając się ani chwili wciągnęła go na siebie. Pragnęła poczuć jego ciężar. Całował ją, wsunawszy dłonie pod jej pośladki. Ich ciała napierały na siebie, aż wreszcie Max uniósł się przeklinając cicho i niecierpliwie zerwał z siebie mokre spodenki. Kiedy objęła go dłonią, westchnął, a z jego gardła wydobył się niski jęk. Poczuli, że wstrząsa nim dreszcz.

Jej ręce same powędrowały w dół, zsuwając majteczki kostiumu. Max pomógł jej się uwolnić, a potem położył je obok swoich mokrych spodenek. Ich bielizna tworzyła teraz na trawie mały, lecz jakże intymny stosik. Wrócił do niej i wszedł w nią jednym głębokim pchnięciem posiadacza.

Amy Jane jęknęła z przyjemności, poddając się ruchom Maxa, wychodząc im naprzeciw. A potem niespodziewanie załała ją fala rozkoszy. Stało się to tak szybko... i już było po wszystkim. Słyszając jej przeciągłe „aaaach”, Max nie zwlekał dłużej z zaznaniem własnej przyjemności.

Jego ręka gładziła drżące ciało Amy Jane, gdy szeptał jej do ucha czułe słówka, które burzyły jej zmysły. Leżała bezwolna i nadal podniecona.

— Jeszcze raz? — zapytał pieszczotliwie w parę minut później, gdy ich oddechy mniej więcej wróciły do normy.

— Jeszcze raz — zgodziła się ochoczo.

Tym razem ani on nie był dżentelmenem, ani ona damą. Rzucili się na siebie niczym złodziej klejnotów na otwarty sejf, zawierający nieprzebrane bogactwa. Nacisnął każdy guzik od parteru po poddasze, a podróż z powrotem przypominała radosną przejażdżkę na łeb, na szyję kolejką.

— Ooooch, kochanie — krzyczał, a ona się uśmiechała. Wreszcie ułożył się na plecach na trawie obok niej.

— Widzę gwiazdy, a ty? Czy też widzisz gwiazdy?

— Tak — odparła, wpatrując się w gwiazdziste niebo szeroko otwartymi oczami.

Spojrzała na Maxa i zobaczyła, że jego oczy były zamknięte.

— I jak się czujesz? — spytała.

— Ty mi to powiedz — zachichotał.

— Ooooch, kochanie — powtórzyła.

Oboje wybuchnęli zgodnym śmiechem, zachowując ten moment na zawsze w pamięci.

— Czy jesteś pewna, że nie chcesz dać mi w ten sposób do zrozumienia, że mam to zrobić jeszcze raz? Bo jeśli tak, to muszę cię ostrzec — już nie mogę.

Wzjął ją za rękę i ucałował jej nadgarstek. Uśmiechnęła się, do głębi szczęśliwa.

*

— Szszsz... przecież nie chcemy obudzić Claire — powiedziała, gdy Max nieostrożnie postawił patelnię na kuchence.

— Oczywiście, że chcemy. Jeśli ją obudzimy, może zejdzie na dół i zrobi nam do zjedzenia coś, co pozwoli zregenerować siły.

— Nie sędzę, żeby Claire była zachwycona tym pomysłem. No, dalej, poradzimy sobie. Jak mówi to stare przysłowie: co dwie głowy to nie jedna?

— Jest także inne stare przysłowie: gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

Amy Jane zachichotała.

— No to jesteśmy bezpieczni. W tej kuchni nie ma ani jednej kucharki... Ale z pewnością damy radę usmażyć omlet — musimy tylko rozbić jajka.

— No dobrze, zaczynaj. Zobaczmy, co tu mamy pod ręką — powiedział, stojąc nad pustą patelnią.

Wyglądał niewiarygodnie pociągająco, ubrany wyłącznie w dżinsy, ona zaś czuła się nieco zbyt obnażona, owinięta tylko w cieniutką chustę pareo, lecz Max powiedział jej już parę razy w ciągu tej nocy. jak bardzo, bardzo mu się w tym podoba, nie upierała się więc przy zmianie stroju.

Zaczął wymieniać potrzebne do przygotowania omletu składniki, a ona wyjmowała je z lodówki.

— Masło...

— Masło — powtórzyła, wręczając mu kostkę. Odkroił kawałek i rzucił go na patelnię.

— Cebula...

— Cebula!

— No już dobrze, może być bez cebuli. Aha, bekon lub szynka...

— Bekon...

Po chwili zapach przysmażonego bekonu wypełnił kuchnię. Amy Jane poczuła, że ślina napływa jej do ust. Kiedy bekon był już gotowy, Max kontynuował wyliczanie.

— Jajka...

— Jajka...

— Mleko...

— Mleko...

— Ser...

— Ser...

— Małżeństwo...

— Tak.

— Tak?

— Tak.

— Ooooch, kochanie!

21

— Nie mogę uwierzyć, że to ja, a nie ty, przeglądam ten magazyn dla nowożeńców — powiedziała Amy Jane do Claire, gdy siedziały w bibliotece, rozmawiając o zaręczynach Amy Jane, zaplanowanych na jutrzejsze popołudnie.

— Ja też nie.

— Oczywiście będziesz moją druhną, prawda?

— Oczywiście. I wszystko sama zaplanuję. Możesz wziąć ślub w ogrodzie, tak jak planowałam dla siebie.

— Nie wiem, Claire. Może po prostu wyskoczymy do Las Vegas w któryś weekend.

— Nie zrobisz tego!

— Dlaczego nie?

— Wuj James byłby zdruzgotany. Chce poprowadzić cię do ołtarza.

— Wuj James pewnie o wiele chętniej pojechałby do Las Vegas — zasugerowała.

— To nie ma znaczenia. Wesele odbędzie się tu i wszystko ma być jak należy. Wiesz już, jaką sukienkę chciałabyś włożyć?

— Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— Jak to możliwe?

— No cóż, po pierwsze nigdy nie myślałam, że w ogóle wyjdę za mąż. Ciągłe jeszcze dreszcz mnie przechodzi, gdy pomyślę, jak szybko się to wszystko stało.

— Amy, czyżbyś zamierzała zmienić zdanie? — Oczy Claire rozszerzyły się ze zdumienia.

— Jeśli miałabym to zrobić, to muszę się pospieszyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ Max planuje ogłosić dziś nasze zaręczyny na antenie. No wiesz, pozostanie na wizji chwilę dłużej...

Nie mogę zrobić mu tego jeszcze raz.

— Ale ty nie jesteś wcale pewna...

— Chyba jestem. Ale jestem też dziwnie niespokojna i zupełnie nie wiem dlaczego.

*

Przez resztę dnia niepokój nadal ją dręczył. Coś kołatało się jej w pamięci, domagając się uwagi, lecz nie mogła uświadomić sobie, co to takiego. Próbując pozbyć się nerwowego napięcia i prześladowającego ją uczucia zagrożenia, poszła do swego pokoju i

zajęła się papierkową robotą. Kiedy powierzchnia biurka była już pusta, zaczęła przeglądać teczki schowane w szufladach.

Gdy nadszedł czas pójścia do Kopyły, Claire weszła na górę i wsunęła głowę do pokoju Amy Jane.

— Co tu się dzieje? — spytała zaciekawiona. Weszła do pokoju i przez chwilę przyglądała się pracy siostry. W pokoju panował niezwykle ład i porządek. Amy Jane wykorzystała wreszcie wszystkie te pudła i pudełka, które jej Claire od dawna znosiła, i poukładała w nich papiery.

— Nie wiem, po prostu nie mogę się powstrzymać od sprzątania.

— Może jednak lepiej się postaraj, bo spóźnimy się na mecz. Dziwnie będzie obserwować grę, w której nie uczestniczy Bobby.

— A jak ty się czujesz w związku z tym? — spytała Amy Jane w poczuciu winy z powodu swojego szczęścia, bo choć Claire nie zakochała się w Bobbym, to jednak umawiała się z nim przez jakiś czas.

— Och, ze mną wszystko w porządku. Przecież go wyrzuciłam, pamiętasz?

— Jakże mogłabym zapomnieć. Wyrzuciłaś także wuja Jamesa.

— Wątpię, czy przydarzyło mu się to wówczas po raz pierwszy — odparła Claire, uśmiechając się.

— Ale wówczas po raz pierwszy my go wyrzuciliśmy. Był zdruzgotany.

Claire wyszła, aby się ubrać.

Amy Jane odeszła od biurka wzdychając głęboko i sprzątała dalej. Ogarnęło ją dojmujące uczucie niepokoju. Czy spowodowane było tylko mającym wkrótce nastąpić ślubem? Jeśli tak, trzeba będzie pomyśleć o wycofaniu się. Powinna przecież czuć się szczęśliwa... Gdyby to Claire była na jej miejscu... Na pewno szalałaby z radości. Lecz Claire miała już

wybraną sukienkę, posadzone kwiaty, przepis na tort i bez wątpienia ręcznie wypisane zaproszenia. Claire miała wszystko, czego potrzeba do doskonałego ślubu — poza narzeczonym. Być może właśnie o to chodziło. Może czuje się winna, że to jej dostaje się to, o czym Claire zawsze marzyła. To nie było w porządku. Ale życie z reguły nie jest w porządku. I nic nie można na to poradzić.

Szukając w szafie czegoś, w co mogłaby się ubrać, próbowała wyperswadować sobie swój strach. To, że wkrótce wychodzi za mąż, nie oznacza przecież, że Claire też tego nie zrobi. W każdej chwili może przecież poznać kogoś odpowiedniego i nawet wyprzedzić ją w drodze do ołtarza. I zapewne tak by się stało, gdyż w tej chwili absolutnie nie odczuwała potrzeby pośpiechu.

Claire na pewno szybko miałyby dzieci i dom Chadwicków wypełniły się odgłosami dziecięcych kroków. I nie byłoby już pensjonatu, gdyż Claire musiałyby troszczyć się o rodzinę. Z jakiegoś powodu ta myśl zasmuciła ją, gdyż choć stale narzekała, to w gruncie rzeczy pomysł prowadzenia pensjonatu bardzo się jej podobał, być może dlatego, że przywodził na myśl rodziców. Im taki pomysł na pewno także bardzo by się spodobał, gdyż pozwalał zapełnić dom ciekawymi ludźmi, tak jak to miało miejsce za ich życia. Wówczas zawsze zatrzymywali się u nich przyjaciele z teatru, będący akurat w potrzebie, i ciągle urządzano jakieś przyjęcia. Być może dlatego było jej tak smutno. Małżeństwo kończyło pewne sprawy, tak jak zaczynało inne.

Otrząsnęła się z tych nieprzyjemnych myśli i wyjęła z szafy kostium. Miała zamiar wystroić się dla Maxa. Uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widział jej w kostiumie. Ten, który wyjęła właśnie z szafy, był najprostszy z możliwych. Wygodny, zapinany na cztery guziki żakiet uszyto z cieniutkiej wełnianej krepy, a krojona ze skosu spódniczka ledwie sięgała kolan. Pod

spód włożyła jedynie bogato zdobioną małą jedwabną bluzeczkę, pozostawiając żakiet nie zapięty. Pod bluzkę nie włożyła nic. Potrzeba buntu nigdy jej nie opuszczała.

Kiedy Max wyszedł rano, umyła włosy, by pozbyć się zapachu chlorowanej wody z basenu, i teraz chmura miękkich loków okalała jej twarz. Maxowi podobały się jej włosy, lubił się nimi bawić — być może dlatego, że własne miał takie krótkie. Ona także lubiła dotyk jego włosów — były takie seksowne! Max. To o to chodziło! Instynkt podpowiadał jej, że coś dalej jest nie w porządku. Maxowi nadal zagrażało niebezpieczeństwo. To się bynajmniej jeszcze nie skończyło.

— Jesteś gotowa? — spytała Claire, wchodząc do pokoju.

— Tak, ale ja poprowadzę.

— O nie! — jęknęła Claire, usuwając z zasięgu ręki Amy Jane kluczyki do swego samochodu. — Rozbiłaś już jeden samochód. Mam zamiar zadbać o to, by mój pozostał w jednym kawałku.

— No dobrze, ale chodźmy już. Pospiesz się.

— Dlaczego? Nie jest aż tak późno.

Nie chcąc jej denerwować, skłamała, że chce jak najszybciej dotrzeć na stadion, by mieć więcej czasu na zapanowanie nad nerwami.

Przy wejściu oddały bilety kontrolerowi i Claire jako pierwsza przeszła przez bramkę w kształcie kołowrotu. Rozległ się głośny zgrzyt.

— Tu cię mam! — krzyknęła Amy Jane.

— Co masz? — zainteresowała się Claire, oglądając się na siostrę.

— Nic takiego — odparła Amy Jane, zastanawiając się gorączkowo. — Po prostu przypomniałam sobie hasło krzyżówki, którą usiłowałam rozwiązać dziś rano.

— Ach tak. — Claire popatrzyła na nią dziwnie, lecz nie zakwestionowała kłamstwa. Nie miała żadnego powodu, by podejrzewać, że siostra coś przed nią ukrywa.

Amy Jane rozpoznała zgrzyt kołowrotu jako dźwięk, który usłyszała, gdy odebrała u Maxa kolejny głuchy telefon. Następny element układanki, który nie na wiele się zdał. Bobby mógł spokojnie dzwonić ze stadionu, jeśli chciał zdenerwować Maxa. Spojrzała na znajdujący się w pobliżu wejścia rząd automatów telefonicznych. Każdy mógł.

Przepychając się do swoich miejsc zauważyły, że stadion jest przepelniony. Na szczęście Max przewidział to i postarał się dla nich o znakomite miejsca — siedziały tak blisko tafli, że niemal czuły na twarzach lód przyskający zawodnikom spod łyżew.

— Idę na górę powiedzieć Maxowi, że już jestem — powiedziała Amy Jane, gdy zajęły przeznaczone dla niech miejsca. — Chciałabyś pójść ze mną?

— Nie, lepiej postaram się o coś do picia.

— Dobrze, zaraz wracam — zapewniła Amy Jane i zaczęła się wspinać do kabiny sprawozdawców.

W kabinie poza Maxem byli także Corey i Chantal. Max wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie mocno, nie przerywając transmisji.

„Jeszcze jedna rozstrzygająca bramka! Och, kochanie! — Numer sześć podejżdza schylony i wsuwa krążek pod bramkarzem. Co za wspaniała bramka dla Lwów!”

Wydawało się, że zatłoczony stadion zwariował, rozległ się szaleńczy doping. Amy Jane stała w kabinie, przysłuchując się relacji Maxa. Pragnęła natychmiast z nim porozmawiać. Ostrzegła go. Ale przed czym? Chantal szepnęła do Coreya, że wychodzi na chwilę do pokoju wypoczynkowego. Amy Jane opadła na zwolnione przez nią krzesło. Max podniósł ołówek, by coś do niej napisać, lecz kiedy przycisnął go do papieru, grafit się

złamał. Max dał jej znak, by znalazła mu inny, a sam kontynuował relację wraz z Coreym.

Amy Jane rozejrzała się wokół, lecz niczego nadającego się do pisania nie dostrzegła, uniosła więc nieco wierzch teczki Chantal i zajrzała do środka. Rzeczywiście, pod warstwą papierów dostrzegła ołówek i właśnie go wyjmowała, gdy wzrok jej padł na kartkę, ukrytą pośród innych. Napisany na maszynie tekst wyglądał jakoś znajomo. Szybko przyjrzała się notatce, czując jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Najdroższy Maxie:

Skoro ja nie mogę cię mieć, to nikt inny także. Umrzesz, a ona będzie na to patrzeć i wszyscy inni także.

— Co ty sobie, u diabła, myślisz, pozwalając jej siadać na moim krześle? Myślisz, że pozwolę ci tak łatwo zająć moje miejsce? — Chantal przenosiła wzrok z Maxa na Amy Jane, aż wreszcie postąpiła krok do przodu, pokazując plecy Amy Jane i okazując jej w ten sposób swoje lekceważenie.

Amy Jane błyskawicznie opuściła wierzch teczki, zdążyła jednak jeszcze zauważyć skrawek jedwabnych spodenek, wymykających się z bocznej kieszonki.

Oczy wszystkich zwrócone były w jeden punkt... na rewolwer w dłoni Chantal, wycelowany w głowę Maxa.

— Chyba nie masz zamiaru tego zrobić — powiedział Corey. — Chantal, proszę.

— Zamknij się.

— Czego ode mnie chcesz? — spytał Max, podczas gdy kamerzysta czynił rozpaczliwe wysiłki, by nie przerwać transmisji.

— Teraz już za późno, by pytać. Ale i tak ci powiem. Chcę twojej pracy. Nie, mojej pracy. Miała być moja, dopóki nie zjawileś się ty i nie ukradłeś mi jej. Cholernie ciężko na to pracowałam i zasłużyłam sobie na nią. Ja, nie ty. To nie w porządku, że wręczono ci ją na srebrnej tacy tylko dlatego, że

byłeś kimś znanym, i w dodatku mężczyzną. Nie musiałeś pracować na swoją pozycję tak ciężko, jak ja. Tak się poświęcać. To była moja robota — szlochała histerycznie. — A teraz cię zabiję. Wysłałam Bobby'ego, a on spartolił robotę. Tak to jest, kiedy się powierza facetowi zadanie, które potrafi wykonać tylko kobieta — oświadczyła z nutką ironii w głosie.

— O czym ty mówisz? Jak to wysłałaś Bobby'ego? — spytał Max, najwidoczniej starając się zająć Chantal rozmową i odwrócić jej uwagę.

— To było takie proste. Bobby cię nienawidził, wiedziałeś o tym? Był o ciebie zazdrosny. Wystarczyło tylko umiejętnie podsycać tę nienawiść, by w końcu doprowadzić do wybuchu.

— Ale dlaczego? — Głos Maxa brzmiał spokojnie, lecz oczy szukały Amy Jane.

— Ponieważ nie odpowiadałeś na moje listy. Pisałam do ciebie erotyczne liściki. Myślałam, że uda mi się wciągnąć cię w romans, a potem oskarżyć. To by cię zrujnowało. I wtedy dostałabym tę pracę, na którą sobie zasłużyłam.

Wzrok Amy Jane napotkał spojrzenie Maxa. Dała mu znak, by dalej zajmował Chantal rozmową i nie próbował niczego robić. Niech jej po prostu zaufa.

— Nie wiedziałem... Chantal, tak mi przykro...

Amy Jane skinęła głową. Tak trzymać. Przesunęła się lekko w prawo, by mieć lepszą widoczność. Musiała przyjrzeć się broni.

To był ten sam rewolwer, ten który zniknął z szuflady w jej pokoju. Przypomniała sobie teraz, że Chantal przybyła na urodzinowe przyjęcie Maxa brudna i spóźniona, tłumacząc, że zepsuł jej się samochód. Claire zaprowadziła ją potem na górę, żeby się umyła. Najwidoczniej wtedy ukradła rewolwer.

Amy Jane odetchnęła z ulgą. Z miejsca, w którym teraz stała, mogła z łatwością dostrzec, że pistolet nie był

odbezpieczony, gdyż w tym modelu broni, aby wystrzelić, należało najpierw odciągnąć spust.

Odetchnęła jeszcze głębiej, starając się uspokoić. A potem wykonała jedyny możliwy ruch, który mógł ocalić Maxowi życie. Rzuciła się w przód i złapała bębenek rewolweru najmocniej, jak potrafiła. Broń z unieruchomionym bębenkiem nie mogła wystrzelić, jednak dla wszelkiej pewności Amy Jane wyszarpnęła rewolwer z ręki Chantal. Max złapał ją i przycisnął do ściany. Corey zemdłał. Strażnicy wyprowadzili Chantal.

Max odwrócił się do Amy Jane, która trzęsącymi się rękami odkładała broń na teczkę Chantal. Wziął ją w ramiona.

— Och, kochanie — powiedział. Wstrząsnął nim dreszcz.

Amy Jane rozplakała się. Były to łzy ulgi.

22

Amy Jane wyglądała przez okienko samolotu, przyglądając się grubej warstwie puszystych obłoków, zakrywających leżący w dole ląd. Pojawił się napis „Proszę zapiąć pasy”, co oznaczało, że zbliża się moment lądowania w Las Vegas. Max uściśnął jej dłoń. Odwróciła twarz od okna i spojrzała na niego.

— Masz świadomość, że pakujemy się oboje w kłopoty, prawda?

Amy Jane skinęła głową.

— Jesteś jedynakiem, czy twoi rodzice kiedykolwiek pogodzą się z tym, że zwałeś ze mną do Las Vegas, zamiast wziąć tradycyjny ślub?

Max uśmiechnął się.

— Moi rodzice będą zachwyceni, jeśli w ogóle usłyszą moje imię i słowo „ślub” w jednym zdaniu.

— To dobrze. Teraz musimy martwić się już tylko o wuja Jamesa i Claire.

— Tak, z tym będzie kłopot — przyznał. — Claire mówiła mi, że wuj zamierzał poprowadzić cię do ołtarza.

Amy Jane zachichotała.

— Wuj James będzie miał prawo robić mi wymówki, dopiero kiedy sam będzie urządzał swoje wesele.

— A więc pozostaje nam tylko Claire — stwierdził, gdy samolot po czystym lądowaniu toczył się po pasie.

— Tak, Claire z pewnością stanowi problem — przyznała. — Wszystko przez te jej marzenia o bajkowym weselu w ogrodzie. Wiesz, takim z białymi brezentowymi namiotami i stołami przykrytymi białymi obrusami, ze stojącymi na nich bukietami świeżych kwiatów. Ma nawet przepis na weselny tort morelowy, przyozdobiony wstążką z białej czekolady.

— Wszystko to brzmi bardzo przyjemnie — przyznał Max.

— Ale to nie pasuje do mnie, lecz do Claire. Ona powinna mieć taki właśnie ślub. Sześć druzhen w różowych sukienkach bez ramiączek, dziewczyna opiekująca się bukietem i taca na obrączki. Ona uwielbia tradycję.

— A ty nie...

— Właśnie.

— Więc zabierzmy nasze bagaże i znajdziemy jakiś hotel, gdzie będziemy mogli spędzić miesiąc miodowy, kiedy już dokonamy formalności.

— Będziemy musieli poczekać, aż... — szepnęła Amy Jane, zdejmując z półki swój podręczny bagaż.

— Jestem gotowy do negocjacji — zapewnił ją Max.

*

— Więc co chciałabyś zrobić najpierw? — spytał Max, siadając na kwiecistej, różowo-zielonej pluszowej narzucie w ich pokoju w Golden Nugget. Wziął do ręki hotelową broszurkę i zaczął odczytywać na głos proponowane możliwości rozlicznych

rozrywek: możemy wypoczywać luksusowo w kąpielisku, grać w golfa, basen na świeżym powietrzu jest ogrzewany — mrugnął porozumiewawczo — pójść na pizzę do California Pizza Kitchen, poszukać kaplicy, gdzie udzielają ślubów lub zejść na dół i popróbować szczęścia w kasynie.

— Kasyno — krzyknęli chórem.

Zostawiając nie rozpakowany bagaż wybiegli z pokoju niczym dwoje nastolatków wymykających się na wagary.

W kasynie panowała atmosfera europejskiej elegancji. Wszędzie widać było grecki marmur i błyszczące kryształowe żyrandole. Amy Jane aż dłonie spocily się z wrażenia na widok długiego szeregu automatów do gry. Po dwudziestu minutach miała już mokre nie tylko dłonie, cała ociekała potem i była uboższa o sto dolarów.

— Może spróbujemy teraz którejś z tych wytwornych gier przy stołach — zaproponowała, znudzona automatami.

— Ruletka?

Skinęła głową i Max poprowadził ją do stołu. Wyglądał niesamowicie w lnianym dwurzędowym garniturze i białej koszuli ze stójką. Amy Jane miała na sobie elegancką czarną jedwabną spódnicę sarong i pasującą do niej małą bluzeczkę. Włożyła też swoje srebrne bransoletki, gdyż wierzyła, że przyniosą jej szczęście.

Stali przy stole, obserwując ruchy kulki, która wreszcie zatrzymała się w jednej z przegródek. Czarna siedemnastka. Amy Jane zwróciła się w stronę Maxa i szepnęła mu do ucha:

— Bądź tak miły...

— I co?

— I jeśli Robert Redford będzie tędy przechodził i zaoferuje ci milion dolarów, nie wykręcaj się.

Max zaśmiał się.

— Dobrze, nie będę.

Dała mu kuksańca w bok.

— Masz zamiar grać czy się bić?

— Jestem splukana.

— Co, wydałaś raptem sto dolarów i już jesteś splukana? Skinęła głową.

— Prywatnym detektywom nie płaci się tak jak hokeistom, przynajmniej na razie.

— Chyba mógłbym udzielić ci pożyczki — powiedział.

— A co będzie, jeśli stracę twoje pieniądze?

Max pochylił się i szepnął jej do ucha coś, co wywołało na jej twarzy gwałtowny rumieniec.

— A zatem nie wolno mi przegrać...

Kupił jej trochę żetonów. Postawiła od razu całą sumę. I straciła ją.

Max wyglądał na podejrzenie zadowolonego z takiego obrotu rzeczy.

— Jeszcze raz, albo nic — powiedziała pod wpływem impulsu.

— Dobrze. — Max był dziś stanowczo zbyt zgodny.

Amy Jane postawiła znów całą sumę na jeden numer i wstrzymując oddech czekała, aż kulka wpadnie do przegródki. Tym razem miała szczęście, a co najśmieszniejsze, był to ten sam numer, który wybrała za pierwszym razem.

— Max, wygrałam — krzyknęła i otoczyła mu szyję ramionami, skacząc w górę i w dół z podniecenia. — To niewiarygodne! Wygrałam!

Puściła go, by pozbierać żetony.

— Chodźmy wymienić je na gotówkę. Wiem, kiedy przestać. Zwłaszcza że wygrałam. Będę teraz mogła zapłacić za ślub.

— A zatem, proszę bardzo, chodźmy.

— Czy uważasz, że postąpiliśmy słusznie? — spytała Amy Jane, opierając głowę na ramieniu Maxa.

— Myślę, że tak.

— Trochę mi głupio.

— Niepotrzebnie.

— Ale...

— Postąpiliśmy słusznie — zapewnił ją.

— Nie jesteś na mnie zły?

— Kocham cię.

— Ale w końcu się nie pobraliśmy. Przylecieliśmy taki szmat drogi do Las Vegas, a ja się rozmyśliłam.

Max pocałował ją pobłażliwie w czubek nosa.

— Nie rozmyśliłaś się co do małżeństwa ze mną, tylko co do ślubu w Las Vegas, ponieważ zorientowałaś się, że to nie dla ciebie. — Uśmiechnął się do niej, a jego zielone oczy błyszczały, gdy napis „proszę zapiąć pasy” oznajmił bliskie lądowanie w St. Louis. — Pomyśl o tym w ten sposób: branie ślubu w kaplicy Elvisa Presleya w Las Vegas to zbyt tradycyjne jak na ciebie. I po problemie.

— Kocham cię, Max.

— I powinnaś.

— Max! — trąciła go w ramię, uśmiechając się do siebie po cichu.

*

— A kiedyż to wpadliście na ten pomysł, jeśli można wiedzieć? — skarżyła się Claire.

— Dwa miesiące temu w samolocie z Vegas. Uświadomiłam sobie, że chcę mieć ślub, w którym mogłaby uczestniczyć cała nasza czwórka.

— No dobrze, a więc co my tu mamy? — spytał wuj James, gotowy zrobić cokolwiek, by tylko zetrzeć z twarzy pastora ów wyraz „już tyle razy to wszystko widziałem”.

— Pamiętacie, potrzebujemy „czegoś starego, czegoś nowego, czegoś pożyczonego i czegoś niebieskiego” — przypomniała Amy Jane.

— Tylko moja narzeczona potrafi zrobić z wesela polowanie na złoczyńców. Ale tak to już pewnie jest, gdy się poślubia detektywa.

— A co to takiego? — dopytywała się Amy Jane, ignorując jego docinki na temat wesela i wskazując szaro pręgowanego kota imponujących rozmiarów, którego Max trzymał na rękach.

— Coś pożyczonego, oczywiście.

Kot tymczasem, korzystając z okazji, wyrwał się Maxowi i ruszył skradając się w stronę stawu, by pogapić się na rybkę, większą od niego.

— A to kto? — spytała wuja Jamesa, obok którego stał z bardzo niezadowoloną miną jakiś mocno starszy pan.

— To coś starego — oświadczył wuj James z dumą.

— Czy mogę już dostać kawałek tortu? — zażądał emeryt.

— Za chwileczkę — obiecał wuj James — mogę nawet doprawić ci poncz.

— A co z tobą? — spytała Amy Jane, zwracając się do siostry.

Claire położyła kasetę wideo, którą dotąd trzymała ukrytą za plecami.

— Co to jest? — spytała Amy Jane.

Claire westchnęła.

— Coś niebieskiego. Film jest zatytułowany „Piękna i Bestia”, ale nie jest to ta sama kasetka, którą kupiłam w sklepie. Domontowałam do niej co nieco i...

— Kasetka „tylko dla dorosłych”! Claire, co za wspaniały prezent na ślub!

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na Amy Jane.

— No dobrze, to był twój pomysł, więc powiedz teraz, co ty przyniosłaś? — spytał Max w imieniu całej trójki.

Amy Jane uniosła ramiona, naśladując dźwięk werbli...

— Ta...da!

— Nic nie przyniosłaś — krzyknęli chórem, gotowi ją zadusić.

— Oczywiście, że przyniosłam — oświadczyła.

— Co takiego? — dopytywali się.

— Coś nowego.

— I gdzie to niby jest? — spytał Max.

— Jestem w ciąży — stwierdziła Amy Jane, diabelnie z siebie zadowolona.

Max nie mógł się powstrzymać, by się nie uśmiechać. Wuj James nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Claire nie mogła powstrzymać się od płaczu. A pastor uznał ich za szurniętych, a także za męża i żonę, choć głośno oznajmił tylko to drugie.

KONIEC